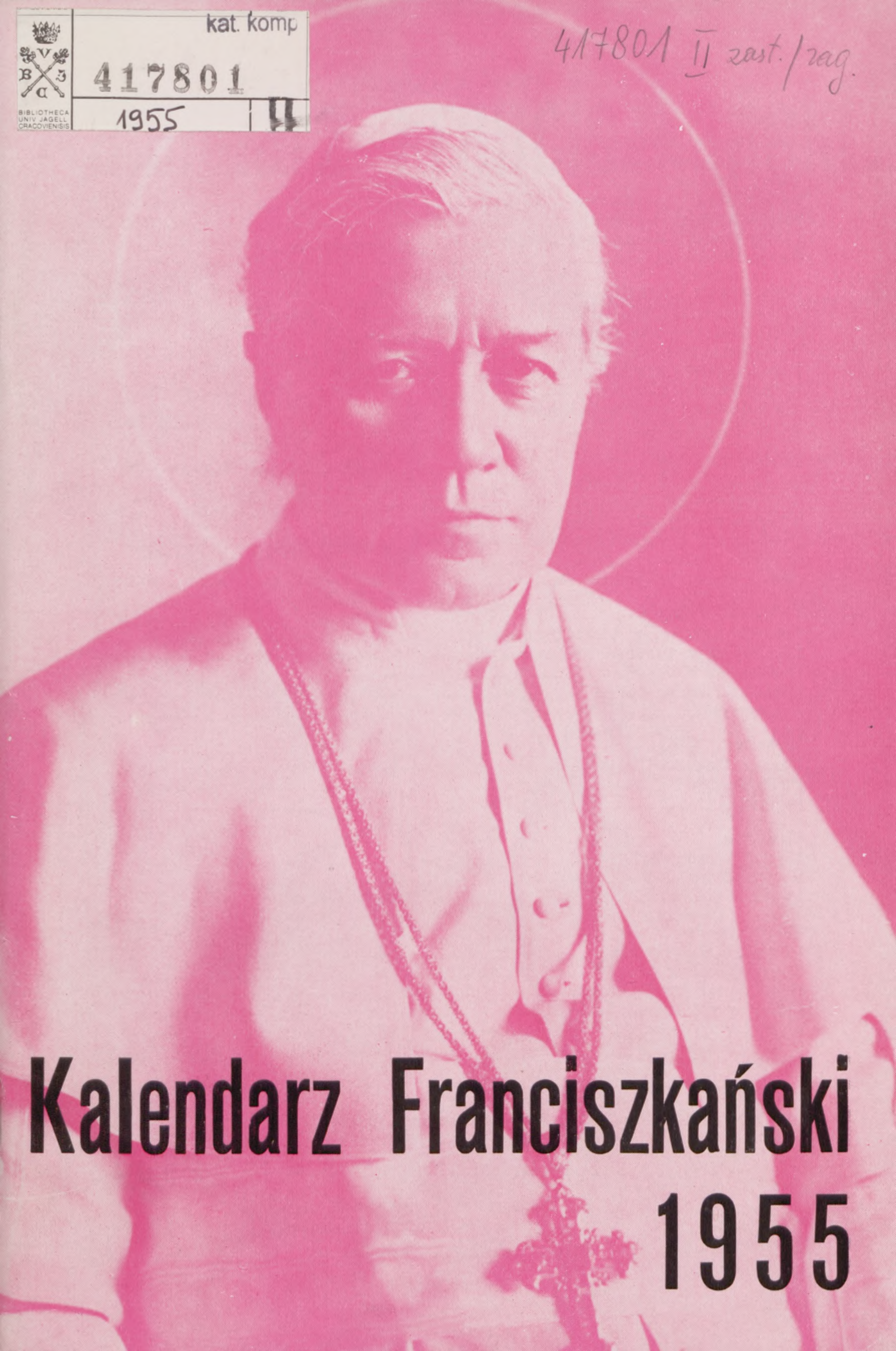


Kalendarz Franciszkański 1955

TREŚĆ KALENDARZA

Str.

Życiorysy

Opowiadania i Nowelki

Sprawy Polskie

Z Historii Kościoła

Wiersze

Ilustracje

Drobne rzeczy

Humor

OKŁADKA: Św. Pius X, Papież, kanonizowany ubiegłego roku.

Z Pozwoleniem Władzy Duchownej

Nakładem i Drukiem
Wydawnictwa OO. Franciszkanów
Pulaski, Wis.

Kalendarz Franciszkański



1955



Kochani Dobrodzieje!

Z chwilą, kiedy spoglądacie, Mili Czytelnicy, na te pierwsze kartki naszego "Kalendarza Franciszkańskiego", witamy Was z serdeczną franciszkańską radością.

Codzień, od kilku miesięcy, myśleliśmy w szczególniejszy sposób o Was, Drodzy Czytelnicy i Dobrodzieje nasi, przygotowując Wam niniejszy kalendarz do poczytania. Mamy też nadzieję, że będzie Wam każda jego kartka ciekawą i przyjemną od początku do końca.

Rozumiejąc, że w zimowej porze pożądana jest dobra książka, powiększyliśmy w tym roku niniejszy kalendarz i staraliśmy się go napełnić jak najbardziej pożądaną strawą duchową dla umysłu i serca.

Niech Wam tedy, Mili Czytelnicy, ten "Kalendarz Franciszkański" ręką synów świętego Franciszka miłośnie podany, sprawi wiele przyjemności i pożytku. Może też przeczytawszy go sami, zechcecie go podać jeszcze innym rodakom, tak bardzo dziś potrzebującym szczerego słowa pociechy i ukojenia.

Koniec roku 1954 nie przyniósł niestety końca okrutnej doli Ojczyzny naszej. Bóg chce jeszcze przez czas jakiś doświadczać nas w ogniu cierpienia. Lecz my, którzy w męczeństwie wiernie przy Nim trwamy, posiadamy pewność, że dola nasza niebawem się skończy. Po niej zaś czeka Naród nasz tryumf — tak pewny jak Bóg na niebie.

Łącząc serca nasze franciszkańskie z Waszymi, Mili Czytelnicy, w modlitwie o Boże zmiłowanie nad Ojczyzną naszą i światem, wyrażamy Wam gorące życzenia Wesołych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęścia i błogosławieństwa Bożego w Nowym Roku.

Szczęść Wam, Boże!

OO. Franciszkanie
z Pulaski, Wis.

Na Rok 1955

ŚWIĘTA RUCHOME

Siedemdziesiątnica	6 lutego.
Zapustny wtorek	22 lutego.
Środa Popielcowa	23 lutego.
Niedziela Palmowa	3 kwietnia.
Wielki Piątek	8 kwietnia.
Wielkanoc	10 kwietnia.
Niedziela Przewodnia	17 kwietnia.
Dni Krzyżowe	16, 17, 18 maja.
Wniebowstąpienie Pańskie	27 maja.
Zielone Świątki	29 maja.
Świętej Trójcy	5 czerwca.
Boże Ciało	9 czerwca.
Serca Jezusowego	17 czerwca.
I Niedziela Adwentu	27 listopada.

ŚWIĘTA OBOWIĄZUJĄCE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Każdy katolik, który przyszedł do używania rozumu, a któremu nie przeszkadza choroba lub inna jaka słuszna i ważna przyczyna, obowiązany jest wstrzymywać się od ciężkiej pracy i wysłuchać Mszy świętej w następujące dni świąteczne:

1. Wszystkie niedziele całego roku.
2. Nowy Rok — 1 stycznia.
3. Wniebowstąpienie Pańskie — 27 maja.
4. Wniebowzięcie N.M.P. — 15 sierpnia.
5. Wszystkich Świętych — 1 listopada.
6. Niepokalane Poczęcie Najśw. Maryi Panny — 8 grudnia.

ŚWIĘTA PAŃSTWOWE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

1. Nowy Rok — 1 stycznia.
2. Urodziny Washingtona — 22 lutego.
3. Dzień Wieńczenia Grobów — 30 maja.
4. Dzień Niepodległości — 4 lipca.
5. Dzień Robotnika — 5 września.
6. Dzień Krzysztofa Kolumba — 12 paźdz.
7. Dzień Dziękczynienia — 25 listopada.
8. Boże Narodzenie — 25 grudnia.

SUCHE DNI W ROKU 1955

1. Pierwszy tydzień Wielkiego Postu, 2, 4, 5 marca.
2. Tydzień Zielonych Świątek, 1, 3, 4 czerwca.
3. Trzeci tydzień września, 21, 23, 24 września.
4. Trzeci tydzień grudnia, 14, 16, 17 grudna.

PRZEPISY POSTU I WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI

Rozróżniamy dni samej wstrzemięźliwości, dni samego postu, i dni całkowitej wstrzemięźliwości i postu zarazem, oraz dni częściowej wstrzemięźliwości i postu.

1. W dni **samej wstrzemięźliwości** każdy katolik od skończenia 7-go roku życia jest zobowiązany wstrzymać się od mięsa i rosołu mięsnego. Wszystkie inne pokarmy, nawet przyprawione tłuszczem mięsnym, są dozwolone. Dniami samej wstrzemięźliwości (całkowitej) są wszystkie piątki roku (wyjąwszy piątki Wielkiego Postu, które są również dniami postu). Dni częściowej wstrzemięźliwości wyliczone są poniżej.

2. W dni **samego postu** każdy katolik, który już skończył 21-szy rok życia, a jeszcze nie zaczął 60-go roku życia, może nie więcej jak tylko raz jeden (w południe lub wieczór) najeść się do sytości. Rano dozwolony jest kawałek chleba (około dwóch uncyj) z kawą lub

herbatą, a wieczorem (lub w południe, jeśli główny posiłek bierze się wieczorem) można wziąć od 8 do 10 uncyj pokarmu. Można również trzymać się następującej zasady: dozwolony jest jeden posiłek, podczas którego można się najeść do sytości. Inne dwa posiłki nie mogą razem równać się wadze głównego posiłku.

Mięso jest oczywiście dozwolone przy głównym posiłku, lecz pokarmem posiłku rannego i wieczornego nie może być mięso ani rosół mięsny.

W dni postu nie wolno brać jakiegokolwiek pokarmu pomiędzy posiłkami. Wolno jednak w Stanach Zjednoczonych brać płyny, np. mleko, kawę, piwo, "fruit juices".

Dniami samego postu są wszystkie dni **Wielkiego Postu,** wyjąwszy, w Stanach Zjednoczonych piątki, które są zarazem dniami wstrzemięźliwości.

3. **Dniami częściowej wstrzemięźliwości i postu** są (w większości diecezyj U. S. A.): środy i soboty Suchych Dni, oraz wigilie Zielonych Świątek i Wszystkich Świętych. W dniu częściowej wstrzemięźliwości mięso, rosół mięsny i polewka z mięsa mogą być podane do stołu tylko raz na dzień przy głównym posiłku. Dwa inne posiłki są bezmięsne. Osoby od 21 roku życia do 60 poza tym obowiązane są do jednego posiłku do sytości w tych dniach.

4. **Dniami całkowitej wstrzemięźliwości i postu** są (w większości diecezyj USA): Środa Popielcowa, Wielka Sobota do południa, wigilie Wniebowzięcia N.M.P. (14 sierpnia) i Bożego Narodzenia (24 grudnia). W tych dniach mięso, rosół mięsny lub polewka z mięsa nie mogą być wcale podane do stołu.

5. Postu nie przesuwa się na sobotę, jeżeli dzień wigilii przypada w niedzielę.

6. Wszyscy wierni mają zastosować się do zwyczajów miejscowych, choćby były odmienne od ogólnych przepisów postnych. Baczną więc należy zwrócić uwagę na list Biskupa, który Proboszczowie odczytują na rozpoczęcie Postu, a który podaje przepisy postne na diecezję.

WYJĄTKI OD POSTU I WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI

1. Niedziela nie jest nigdy dniem postu, ani wstrzemięźliwości. Również poza czasem Wielkiego Postu, święta obowiązujące jak niedziela wykluczają obowiązek postu i wstrzemięźliwości.

2. Wyjęci od prawa postu (ale nie zawsze od wstrzemięźliwości) chorzy, powracający do zdrowia, ci, którzy ciężko i wyczerpująco pracują, niewiasty w stanie błogosławionym, lub karmiące i których zdrowie mogłoby na tym ucierpieć.

3. Żołnierze Stanów Zjednoczonych w polu, czy w garnizonie mogą używać mięsnych potraw we wszystkie dni roku z wyjątkiem Środy Popielcowej, Wielkiego Piątku, Wielkiej Soboty do południa, wigilii Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny i wigilii Bożego Narodzenia.

4. Używanie ryby i mięsa przy tym samym posiłku jest dozwolone.

Proboszczowie mają prawo udzielania dyspens od wstrzemięźliwości i postu. Do nich zatem w wątpliwych wypadkach należy się udawać.

CZASY ZAKAZANE,

w których małżeństw uroczyście sprawować nie wolno i w których wypada wstrzymywać się od hucznych zabaw.

1. Od pierwszej niedzieli Adwentu do Bożego Narodzenia włącznie.

2. Od Środy Popielcowej do niedzieli Wielkanocnej włącznie.

SKRÓCENIA W KALENDARZU

Litery A.G. oznaczają: Absolucja Generalna dla członków III Zakonu świętego Franciszka; litery zaś O.Z. oznaczają: Odpust zupełny dla członków III Zakonu.

styczeń

		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	S	**Obrzezania P.J. (Nowy Rok)**	**Obrzezania P. Jezusa** (A.G.,O.Z.)

Święto Imienia Jezus — Ew.: Obrzezanie Pana Jezusa

2	N	**Imienia Jezus**	Najśw. Imienia Jezus (O.Z.)
3	P	Św. Genowefy	
4	W	Ś. Tytusa; Eugeniusza M.	
5	Ś	Ś. Szymona Słupnika.	Junipera, I Zak.
6	C	**ŚŚ. Trzech Króli.**	**Święto Trzech Króli** (A.G.,O.Z.)
7	P	Ś. Łucjana.	Adolfa i Ardolfa, M.M., I Zak.
8	S	Ś. Seweryna.	Jana, I Zak.

Niedziela w oktawie Trzech Króli — Ew.: 12=letni Jezus naucza w Świątyni

9	N	Ś. Juliana.	Andrzeja ze Spoleto, I Zak.
10	P	Ś. Jana; Wilhelma.	Katarzyny, II Zak.
11	W	Ś. Hygina; Honorata.	Marii, III Zak.
12	Ś	Ś. Arkadiusza.	Łucji z Wenecji, III Zak.
13	C	Ś. Weroniki.	Henryka z Rondineli, III Zak.
14	P	Ś. Hilarego, B.W.D.	Odoryka, I Zak.
15	S	Ś. Pawła, pustelnika.	Franciszka Ziriana, M., I Zak.

Niedz. 2 po Trzech Królach — Ew.: Gody w Kanie Galilejskiej (Jan 2)

16	N	Ś. Marcelego, Papieża.	Berarda i Tow., M.M., I Zak. (O.Z.)
17	P	Ś. Antoniego, Opata.	Laurentego, I Zak.
18	W	**Stol. św. Piotra w Rzymie.**	Mikołaja z Molinari, I Zak.
19	Ś	Ś. Kanuta, Króla.	Bernarda z Corleone, I Zak. (O.Z.)
20	C	ŚŚ. Fabiana i Sebastiana.	
21	P	Ś. Agnieszki.	
22	S	ŚŚ. Wincentego i Anastazego.	Jana z Monte Korwino), I Zak.

Niedz. 3 po Trzech Królach — Ew.: Trędowaty (Mat. 8, 1=13)

23	N	**Zaślub.N.M.P.,** Ś. Rajmunda.	Alberta z Tizy, I Zak.
24	P	Ś. Tymoteusza.	Pawła de Ambrosi, III Zak.
25	W	**Nawrócenie Św. Pawła.**	Franciszka z Gizy, I Zak.
26	Ś	Ś. Polikarpa.	
27	C	Ś. Jana Złotoustego, B.W.D.	Idziego, I Zak.
28	P	Ś. Piotra z Nolasko.	
29	S	Ś. Franciszka Sal., B.W.D.	Krystyny, III Zak.

Niedz. 4 po Trzech Królach — Ew.: Burza na morzu (Mat. 2, 23=27)

30	N	Ś. Martyny, Panny i Męcz.	Hiacynty, III Zak. (O.Z.)
31	P	Ś. Jana Bosco.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	W	Ś. Ignacego, Biskupa.	Eustochii i Weridiany, II i III Zak.
2	Ś	**Matki Boskiej Gromnicznej.**	**Matki Boskiej Grom.** (A.G.,O.Z.)
3	C	Ś. Błażeja.	Mateusza, I Zak.
4	P	Ś. Andrzeja Corsini.	Józefa z Leonissy, I Zak. (O.Z.)
5	S	Ś. Agaty, Panny, Męcz.	Piotra Bapt. i Tow., M.M., I Z. (O.Z.)

Niedziela Starozapustna — Ew.: O robotnikach w winnicy (Mat. 20)

6	N	ŚŚ. Tytusa, Doroty.	
7	P	Ś. Romualda, Opata.	Rizziera, Idziego, I Zak.
8	W	Ś. Jana z Maty.	
9	Ś	Ś. Apolonii.	Jakuba ze Setesoli, III Zak.
10	C	Ś. Scholastyki, Panny.	Lilii od Krzyża, III Zak.
11	P	**Matki Boskiej z Lurd.**	Marii Fidelis, III Zak.
12	S	ŚŚ. 7 Założycieli Serwitów.	Anioła Tankredi, I Zak.

Niedziela Mięsopustna — Ew.: Przypowieść o siewcy (Łuk. 8)

13	N	Ś. Katarzyny z Ricci.	Jana, M., I Zak.
14	P	Ś. Walentego.	Joanny, III Zak. (O.Z.)
15	W	ŚŚ. Faustyny i Jowity.	Andrzeja, I Zak.
16	Ś	Ś. Julianny.	Filipy, II Zak.
17	C	Ś. Juliana.	Andrzeja z Konti (O.Z.)
18	P	Ś. Symeona.	Barnaby z Terni, I Zaak.
19	S	Ś. Konrada.	Konrada z Piacenzy, III Zak. (O.Z.)

Niedziela Zapustna — Ew.: Zapowiedzenie męki (Łuk. 18, 31-43)

20	N	Ś. Leona.	Piotra, I Zak.
21	P	Ś. Feliksa.	Jordana Mai, I Zak.
22	W	**Stol. Św. Piotra w Antiochii.**	Małgorzaty z Kort., III Zak., (O.Z.)
23	Ś	**Popielec;** Piotra Dam.	Korneliusza z Lierisse, I Zak.
24	C	**Ś. Macieja, Apostoła.**	Tomasza, I Zak.
25	P	Ś. Tarazjusza.	Sebastiana, I Zak.
26	S	Ś. Aleksandra; Anastazji.	Izabeli, II Zak.

Niedz. 1-sza Postu — Ew.: O kuszeniu Pana Jezusa (Mat. 4, 1-11)

27	N	Ś. Gabriela.	
28	P	Ś. Romana.	Anieli z Foligno, III Zak. (O.Z.)



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	W	Ś. Albina.	Jana Józefa od Krzyża, I Zak.	(O.Z.)
2	Ś	**Suche Dni**; Pawła.		
3	C	Ś. Kunegundy.		
4	P	**Suche Dni**; Kazimierza.	Tajemnic Drogi Krzyżowej	(O.Z.)
5	S	**Suche Dni**; Fryderyka.		

Niedz. 2-ga Postu — Ew.: O przemienieniu Jezusa (Mat. 17, 1-9)

6	N	ŚŚ. Perpetuy i Felic., MM.	Kolety, II Zak.	(O.Z.)
7	P	Ś. Tomasza z Akwinu.	Marii Klotyldy, II Zak.	
8	W	Ś. Jana Bożego.	Antoniego z Kartaginy, I Zak.	
9	Ś	Ś. Franciszki, rzymianki.	Katarzyny z Bol., II Zak.	(O.Z.)
10	C	40 Męczenników.	Piotra z Katanii, I Zak.	
11	P	Ś. Sofroniusza.	Jana i Krzysztofa, I Zak.	
12	S	Ś. Grzegorza Wielkiego.	Franciszka Gonzag., I Zak.	

Niedz. 3-cia Postu — Ew.: Jezus wyrzuca czarta (Łuk. 11, 14-28)

13	N	Ś. Krystyny.	Agnellusa, I Zak.	
14	P	Ś. Matyldy.		
15	W	Ś. Klemensa Dworzaka.		
16	Ś	Ś. Cyriaka.	Rodigera, I Zak.	
17	C	Ś. Patrycjusza.	Pauli z Malatest., II Zak.	
18	P	Ś. Cyryla Jerozolimskiego.	Salwatora z Horty, I Zak.	(O.Z.)
19	S	**Ś. Józefa.**	**Św. Józefa**	(A.G.,O.Z.)

Niedz. 4-ta Postu — Ew.: Cudowne rozmnożenie chleba (Jan 6, 1-15)

20	N	Ś. Kutberta.	Jana, Marka, Hipolita, I Zak.	
21	P	Ś. Benedykta, Opata.		
22	W	Ś. Katarzyny szwedzkiej.	Benwenutego, I Zak.	(O.Z.)
23	Ś	Ś. Feliksa.	Jana Baptysty, I Zak.	
24	C	Ś. Gabriela, Archanioła.	Jeremiego, III Zak.	
25	P	**Zwiastowania N. M. P.**	**Zwiastowania N.M.P.**	(A.G.,O.Z.)
26	S	Ś. Teodora, Biskupa.	Dydaka Józefa, I Zak.	(O.Z.)

Niedz. Pasyjna — Ew.: Żydzi chcą ukamienować Jezusa (Jan 8, 46-59)

27	N	Ś. Jana Damasceńskiego.	Andrzeja ze Sieny, I Zak.	
28	P	Ś. Jana Kapistrana.	Jana z Kapistrano, I Zak.	(O.Z.)
29	W	Ś. Eustazjusza, Opata.	Joanny Marii, III Zak.	
30	Ś	Ś. Jana Klimaka.	Piotra Regalata, I Zak.	(O.Z.)
31	C	Ś. Benjamina.	Henryka Thyneu, I Zak.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	P	**Siedmiu Boleści N.M.P.**	Cezariusza, I Zak.	
2	S	Ś. Franciszka z Pauli.	Leopolda, I Zak.	

Niedz. Palmowa — Ew.: Wjazd do Jerozolimy (Mat. 21, 1-9)

3	N	Ś. Ryszarda.	Gandulfa i Jana, I Zak.	(A.G.)
4	P	Ś. Izydora.	Benedykta Moor, I Zak.	(A.G.,O.Z.)
5	W	Ś. Wincentego Ferreriusza.		
6	Ś	Ś. Celestyna.	Marii Krescencji, III Zak.	(A.G.)
7	C	**Wielki Czwartek.**	Wilhelma, III Zak.	(A.G.)
8	P	**Wielki Piątek.**	Juliana, I Zak.	(A.G.)
9	S	**Wielka Sobota.**	Tomasza, I Zak.	(A.G.)

Niedz. Wielkanocna — Ew.: O zmartwychwstaniu (Mar. 16, 1-7)

10	N	**Wielkanoc;** Apoloniusza.	Marka, I Zak.	(A.G.)
11	P	Ś. Leona, Papieża.		
12	W	Ś. Juliusza, Papieża.	Anioła, I Zak.	
13	Ś	Ś. Hermenegildy.	Rudolfa, I Zak.	
14	C	Ś. Justyna; Epifaniusza.		
15	P	Ś. Krescencji.	Anny, III Zak.	
16	S	Ś. Benedykta-Józefa Labre.	Profesji św. Franciszka	(O.Z.)

Niedz. Przewodnia — Ew.: O niewiernym Tomaszu (Jan 20, 19-31)

17	N	Ś. Aniceta.	Pawła Heath, I Zak.	
18	P	Ś. Amideusza.	Andrzeja, I Zak.	
19	W	Ś. Pafnucego.	Konrada, I Zak.	
20	Ś	Ś. Feliksa; Teotyma.	Gundisalwa, I Zak.	
21	C	Ś. Anzelma.	Konrada z Parzham, I Zak.	(O.Z.)
22	P	ŚŚ. Sotera i Kajusa.		
23	S	Ś. Wojciecha; Jerzego.	Idziego, I Zak.	

Niedz. 2-ga po Wielkanocy — Ew.: O dobrym pasterzu (Jan 10, 11-16)

24	N	Ś. Fidelisa, Męczennika.	Fidelisa, M., I Zak.	(O.Z.)
25	P	**Ś. Marka, Ewangelisty.**	Karola Monteone, I Zak.	
26	W	ŚŚ. Kleta i Marcelina.		
27	Ś	**Opieki św. Józefa;** Kanizjusza.	**Opieki św. Józefa**	(O.Z.)
28	C	Ś. Pawła od Krzyża.	Luchezjusza, III Zak.	(O.Z.)
29	P	Ś. Piotra z Werony.		
30	S	Ś. Katarzyny.	Józefa Benedykta Cottolengo	(O.Z.)

maj

KALENDARZ RZYMSKI			KALENDARZ SERAFICKI	
Niedz. 3-cia po Wielkanocy — Ew.: *Maluczko, a nie ujrzycie Mnie* (Jan 16)				
1	N	**ŚŚ. Fil. i Jak., Apostołów.**		
2	P	Ś. Atanazego.		
3	W	Znalezienia Krzyża św.	Aleksandra i Tow., M.M.	
4	Ś	Ś. Moniki.	Filipa z Akwili, I Zak.	
5	C	Ś. Piusa V.		
6	P	Ś. Jana w oleju.	Illuminata z Asyżu, I Zak.	
7	S	Ś. Stanisława, B. i M.	Jana ze Stroncone, I Zak.	
Niedz. 4-ta po Wielkanocy — Ew.: O odejściu do Ojca (Jan 16, 5-14)				
8	N	Zjawienia się Michała Arch.	Szymona, I Zak.	
9	P	Ś. Grzegorza.		
10	W	Ś. Antonina.	Bernarda z Busti, I Zak.	
11	Ś	Ś. Franciszka.	Ignacego z Laconi, I Zak.	(O.Z.)
12	C	Ś. Nereusza.		
13	P	Ś. Roberta Bellarmina.	Piotra Regis, I Zak.	
14	S	Ś. Bonifacego.	Benedykta z Urbino	(O.Z.)
Niedz. 5-ta po Wielkanocy — Ew.: O prawdziwej modlitwie (Jan 16, 23-30)				
15	N	Ś. Jana de la Salle.	Klemensa, M., I Zak.	
16	P	**Dni Krzyżowe;** Jana Nep.	Jana i Piotra, M.M.	
17	W	**Dni Krzyżowe;** Paschalisa.	Paschalisa, I Zak.	(O.Z.)
18	Ś	**Dni Krzyżowe;** Wenantego.	Feliksa z Kantalicjo, I Zak.	(O.Z.)
19	C	**Wniebowstąpienia Pańskiego.**	Teofila z Korte, I Zak.	(A.G.,O.Z.)
20	P	Ś. Bernardyna z Sieny.	Bernardyna z Sieny, I Zak.	(O.Z.)
21	S	Ś. Andrzeja Boboli.	Kryspina z Viterbo, I Zak.	(O.Z.)
Niedz. 6-ta po Wielkanocy — Ew.: O obietnicy zesłania Ducha Św. (Jan 15)				
22	N	Ś. Ryty.	Jana Forest i Tow., M.M., I Zak.	
23	P	Ś. Dezyderiusza.	Bartola, Benwenutego i Gerarda	
24	W	**Maryi, Wspomożenia Wiern.**		
25	Ś	Ś. Grzegorza.		
26	C	Ś. Filipa Neriusza.	Marii Anny, III Zak.	
27	P	Bł. Bedy.	Marii z Agredo	
28	S	Ś. Augustyna.	Stefana i Rajmunda, M.M., I Zak.	
Niedziela Zielonych Świątek — Ew.: O zesłaniu Ducha Św. (Jan 14, 23-31)				
29	N	Ś. Magdaleny de Pazzi.	**Urocz. Zielonych Świątek**	(A.G.)
30	P	Ś. Joanny z Arc.	Ferdynanda, Króla, III Zak.	(O.Z.)
31	W	Ś. Anieli Merici.		



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	Ś	**Suche Dni;** Jakuba Strepy.	Anieli Merici, III Zak.	(O.Z.)
2	C	ŚŚ. Sadoka i Tow.	Feliksa, I Zak.	(O.Z.)
3	P	**Suche Dni;** Klotyldy.	Andrzeja, I Zak.	
4	S	**Suche Dni;** Franciszka.		

Niedz. 1 po Ziel. Świąt. — Ew.: O władzy nadanej Chrystusowi (Mat. 28)

5	N	Ś. Bonifacego.	**Trójcy Przenajświętszej**	(A.G.,O.Z.)
6	P	Ś. Norberta.	Alojzego od Krzyża, I Zak.	(A.G.)
7	W	Ś. Roberta.	Humiliany, III Zak.	
8	Ś	Ś. Medarda.		
9	C	**Urocz. Bożego Ciała.**	Pacyfika i Wawrz., I Z.	(A.G.,O.Z.)
10	P	Ś. Małgorzaty.	Generozy, II Zak.	
11	S	Ś. Barnaby.	Rogeriusza Bacon, I Zak.	

Niedz. 2 po Ziel. Świąt. — Ew.: O wezwaniu na ucztę (Łuk. 14, 16-24)

12	N	Ś. Jana.		
13	P	**Ś. Antoniego z Padwy.**	Antoniego z Padwy, I Z.	(O.Z.)
14	W	Ś. Bazylego Wielkiego.	Jana Zumar, I Zak.	
15	Ś	ŚŚ. Wita i Modesta.	Iwona, III Zak.	(O.Z.)
16	C	Ś. Jaua Franciszka Regis.		
17	P	**Urocz. Serca Jezusowego.**	Urocz. Serca Jezusowego	(A.G.,O.Z.)
18	S	Ś. Efrema.		

Niedz. 3 po Ziel. Świąt. — Ew.: O zgubionej owcy (Łuk. 15, 1-10)

19	N	Ś. Julianny.	Cecylii Janelli, III Zak.	
20	P	Ś. Sylweriusza.		
21	W	Ś. Alojzego Gonzagi.	Anioła Klar., I Zak.	
22	Ś	Ś. Paulina.	Leonarda Golici, III Zak.	
23	C	Ś. Zenona.	Józefa Cafasso, III Zak.	
24	P	**Narodzenia Ś. Jana Chrz.**	Nar. św. Jana Chrzciciela	(O.Z.)
25	S	Ś. Williama.		

Niedz. 4 po Ziel. Świąt. — Ew.: O obfitym połowie ryb (Łuk. 5, 1-11)

26	N	ŚŚ. Jana i Pawła.		
27	P	**M. B. Nieust. Pomocy.**		
28	W	Ś. Ireneusza.		
29	Ś	**ŚŚ. Piotra i Pawła, Ap.**	Piotra i Pawła, Ap.	(A.G.,O.Z.)
30	C	Wspomnienie św. Pawła.	Rolandy, III Zak.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	P	**Przenajśw. Krwi P. Jezusa.**	**Przenajśw. Krwi P. Jezusa**	
2	S	**Nawiedzenia N. M. P.**	Nawiedzenia N.M.P.	(A.G.)

Niedz. 5 po Ziel. Świąt. — Ew.: O sprawiedliwości faryzeuszów (Mat. 5)

3	N	Ś. Leona II; Anatola.	Małgorzaty od Krzyża, II Zak.	
4	P	Ś. Teodora; Berty.	Rajmunda, M., III Zak.	
5	W	Ś. Antoniego Zaccaria.	Eliasza, I Zak.	
6	Ś	Ś. Łucji; Tomasza Morusa.	Tomasza More, III Zak.	
7	C	ŚŚ. Cyryla i Metodego.	Michała, I Zak.	
8	P	Ś. Elżbiety Portugalskiej.	Elżbiety Portugalskiej, III Z.	(O.Z.)
9	S	Ś. Marii Goretti.	Mikołaja i Tow., M.M., I Z.	(O.Z.)

Niedz. 6 po Ziel. Świąt. — Ew.: O nakarmieniu 4,000 ludzi (Mar. 8, 1-9)

10	N	ŚŚ. 7 Braci Męczenników.	Emmanuela i Tow., M.M., I Zak.	
11	P	Ś. Piusa I, Papieża.	Weroniki Giuliani, II Zak.	(O.Z.)
12	W	Ś. Jana Gwalberta.	Bernarda, I Zak.	
13	Ś	Ś. Anakleta, Papieża.	Franciszka Solana, I Zak.	(O.Z.)
14	C	Ś. Bonawentury, Doktora.	Bonawentury, I Zak.	(O.Z.)
15	P	Ś. Henryka, Cesarza.		
16	S	**Matki B. Szkaplerznej.**		

Niedz. 7 po Ziel. Świąt. — Ew.: O fałszywych prorokach (Mat. 7, 15-21)

17	N	Ś. Aleksego.	Marii Magdaleny, III Zak.	
18	P	Ś. Kamila z Lellis.	Teotima, M., I Zak.	
19	W	Ś. Wincentego a Paulo.	Antoniego Br., M., I Zak.	
20	Ś	Bł. Czesława; Ś. Małgorzaty.	Angeliny, III Zak.	
21	C	Ś. Praksedy.		
22	P	Ś. Marii Magdaleny.		
23	S	Ś. Apolinarego.	Wawrzyńca z Brindisi, I Z.	(O.Z.)

Niedz. 8 po Ziel. Świąt. — Ew.: O niesprawiedliwym włodarzu (Łuk. 16)

24	N	Bł. Kingi; Ś. Krystyny.	Kunegundy, II Zak.	
25	P	**Ś. Jakuba, Apostoła.**	Ludwika, M., I Zak.	
26	W	**Ś. Anny, Matki N. M. P.**	Św. Anny, Matki N.M.P.	(O.Z.)
27	Ś	Ś. Pantaleona.	Marii Magd. Martinengo	(O.Z.)
28	C	ŚŚ. Nazariusza i Tow.	Wawelona, III Zak.	
29	P	Ś. Marty.		
30	S	ŚŚ. Abdona i Sennena.	Szymona, Piotra i Archanioła, I Zak.	

Niedz. 9 po Ziel. Świąt. — Ew.: O zburzeniu Jerozolimy (Łuk. 19, 41-47)

31	N	Ś. Ignacego Loyola.	Marii Huber, III Zak.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	P	Ś. Piotra w okowach.	Jana de Piano, I Zak.
2	W	**M.B.Anielskiej;** Ś. Alfonsa.	Odpust Porcjunkuli
3	Ś	Relikwij Ś. Szczepana.	Tomasza, M., I Zak.
4	C	Ś. Dominika.	
5	P	**Matki B. Śnieżnej.**	
6	S	**Przemienienia Pańskiego.**	Antoniego Marg., I Zak.

Niedz. 10 po Ziel. Świąt. — Ew.: O faryzeuszu i celniku (Łuk. 18, 9-14)

7	N	Ś. Donata; Kajetana.	Agatangela i Kasjana, M. (O.Z.)
8	P	ŚŚ. Cyriaka, Larga, Smarag.	Wincentego z Akwinu, III Zak.
9	W	Ś. Jana Vianney.	Jana Marii Vianney, III Zak. (O.Z.)
10	Ś	Ś. Wawrzyńca.	Amadeusza ze Silwy, I Zak.
11	C	Ś. Zuzanny.	Ludwiki, II Zak.
12	P	Ś. Klary.	Klary, II Zak. (A.G.,O.Z.)
13	S	ŚŚ. Hipolita i Kasjana.	Jana, Wincentego i Nowelona, I Zak.

Niedz. 11 po Ziel. Świąt. — Ew.: O głuchoniemym (Mar. 7, 31-37)

14	N	Ś. Euzebiusza; **Wigilia.**	Sanktesa i Franciszka, I i III Zak.
15	P	**Wniebowzięcia N. M. P.**	Wniebowzięcia N.M.P. (A.G.,O.Z.)
16	W	**Ś. Joachima, ojca N.M.P.**	Św. Joachima (O.Z.)
17	Ś	Ś. Jacka.	Rocha, III Zak. (O.Z.)
18	C	Ś. Agapita; Heleny.	Beatrycy i Pauli, II Zak.
19	P	Ś. Ludwika; Jana Eudes.	Ludwika, I Zak. (O.Z.)
20	S	Ś. Bernarda.	Liwina, M., I Zak.

Niedz. 12 po Ziel. Świąt. — Ew.: O samarytaninie (Łuk. 10, 23-37)

21	N	Ś. Joanny de Chantal.	Aleksandra, I Zak.
22	P	**Niep. Serca N. M. P.**	Niep. Serca Maryi (O.Z.)
23	W	Ś. Filipa Benicjusza.	Anioła z Par., I Zak.
24	Ś	**Ś. Bartłomieja, Apostoła.**	Agnieszki, II Zak.
25	C	Ś. Ludwika.	Ludwika, III Zak. (A.G.,O.Z.)
26	P	**M. B. Częstochowskiej.**	Bernarda z Offidy, I Zak. (O.Z.)
27	S	Ś. Józefa Kalasantego.	7 Radości N.M.P. (A.G.,O.Z.)

Niedz. 13 po Ziel. Świąt. — Ew.: O trędowatych (Łuk. 17, 11-19)

28	N	Ś. Augustyna.	
29	P	Ścięcia św. Jana Chrzciciela.	Ludwika Sot., M., I Zak.
30	W	Ś. Róży Limańskiej.	Benedykta, I Zak.
31	Ś	Ś. Rajmunda.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	C	Ś. Idziego; Bronisławy.	Jana i Piotra, M.M., I Zak.
2	P	Ś. Stefana.	Jana, Seweryna
3	S	Ś. Serapii.	

Niedz. 14 po Ziel. Świąt. — Ew.: O służeniu Bogu i mamonie (Mat. 6)

4	N	Ś. Rozalii.	Róży z Viterbo, III Zak. (O.Z.)
5	P	Ś. Wawrzyńca Justyn.	Gentilisa, M., I Zak.
6	W	Ś. Eleuteriusza.	Liberata i Peregryna, I Zak.
7	Ś	Ś. Reginy.	
8	C	**Narodzenia N. Maryi Panny.**	Narodzenia N.M.P. (A.G.,O.Z.)
9	P	Ś. Piotra Klawera.	Michaliny, III Zak.
10	S	Ś. Mikołaja z Tolentynu.	Apolinarego i Tow., M.M., I i III Z.

Niedz. 15 po Ziel. Świąt. — Ew.: O wskrzeszeniu młodzieńca (Łuk. 7)

11	N	ŚŚ. Prota i Jacka.	Bonawentury, I Zak.
12	P	**Najśw. Imienia Maryi.**	Piotra, I Zak.
13	W	Ś. Eulogiusza.	Franciszka, I Zak.
14	Ś	**Podwyższenia św. Krzyża.**	Piotra Majony, M., I Zak.
15	C	**7 Boleści N. M. P.**	7 Boleści N.M.P.
16	P	ŚŚ. Korneliusza i Cypriana.	Leona i Tow., M.M., I Zak.
17	S	**Blizn św. Franciszka.**	Blizn św. Franciszka (A.G.,O.Z.)

Niedz. 16 po Ziel. Świąt. — Ew.: O uzdrowieniu opuchłego (Łuk. 14, 1-11)

18	N	Ś. Józefa z Kupertynu.	Józefa z Kupertynu, I Zak. (O.Z.)
19	P	Ś. Januarego.	Pawła, I Zak.
20	W	ŚŚ. Eustachego i Tow.	Jana Brug., I Zak.
21	Ś	**Suche Dni; Mateusza, Ap.**	Ignacego, I Zak.
22	C	Ś. Tomasza z Villanova.	Piotra Damiana, I Zak.
23	P	**Suche Dni;** Tekli.	
24	S	**Suche Dni;** Maryi od Wykupu.	Pacyfika, I Zak. (O.Z.)

Niedz. 17 po Ziel. Świąt. — Ew.: O największym przykazaniu (Mat. 22)

25	N	Bł. Władysława z Gielniowa.	Franciszka Marii, I Zak.
26	P	ŚŚ. Izaaka Jogues i Tow.	Delfiny, III Zak. (O.Z.)
27	W	ŚŚ. Kosmy i Damiana.	Elzeara, III Zak. (O.Z.)
28	Ś	Ś. Wacława.	Bernardyna z Feltry, I Zak.
29	C	Ś. Michała, Archanioła.	Św. Michała (O.Z.)
30	P	Ś. Hieronima.	Benignusa, I Zak.



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	S	Ś. Remigiusza.	Jana Duklana i Mikołaja, I i III Z.

Niedz. 18 po Ziel Świąt. — Ew.: O zapowietrzonym (Mat. 9, 1-8)

2	N	ŚŚ. Aniołów Stróżów.	ŚŚ. Aniołów Stróżów (O.Z.)
3	P	Ś. Teresy od Dz. Jezus.	Wigilia. Post dla tercjarzy.
4	W	**Ś. Franciszka z Asyżu.**	Św. Franciszka z Asyżu. (A.G.,O.Z.)
5	Ś	Ś. Placyda.	Felicji, II Zak.
6	C	Ś. Brunona.	Marii Franciszki, III Zak.
7	P	**Matki B. Różańcowej.**	Jana, I Zak.
8	S	Ś. Brygidy.	Brygidy, III Zak.

Niedz. 19 po Ziel. Świąt. — Ew.: O szacie godowej (Mat. 22, 1-14)

9	N	Ś. Dionizego i Tow.	Jana Sob., I Zak.
10	P	Ś. Franciszka Borgiasza.	Daniela i Tow., M.M., I Zak. (O.Z.)
11	W	**Macierzyństwa N. M. P.**	
12	Ś	Ś. Wilfrida.	
13	C	Ś. Edwarda.	Serafina, I Zak. (O.Z.)
14	P	Ś. Kaliksta, Papieża.	
15	S	Ś. Teresy.	Bonawentury, I Zak.

Niedz. 20 po Ziel. Świąt. — Ew.: O uzdrowieniu syna królewskiego (Jan 4)

16	N	Ś. Jadwigi; Anastazego.	Jana z Ypern, III Zak.
17	P	Ś. Małgorzaty Marii Alac.	Bertranda, I Zak.
18	W	**Ś. Łukasza, Ewangelisty.**	Anny Telber, III Zak.
19	Ś	Ś. Piotra z Alkantary.	Piotra z Alkantary, I Zak. (O.Z.)
20	C	Ś. Jana Kantego.	Herkulana, I Zak.
21	P	Ś. Urszuli.	Jakuba ze Strepy, I Zak.
22	S	Ś. Melaniusza.	

Niedz. 21 po Ziel. Świąt. — Ew.: O niegodziwym słudze (Mat. 18, 23-35)

23	N	Ś. Antoniego M. Claret.	Józefiny, II Zak.
24	P	**Ś. Rafała, Archanioła.**	
25	W	Ś. Chryzanta.	
26	Ś	Ś. Ewarysta.	Bonawentury, I Zak. (O.Z.)
27	C	Ś. Florencjusza.	
28	P	**ŚŚ. Szymona i Judy, Ap.**	
29	S	Ś. Narcyza.	

Niedz. 22 po Ziel. Świąt. — Ew.: O monecie czynszowej (Mat. 9, 18-26)

30	N	**Chrystusa Króla**; Alfonsa.	Anioła z Acri, I Zak. (O.Z.)
31	P	Ś. Wolfganga.	



		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI	
1	W	**Wszystkich Świętych.**	Wszystkich ŚŚ.	(A.G.)
2	Ś	**Dzień Zaduszny.**	Krzysztofa, I Zak.	
3	C	Ś. Huberta.	Rajnera, I Zak.	
4	P	Ś. Karola Boromeusza.	Karola Boromeusza, III Zak.	
5	S	ŚŚ. Zachariasza i Elżbiety.		

Niedz. 23 po Ziel. Świąt. — Ew.: O córce Jaira (Mat. 9, 18-26)

6	N	Ś. Leonarda.	Małgorzaty, II Zak.	
7	P	Ś. Wilibrorda.	Heleny, II Zak.	
8	W	Ś. Godfryda.	Jana Szkota, I Zak.	
9	Ś	Ś. Teodora.	Franciszka, I Zak.	
10	C	Ś. Andrzeja z Awelinu.	Tomasza i Tow., M.M., I Zak.	
11	P	Ś. Marcina, Biskupa.		
12	S	Ś. Marcina, Papieża.		

Niedz. 24 po Ziel. Świąt. — Ew.: O ziarnie gorczycznym (Mat. 13, 31-35)

13	N	Ś. Stanisława Kostki.	Dydaka, I Zak.	(O.Z.)
14	P	Ś. Józafata.	Józafata	(O.Z.)
15	W	Ś. Alberta.	Dawida, I Zak.	
16	Ś	Ś. Gertrudy.	Agnieszki asyskiej, II Zak.	(O.Z.)
17	C	Ś. Grzegorza.	Salomei i Joanny, II i III Zak.	
18	P	Pośw. Bazyl. ŚŚ. Piot. i Paw.		
19	S	Ś. Elżbiety Węgierskiej.	Elżbiety, III Zak.	(A.G.,O.Z.)

Niedz. 25 po Ziel. Świąt. — Ew.: O końcu świata (Mat. 24, 15-35)

20	N	Ś. Feliksa.	Leona, Rufina i Masseusza, I Zak.	
21	P	**Ofiarowania N. M. P.**	Ofiarowania N.M.P.	(A.G.)
22	W	Ś. Cecylii.		
23	Ś	Ś. Klemensa.		
24	C	Ś. Jana od Krzyża.	Alberta z Leyd., M., I Zak.	
25	P	Ś. Katarzyny Aleksandryj.	Katarzyny aleksandryjskiej	(A.G.)
26	S	Ś. Sylwestra; Jana Berchm.	Leonarda z P. Maur., I Zak.	(O.Z.)

Niedz. 1-sza Adwentu — Ew.: O znakach na niebie (Łuk. 21, 25-33)

27	N	Ś. Maksyma.	Bernarda i Humilisa, I Zak.	
28	P	Ś. Jakuba z La Marca.	Jakuba z Marchii, I Zak.	(O.Z.)
29	W	Ś. Saturnina.	Wszystkich ŚŚ. Zak. Fran.	(O.Z.)
30	Ś	**Ś. Andrzeja, Apostoła.**	Blanki, III Zak.	



grudzień

		KALENDARZ RZYMSKI	KALENDARZ SERAFICKI
1	C	Ś. Natalii; Eligiusza.	Dzień Zaduszny Zak. Fran. (O.Z.)
2	P	Ś. Bibiany.	Anioła z Monteleone, I Zak.
3	S	Ś. Franciszka Ksawerego.	Rafała Chylińskiego, I Zak.
Niedz. 2-ga Adwentu — Ew.: O Janie w więzieniu (Mat. 11, 2-10)			
4	N	Ś. Barbary.	Piotra z Bogn., I Zak.
5	P	Ś. Saby.	
6	W	Ś. Mikołaja.	Salwatora i Tow., M.M., I Zak.
7	Ś	Ś. Ambrożego.	Wigilia. Post dla Tercjarzy.
8	C	**Niepokalanego Pocz. N.M.P.**	Niep. Pocz. N.M.P. (A.G.,O.Z.)
9	P	Ś. Leokadii.	Elżbiety i Delfiny, III Zak.
10	S	**N. Maryi P. Loretańskiej.**	Piotra seneńskiego, III Zak.
Niedz. 3-cia Adwentu — Ew.: O świadectwie św. Jana (Jan 1, 19-28)			
11	N	Ś. Damazego.	Hugolina, III Zak.
12	P	**N. M. P. z Guadalupe.**	N.M.P. z Guadalupe.
13	W	Ś. Łucji.	
14	Ś	**Suche Dni;** Agnellusa.	Konrada i Bartola, I i III Zak.
15	C	Ś. Florencji.	
16	P	**Suche Dni;** Euzebiusza.	
17	S	**Suche Dni;** Łazarza.	
Niedz. 4-ta Adwentu — Ew.: Poselstwo św. Jana (Łuk. 3, 1-6)			
18	N	Ś. Rufusa.	
19	P	Ś. Fausty.	
20	W	Ś. Liberata.	
21	Ś	**Ś. Tomasza, Apostoła.**	
22	C	Ś. Franciszki Cabrini.	Bonifacego Sezze, I Zak.
23	P	Ś. Wiktorii.	Mikołaja Faktora, I Zak.
24	S	Ś. Delifina.	
Boże Narodzenie — Ew.: O narodzeniu Chrystusa (Łuk. 2, 1-14)			
25	N	**Urocz. Bożego Narodzenia.**	Boże Narodzenie. (A.G.)
26	P	Ś. Szczepana.	
27	W	**Ś. Jana, Apostoła i Ewang.**	Hugolina z Sum., I Zak.
28	Ś	ŚŚ. Młodzianków.	Anny Marii, II Zak.
29	C	Ś. Tomasza z Canterbury.	
30	P	Ś. Sabina; Eugeniusza.	Małgorzaty i Matei, II Zak.
31	S	Ś. Sylwestra, Papieża.	Jana Parenti, I Zak.

Zapomniany



Jałmużnik

Ks. Piotr Skarga Pawęski, autor "Kazań Sejmowych", był jednym z największych jałmużników Polski. Wyprzedził w zorganizowaniu akcji charytatywnej o całych lat czterdzieści św. Wincentego a Paulo.

Każdemu znane jest nazwisko wielkiego Polaka i kapłana, Piotra Skargi Pawęskiego, autora "Kazań Sejmowych". Mało jednak osób wie o tym, że Skarga jest jednym z największych jałmużników, jakich wydała Polska przedrozbiorowa. Jest on równocześnie pierwszym, który wprowadził u nas zorganizowaną akcję charytatywną. Na uwagę zasługuje fakt, że wyprzedził w tym o całych lat czterdzieści swego duchowego brata, wielkiego syna Francji, św. Wincentego a Paulo.

Skarga miał serce wyjątkowo współczujące ludzkiemu cierpieniu i nędzy. Może wpłynęło na to jego własne ciężkie i sieroce dzieciństwo, a może po prostu przyniósł ze sobą na świat jakąś żywiołową potrzebę kochania i poświęcania się dla innych. A przy tym ten uczuciowiec miał w sobie, co rzadko idzie w parze, wiele zmysłu praktycznego i zdolności organizatorskich. I właśnie połączenie tych zalet pozwoliło mu na osiągnięcie wielkich rzeczy w dziedzinie niesienia ulgi nędzy ludzkiej.

Prawdopodobnie owo miłosierdzie przejawiało się u Skargi już wcześnie i praktykował je niejednokrotnie. Brakło mu może jednak pola i środków, by je rozwinąć na większą skalę. Pole to znajduje na wstępie swej kariery kapłańskiej. Zwraca wtedy uwagę tkliwa i ofiarna opieka, jaką otacza wszelkich potrzebujących i nieszczęśliwych.

Początkowo Skarga zostaje księdzem świeckim. Lecz widocznie nie wyczerpywało to w całości potrzeb jego serca, skoro bez wahania porzuca świetną karierę, którą zdawały się zapowiadać jego wyjątkowe zdolności i uznanie, jakim się cieszył, i 2 lutego, 1569 roku wstępuje do niedawno powstałego, a już

głośnego swą działalnością Zakonu Jezuitów.

Dwa lata spędzone w Rzymie, gdzie mieścił się nowicjat Jezuitów, nie tylko mają duże znaczenie dla życia wewnętrznego Skargi, lecz nie pozostają też bez wpływu na rozwój późniejszej jego działalności. Na terenie Włoch styka się on bowiem z istniejącymi tam już bractwami miłosierdzia. To zasiewa w nim myśl utworzenia podobnych organizacji we własnym kraju.

A czasy te wyjątkowo miłosierdzia potrzebują. Jest to epoka, w której nieokiełzany zbytek styka się ze skrajną nędzą, a wybujały rozrost potęgi jednych warstw — z największym poniżeniem innych. Skarga to wszystko widzi i po powrocie do kraju niejednokrotnie uderza w swych kazaniach w świętą strunę miłosierdzia i sprawiedliwości. Na różnych swych placówkach nie omija sposobności, by zachęcać do czynnego pełnienia miłosierdzia, sam najpierwszy dając tego przykład. Jednak terenem, na którym najwspanialej akcję tę rozwinie, staje się dopiero Kraków, dokąd udaje się wysłany przez ówczesnego Prowincjała, Jana Kampana.

Jezuici przybyli do Krakowa w 1568 r.; oddano im maleńki kościółek św. Macieja, znajdujący się jeszcze wówczas na placu Szczepańskim. Straszna tam panowała ciasnota i trudno było rozwinąć jakąkolwiek szerszą działalność. Toteż Batory, w porozumieniu z Biskupem krakowskim Piotrem Myszkowskim, oddał im 5 lutego, 1583 roku kościół św. Barbary, zbudowany jeszcze w XIII wieku dla Niemców-katolików mieszkających w Krakowie. Kościół ten, początkowo licznie uczęszczany, w miarę spolszczenia się żywiołu niemieckiego pustoszał coraz bardziej. Wreszcie zamieniono go po prostu na rupieciarnię. Znajdował się w iście opłakanym stanie: brudny, obdrapany i zniszczony. Wznosił się on w obrębie cmentarza, otaczającego wówczas kościół Mariacki.

Pierwszy superior tego kościoła, Piotr Grodzicki, począł łatać biedę, jak mógł, ale niewiele zdołał zrobić. Dopiero przybycie dzielnego pomocnika w osobie Piotra Skargi, wówczas już autora "Żywotów Świętych Pańskich",- zapoczątkowało nową erę w dziejach kościoła św. Barbary.

Skarga przybywa do Krakowa 26 czerwca, 1583 r. i z właściwą sobie energią przystępuje do dzieła. Sława jego wymowy kaznodziejskiej przyciąga liczne rzesze pobożnych i ciekawych. Ale gdzie tu kazać, gdy kościół jest jeszcze nie do użycia? U św. Macieja znów ciasnota nie pozwala na pomieszczenie tych, którzy chcieliby posłyszeć głośnego kaznodzieję. Dobrze przynajmniej, że upalne lato pozwala przemawiać od wrót kościelnych, ale przed zimą trzeba koniecznie pomyśleć o przywróceniu kościoła św. Barbary do stanu używalności.

W sferach pobożnych Krakowa istniało wówczas grono bogobojnych niewiast. Przewodziła im zacna pani Dorota Barzyna, wdowa po wojewodzie krakowskim. Po śmierci męża poświęciła się ona wychowaniu syna jedynaka, a poza tym oddała się całkowicie czynom pobożności i miłosierdzia. Ze względu na swe nieskazitelne życie i budzące podziw w owych czasach oczytanie religijne cieszyła się powszechnym szacunkiem. Ona to i zgromadzone wokół niej inne pobożne białogłowy nadawały niejako ton religijnemu życiu Krakowa i

zajęcie się ich jakimkolwiek dziełem było najlepszą dla tego dzieła reklamą. Trzeba też przyznać, że były szczerze i żarliwie oddane sprawie Bożej i przyczyniły się bardzo do podniesienia pobożności i obyczajności w Krakowie.

One to właśnie całą gorliwość swych zacnych serc zwróciły ku sprawie renowacji kościoła św. Barbary. Nie tylko składać zaczęły hojne ofiary, ale i własnym mozołem pragnęły się przyczynić do podniesienia świątyni Pańskiej.

"Patrzyłem na was — powie później Skarga — gdyście zabrukany kościół św. Barbary i ściany jego i obrazy własnymi rekami umywały".

Niebawem świątynia odzyskała piękny wygląd. Lecz nie wyczerpało to bynajmniej zapału pobożnych niewiast. Przeciwnie, zachęcone powodzeniem, rwały się do nowych dzieł, a Skarga tylko marzył, by ich ofiarność skierować ku dziełom miłosierdzia. Myśl założenia "Bractwa Miłosierdzia" nie dawała mu spokoju.

Punktem wyjścia stał się pewien wypadek.

Uboga stolarka Magdalena Walenta, której mąż ciężko zachorował, a troje drobnych dzieci głodowało, uderzyła żałosnym płaczem w kruchcie św. Barbary, opowiadając głośno o swym nieszczęściu. Zdarzenie to posłużyło Skardze do wygłoszenia płomiennego kazania, w którym zachęcał zebranych do utworzenia "Bractwa Miłosierdzia". Było to dnia 7 października, 1584 roku. Celem tego bractwa miało być "wspieranie potajemnie ze wspólnej jałmużny ludzi domowym ubóstwem a zwłaszcza niemocą trapionych, co żebrać się wstydzą lub nie mogą, a pomocy znikąd nie mają".

MIŁOSIERDZIE TORUJE DROGĘ DO DUSZ

Misjonarz katolicki z Polour, diecezji Madras w Indiach, długo przemyśliwał nad tym, w jaki sposób nawrócić mieszkańców niezbyt odległej wioski, którzy dotąd nie okazywali chęci poznania religii Chrystusowej. Czego jednak nie mogło dokonać słowo, sprawiło miłosierdzie.

Oto dowiedział się, że mieszkańcy tej wioski są pozbawieni wody. Z daleka musieli ją sprowadzać. Sprzedaje więc wołu, który był prawie całym jego majątkiem, ogranicza jeszcze bardziej swe skromne potrzeby i przystępuje do kopania studni. Osobiście kieruje robotami, i oto po pewnym czasie wieś otrzymuje doskonałą wodę.

Ten czyn otworzył oczy mieszkańcom wioski na wartość religii Chrystusowej. W ciągu dwóch tylko miesięcy czterysta osób zgłosiło się z prośbą o Chrzest św.

NAJPIĘKNIEJSZY TESTAMENT

Pewien 60-letni Japończyk, katolik, przemyśliwał wraz z żoną, w jaki sposób najlepiej rozporządzić swym majątkiem, nie miał bowiem dzieci.

Stanęło wreszcie na tym, że zbudowali duże schronisko dla biednych starców, powierzyli kierownictwo OO. Salezjanom z Miyasaki, sami zaś poprosili o przyjęcie do schroniska w charakterze usługujących biedakom.

Skutek był taki, że zaraz po nim wpisało się siedem osób, a w dwa tygodnie później bractwo liczyło już 25 członków. "Starszym" swym obrało Mikołaja Tarnowskiego, kanonika krakowskiego, a "Ojcem Duchownym" samego Skargę. Równocześnie wyznaczono urzędników zewnętrznych.

Skarga wypracował statut stowarzyszenia, które otrzymało nazwę "Bractwa Miłosierdzia Bogarodzicy".

Przegląd obowiązków członkowskich jest najlepszym wyrazem, jak głęboko pojmował Skarga zagadnienia miłosierdzia. Podłożem, z którego wypływać winno, i ostatecznym celem, do którego ma zmierzać, jest Bóg. W oderwaniu od Niego miłosierdzie utraciłoby swą zasadniczą wartość. Toteż pierwsze trzy punkty statutu poświęcone są obowiązkom religijnym, które mają wyprosić członkom bractwa łaskę Boga do godnego i jak najlepszego wypełniania dobrych uczynków.

Punkty dalsze regulują sprawę składania do "skrzyni" brackiej cotygodniowej jałmużny (oczywiście dobrowolnie przez siebie zadeklarowanej), sprawę terminów "schadzek", czyli zebrań, kwestię delegowania co tydzień 2 członków, mających odwiedzać chorych i więźniów, niosąc im "jałmużnę duchowną i świecką"; wreszcie omawiają ewentualne kwesty na rzecz ubogich przed kościołem św. Barbary.

Sama organizacja bractwa obmyślona jest szczegółowo i przewiduje całą hierarchię urzędów, pełnionych oczywiście bezinteresownie. Pedantyczna staranność i zmysł praktyczny Skargi przebijają w przepisach prowadzenia całej kancelarii, a więc rejestru członków, przychodu, rozchodów jałmużn itd. Nie zapomniał nawet Skarga o sposobie wyboru urzędników, które mają się odbywać tajnie, wyznaczając 7 elektorów, którzy rozdzielają sami między sobą urzędy.

W udzielaniu jałmużny wprowadza Skarga pewną kolejność, świadczącą o jego wnikliwości i subtelności, a zarazem o jego poczuciu sprawiedliwości; np.: "pierwej mają odprawować chore a niźli zdrowe", "pierwej te, co dla samego nieszczęścia zubożeli, niźli te, którzy same przyczynę dali", "pierwej te, co mają siła dzieci, niźli te, co nie mają, albo mniej mają, pierwej te, którzy będąc w nędzy, do grzechu się jakiegoś skłaniają, niźli te, którzy w samej cielesnej są nędzy".

Z roku na rok wzrasta ilość członków "Bractwa Miłosierdzia". Zapisują się możni i skromni tego świata. Jako "członkinie założycielki" figurują oczywiście: Dorota Barzyna i inne niewiasty z jej otoczenia, które nie szczędzą swych fortun na rzecz ubogich. Bractwo zyskuje wciąż na popularności i przyciąga coraz to znamienitsze osobistości; żeby tylko wspomnieć słynnego Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewodę krakowskiego, lub Szymona Syreniusza, doktora medycyny, autora cennego zielnika. W 1591 roku sam król Zygmunt III ubiega się o wpisanie go w poczet członków i obowiązki swe wypełnia skrupulatnie. Kilka lat później wpisuje się królowa Konstancja, wraz z Urszulą Meierin, najwyższą ochmistrzynią swego dworu.

Skarga całą duszą poświęca się bractwu. Stara się przede wszystkim o podtrzymanie wewnętrznego entuzjazmu, który ma być tajemnym ogniem, podsycającym żar dobrych uczynków. Równocześnie

jego praktyczny umysł nieustannie przemyśliwa nad wprowadzeniem coraz to nowych ulepszeń, które by sprawiły owo wspólne miłosierdzie i uczyniły je jak najskuteczniejszym. Owocem tych rozmyślań jest założenie w 1586 roku "Banku Pobożnego", tzw. "Mons Pietatis".

Cel jego określa jako "pożyczanie osobom potrzebnym na zastawy ruchomości bez żadnej prowizji, do pewnego czasu, aby biednych od łakomych lichwiarzy uwolnić". Rzeczywiście ówcześni lichwiarze i ich wysokie procenta były istną plagą tych, którzy przyciśnięci potrzebą, musieli u nich szukać pożyczek.

Funduszem zakładowym miały być jedynie składki i legata pobożnych. Kapitał, z którym uruchomiono bank, wynosił 210 złp. Jak dobrze musiano nim zarządzać i jakim zaufaniem cieszyła się instytucja, świadczy fakt, że 14 lipca, 1600 r., a więc w 14 lat później, stały kapitał bankowy wynosi już 2,994 złp. i 10 i pół grosza.

W całej organizacji owego "Mons Pietatis" i w obmyśleniu szczegó-

UCIĄŻLIWE PIELGRZYMKI

W meksykańskiej diecezji Queretaro istnieje od 1886 r. zwyczaj odbywania dorocznej pielgrzymki do bazyliki Matki Boskiej z Guadalupe w mieście Meksyku. Odległość wynosi 131 mil. Droga trwa 7 dni i wiedzie przez pustynie spalone słońcem i przez okolice, które letnie deszcze zmieniają w jedno bagnisko.

Pielgrzymki, których szereg rozciąga się na długości półtora mili, oddają się modlitwie w duchu heroicznej pokuty. Idą sami mężczyźni. W tym roku było ich sześć tysięcy. Są wśród nich bogaci i biedni, starzy i młodzi, milionerzy i gwiazdy filmowe, poskromiciele w walkach byków i wieśniacy. Wielu chłopców towarzyszy swym dziadkom, którzy pamiętają pierwszą pielgrzymkę z 1886 roku. Uczestnicy niosą na plecach żywność, a w nocy śpią na przydrożnych polach.

Był wśród nich ślepiec prowadzony za rękę przez towarzysza i kaleka o kulach.

Góra Św. Patryka

W sobotę, 25 lipca, siedemdziesiąt tysięcy pielgrzymów z Wielkiej Brytanii, Ameryki i Irlandii wspięło się na stromą i skalistą górę Croagh Patrick, gdzie św. Patryk, apostoł Irlandii, trwał na modlitwie i rozmyślaniu przed 1,500 laty.

Na szczycie osłoniętym chmurami 50 księży odprawiało Mszę św. od świtu, a pielgrzymi przystępowali do Komunii św. po odbyciu spowiedzi. W pielgrzymce brał udział 77-letni O. Angelus, który od 46 lat co roku odbywa tę drogę, tak że zwą go "górskim księdzem". Była też najstarsza uczestniczka pielgrzymek na górę św. Patryka, 78-letnia p. Nora Heneghan, która od 60 lat nie opuściła żadnej z tych pobożnych wypraw.

Polscy Pątnicy

W Polsce niezliczone tłumy pielgrzymów wędrują do świątyń Matki Bożej, Pana Jezusa i Świętych na odpusty. Prawie każdy ze starszych spośród nas na emigracji brał udział w takich pielgrzymkach i pamiętamy dobrze pobożny nastrój, jaki panował podczas długiej nieraz wędrówki.

Tak to Kościół św., ta najlepsza z matek, uczy wszystkie swe dzieci na całym świecie jednakowych obyczajów zbiorowej modlitwy i pokuty.

Żydzi pielgrzymowali, jak wiemy z Pisma św., corocznie do świątyni w Jerozolimie, by tam czcić Jedynego Boga.

Wnet po śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa powstał wśród pierwszych chrześcijan zwyczaj odwiedzania miejsc Jego męki i zwyczaj ten trwa do dziś, by się skończyć dopiero z końcem świata.

łowych przepisów zastawu, zwrotu, udzielania pożyczek, ich wysokości, zabezpieczenia, jako też zabezpieczenia samych fantów przed ewentualnym zniszczeniem, przebija znów praktyczność i doskonała orientacja Skargi oraz jego niesłychanie subtelne poczucie sprawiedliwości i chęć dopomożenia potrzebującym.

Mikołaj Zebrzydowski, wpisując się w 1588 roku w poczet "Bractwa Miłosierdzia", za natchnieniem Skargi ufundował tzw. "Skrzynkę św. Mikołaja" do wyposażenia ubogich a cnotliwych panien, które by "ubóstwem przyciśnione w niebezpieczeństwie utraty niewinności zostając", chciały wstąpić w związki małżeńskie czy też schronić się do klasztoru, "byleby świadectwo cnoty i życia bogobojnego za sobą miały". Za przykładem Zebrzydowskiego dołączyli znaczne ofiary do owej "Skrzynki św. Mikołaja" "starszy bracki" Mikołaj Tarnowski i Stanisław Garwacki, również "starszy bracki". Funduszem tym zarządzali urzędnicy "Bractwa Miłosierdzia" z tym, że prócz zwykłych terminów zbierali się zawsze jeszcze w dzień św. Mikołaja, specjalnego swego Patrona.

Za sprawą Nuncjusza Apostolskiego Hipolita Albertrandiego, który osobiście zetknął się ze Skargą i jego dziełem, uzyskuje "Bractwo Miłosierdzia" 28 września, 1588 r. zatwierdzenie przez Papieża Sykstusa V, potwierdzone później przez samego Albertrandiego, który w 1592 r. zostaje Papieżem Klemensem VIII i który zachował zawsze dla Skargi cześć i uznanie, zwąc go w listach "dobrym ojcem".

W styczniu, 1588 r. zostaje Skarga mianowany nadwornym kaznodzieją królewskim i zarazem nadwornym jałmużnikiem. Zamek i jego zbytek nie wypaliły w sercu Skargi przywiązania do wielkiego dzieła miłosierdzia, które sam zapoczątkował. Tak jak ze wspaniałych komnat królewskich wymykał się co wieczór do swej ubogiej celi zakonnej, tak też i od kazań, przeznaczonych dla "rządy kraju naszego sprawujących", uciekał chętnie do prostych, gorących słów zachęty skierowanych do tych, co miłosierdzie szli czynić wśród najbiedniejszych i najbardziej potrzebujących.

Gdy obowiązki nadwornego kaznodziei i formalnego doradcy duchowego całej rodziny królewskiej nie pozwalają mu już tak drobiazgowo jak dawniej zajmować się

BRAK ŚRODKÓW NA MIŁOSIERDZIE

Rozmawiał raz niedowiarek z gorliwym katolikiem, kiedy się zbliżyła do obydwóch zakonnica-kwestarka. Niedowiarek z szyderstwem patrzał na katolika, jak wręczał hojną jałmużnę kwestarce.

— Ciekawym, — odezwał się, — ile pana kosztują podobne ofiary?

— Przyznam się, że niemało, bo 10 do 20 dolarów za każdym razem.

— A dawno pan uprawia taką filantropię?

— Przez całe życie.

— Co za nierozum! Przecież gdybyś pan był składał pieniądze, miałby pan dziś conajmniej luksusowe auto.

— Możliwe. A pan nigdy nie dajesz na cele dobroczynne?

— Nigdy.

— Chciałbym zobaczyć pańską limuzynę, nabytą z oszczędności na "nierozumnej filantropii".

Rozmowa się urwała.

HUMOR

W Sądzie

Sędzia: — Dlaczego skradłeś palto z przedpokoju adwokata X?!

Oskarżony: — Chciałem się, panie sędzio, przekonać, czy sługa należycie pilnuje swoich obowiązków.

Podziękowała

Pod górę jedzie wózek z mlekiem, zaprzągniętym w osła. Turysta pomaga pchać pojazd.

Gospodyni: — Dziękuję pięknie za okazaną pomoc.

Turysta: — Ależ to nic wielkiego.

Gospodyni: — A jednak! Przecież jeden osioł nie dałby sobie rady...

Niech tkwi...

Wierszokleta: — Muszę przynieść nowy mój utwór. Czuję z każdym dniem, że we mnie tkwi poeta.

Redaktor: — Niech tkwi! Tylko, w żadnym wypadku nie wyciągaj go na wierzch.

W Szkole

— Nie rozumiem, jak jeden człowiek może zrobić tyle błędów, ile ty zrobiłeś w zadaniu.

— To nie jeden człowiek, panie profesorze, pomagali mi tatuś i wujaszek.

Niebezpiecznie...

Trzech mężczyzn siedzi w przedziale kolejowym. Scena odbywa się na kolei w Polsce.

Po półgodzinnym milczeniu jeden z nich westchnął ciężko, drugi spojrzał nań i splunął milcząco przed siebie.

A trzeci powiedział cicho:

— Ależ, moi panowie! Przestańmy wreszcie politykować!

bractwem, wygłasza przynajmniej od czasu do czasu płomienne kazania na temat miłosierdzia. Wyjeżdżając z królem do Warszawy i rozstając się na dłużej z bractwem, pisze do niego list pożegnalny (19 września, 1588 r.), który uważać można niejako za jego duchowy testament w stosunku do swego dzieła.

"Niezasłużoną pociechą" nazywa fakt, że Bóg "zbudzić w tym mieście raczył" właśnie owo bractwo, które zwie "duchową obroną i okrasą miasta". A odwracając oczy członków od własnego ich dzieła, mówi: "Bóg w was tę robotę zbudował, który posila ręce i błogosławi ich sprawom". Dziękuje równocześnie ich "nabożnym sercom", iż się dali użyć za narzędzie Boże i błaga ich na pożegnanie, aby "mocno w tym trwali, co się nie z ludźmi zaczęło". Wskazuje in na potęgę w s p ó l n e j akcji charytatywnej, gdzie "każdy się dziwuje, skąd się to wzięło?" Pięć tysiecy złp. (suma na owe czasy olbrzymia) w cztery lata "rozproszyliście na ubogie". — "Taka jest moc miłości i uczestnictwa braterskiego".

Znajduje dla nich słowa czułe, iście ojcowskiej miłości. "Zowię was kochaniem i skarbem moim, bom w was skarb mój niebieskiej nadziei zakopał".

Wreszcie zachęca ich do wytrwania w dobrych postanowieniach, z którymi wstąpili do bractwa. Napomina ich, aby "ten ciężar święty, który na siebie włożyli, aż do drzwi Gospodarza, Który im zapłaci, to jest do śmierci donieśli... bo jeśli na ulicy porzucą, utracą zapłatę".

Po tych gorących słowach pożegnania, pozostawiwszy Bractwo opiece O. Marcina Laterny, opuszcza Skarga Kraków. Jednak nie porzucił myśli o swym dziele. Zaraz

w następnym roku zakłada podobne Bractwa w Warszawie, Wilnie, Poznaniu i Pułtusku.

W 1592 r. znów jest Skarga w Krakowie. Tym razem obok miłosierdzia szczególnie silnie przejawi się jego zmysł praktyczny. Chcąc zapobiec nadużyciom nędzarzy-symulantów, zakłada "Bractwo św. Łazarza", aby prawdziwie chorzy i ubodzy, których ubóstwo zostało stwierdzone, mogli żebrać w wyznaczonych punktach, opatrzeni w odpowiednie odznaki. Inni symulanci i wydrwigrosze, nie mogący się wykazać podobnymi odznakami, mieli być wypędzani.

We wrześniu tegoż roku zakłada Skarga podobne Bractwo w Warszawie, a równocześnie szpital przy ulicy Mostowej, gdzie przyjmowano najbiedniejszych chorych przeważnie zbieranych z ulicy.

"Bractwa Miłosierdzia" stawały się z dniem każdym bardziej popularne i ujmowały coraz mocniej w swe ręce akcję charytatywną.

Zygmunt III, chcąc dać dowód swej sympatii dla Bractwa, którego zresztą sam był członkiem, w Wielkim Tygodniu 1595 r. odprawił wraz z całym dworem pielgrzymkę do siedmiu krakowskich kościołów, kwestując równocześnie na rzecz ubogich. Towarzyszyły mu przy tym najznamienitsze osobistości owych czasów. Przykład króla naśladował w kilka lat później wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski, również członek Bractwa, kwestując w 1604 r. w towarzystwie Dymitra "Samozwańca", bawiącego wówczas w Krakowie, a poczytywanego za prawowitego cara.

Przez ręce Skargi przepływały sumy. Składał z nich zawsze jak najbardziej skrupulatne rachunki. Nawet z pieniędzy, które król chciał mu ofiarować w zamian za jego służbę kaznodziejską, przyjmował ściśle tylko tyle, ile trzeba mu było na opędzenie najkonieczniejszych, a zarazem najskromniejszych potrzeb. I to składał z nich dobrowolnie rok rocznie najdokładniejszy rachunek swemu przełożonemu zakonnemu. "Ojciec ubogich", jak go często nazywano, p r a g n ą ł sam w doskonałym trwać ubóstwie.

Troska o duchową stronę jego dzieła nie opuszczała go. Widząc rozkwit założonych przez siebie bractw, chciał jednak stale wskazywać na pobudki, jakimi winni się kierować ci, którzy czynią miłosierdzie. Napisał "Czytanie na każdą niedzielę roku", przeznaczone do rozważania na zebraniach bractwa. Równocześnie w swych kazaniach niejednokrotnie powracał do miłosierdzia, które uważa za koronę wszelkich cnót: "Wszyscy miłosierni bądźmy, bo bez tej cnoty żadna się Panu Bogu nie podoba. Bez miłości nie waży nic, ani czystość, ani post, ani sprawiedliwość" (Kaz. na VI niedz. po Ziel. Świąt.). Temperatura tych słów przypomina żar św. Pawła.

To znów w ostrych słowach karcił Skarga rozrzutność, tak powszechną w owym XVI wieku, kapiącym od zbytku i przepychu. "Nie na toć Bóg dał majętności, abyś wszystko, jak błazen rozmiatał" (Kaz. na dzień św. Katarzyny). Wskazuje przy tym, jak wielkiej ilości nędzy można by zapobiec, wyrzekając się "pompki".

Podkreślając obowiązek miłosierdzia, zwracał równocześnie uwagę na różnorodność jałmużny, którą możemy obdarować naszego bliźniego: "Nie możesz dać wiele, aby brat nędzy nie cierpiał, daj mało. Nie możesz dać pieniędzy, daj radę, upomnienie, naukę, słowo dobre i

pocieszne. Jeśli mówić nie będziesz, płacz z płaczącymi; jeżeli płakać nie możesz, żałuj brata swego i nędzę jego, a jużeś wypełnił rozkazanie" (Kaz. na VI niedz. po Ziel. Świąt.).

Właśnie owo ujęcie miłosierdzia jako "rozkazania", płynącego z naszej przynależności do Chrystusa, a zarazem poczucie braterstwa, wychodzącego nam naprzeciw w każdym człowieku potrzebującym naszej pomocy, braterstwa płynącego również z tego samego poczucia wspólnej przynależności do Chrystusa, to są te najwyższe wskazania, wołające ku nam z przeszło trzechwiecznej odległości ustami wielkiego, a niestety zapomnianego jałmużnika.

NIEUSTRASZENI W WIERZE

Kiedy w roku 1534 Henryk VIII, król angielski, oderwawszy się od Kościoła katolickiego, zażądał od wszystkich katolików swego państwa, aby go uznali za głowę kościoła angielskiego i przysięgli mu wierność, oparli się temu dwaj znakomici mężowie: Biskup Fisher i lord kanclerz Tomasz Morus. Rozgniewany król osadził ich w więzieniu.

Po 5-miesięcznym zamknięciu, skazano Biskupa Fishera na śmierć. Wleczono go na miejsce stracenia, bo już sam nie mógł chodzić; nogi mu się chwiały, siwe włosy były skalane błotem, z biskupiej zaś szaty zostały tylko łachmany. Ochoczo położył siwy starzec niewinną głowę na pniu i odebrał cios śmiertelny.

Tomasz Morus przebywał podówczas w więzieniu, kiedy ścięto Biskupa. Kiedy mu doniesiono o śmierci Biskupa, Morus ukląkł i błagał Chrystusa, aby mu także pozwolił umrzeć za Wiarę świętą i Kościół. Został wysłuchany — i jego skazano na ścięcie.

Przed tym jednak użyto różnych sposobów, aby go zachwiać w postanowieniu. Żona i dzieci, przysłane do niego, zaklinały go, aby przez swój upór, jak to nazywały, nie czynił ich nieszczęśliwymi.

— Jak długo jeszcze żyć mogę, — zapytał Morus żony, — jeżeli będę posłuszny woli królewskiej?

— Przynajmniej lat dwadzieścia — odpowiedziała żona.

— Czyliż więc — mówił Morus — za te lat dwadzieścia dłuższego życia mam dopuścić się grzechu śmiertelnego i za tak krótki czas potępić się na wieczność całą?

Pożegnał rodzinę z sercem pełnym boleści, lecz postanowił niezłomnie oddać życie za Wiarę katolicką. W piętnaście dni po śmierci Biskupa Fishera, sam został ścięty.



Złote Serce

Przy śniadaniu powiedziano dziedzicowi, że jeden z fornali jego zajął w szkodzie konie gospodarza Gajdy.

Niebawem przybył właściciel koni. Dziedzic wyszedł na ganek i zastał tam córkę swą, trzynastoletnią Anielkę, z obawą i ciekawością przypatrującą się olbrzymiemu wieśniakowi, którego twarz była raczej zakłopotana, niż groźna.

— Cóż? — zaczął pan Jan. — Znowu twoim koniom podobała się moja pszenica . . .

— Zara, jaśnie panie, ja powiem od początku prawdę — rzekł chłop, pochylając się ku ziemi. — Jak słonko wzeszło, kazałem mojej dziewusze popaść konie nade drogą, tu gdzie ugór. A te hycle wzięły zawróciły i poszły w pszenicę. Może nie uszczypały jednej trawki, kiej przyszedł fornal i zajął ich. Tak było, żebym skonania nie doczekał!

Chłop stał, trzymając czapkę w obu rękach, ale śmiało patrząc w oczy.

— No — rzekł pan — dasz trzy ruble fornalowi, który konie zajął!

— O laboga! aż trzy ruble! . . . — krzyknął chłop.

— Więc idź do sądu! — rzekł dziedzic.

— Panie, a jakże iść do sądu, kiej mnie Żydy zgodziły do miasta, żebym zara jechał. Niech się pan zmiłuje i opuści!

— Słuchaj, a czy ty opuściłbyś co mnie?

Chłop milczał.

— Widzisz, jak ty dobrze rozumiesz swoje interesy! Pozwól mi więc, abym i ja swoje rozumiał, i daj dla fornala trzy ruble, jeżeli ci koni potrzeba.

— To już takie pańskie słowo? — pyta Gajda.

— Ostatnie.

Gajda sięgnął za pazuchę i drżącymi rękami wydobył skórzany woreczek.

— Ha! Ma pan! — rzekł, kładąc trzy ruble. — Przynajmniej za to mojej dziewusze kości porachuję, żeby pamiętała! . . .

Dziedzic zawołał fornala, który konie zajął, oddał mu trzy ruble, kazał konie puścić, a sam wrócił do pokoju.

Kiedy znikł we drzwiach, Gajda pogroził za nim pięścią. Teraz Anielka zobaczyła, że człowiek ten ma twarz straszną.

— "Porachuję kości mojej dziewusze! . . ." — powtórzyła Anielka i dreszcz ją przebiegł. — Biedna Magda! . . .

Myśląc o losie Magdy nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak? . . .

Pomoc matki nie na wiele się przyda, bo matka w tej chwili nie miała trzech rubli, które by należało zwrócić Gajdzie w celu ułagodzenia go. Możeby pójść do ojca?

Ale instynkt ostrzegał ją, że ojciec śmiać się tylko będzie z jej współczucia.

Na prawo od ganku, za inspektami, leżały budowle gospodarskie: stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornalem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie bić Magdę...

Co ona myśli w tej chwili? Anielka okrążyła dwór, skręciła na lewo za inspekty i pobiegła do płotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu zatrzymała się, czekając na Gajdę, równie strwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tym, ażeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt końskich i ciężkie kroki chłopa. W tej części płotu jedna ze sztachet była złamana. Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie. Urodzona do rozkazywania, szła prosić.

Chłop, ujrzawszy ją, zatrzymał się i popatrzył ponuro na zbladłą jej twarz i bojaźliwe, szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu! — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?...

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, p r o s z ę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie?... Ona jest taka — o... mnie po ramię. Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takimi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może goniła je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnie by ją zabił.

Na twarzy chłopa malowało się zdziwienie, graniczące z przestrachem. Z oczu, głosu i każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— Oj, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście u d u s i ć... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz! Pewnie siedzi przy oknie i słucha, czy nie nadchodzicie... Musi płakać i trząść się... Bo cóż ona poradzi?... — Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?...

— Anielko! Anielko!... odezwał się z ogrodu wątły głos guwernantki.

Anielka na chwilę u m i l k ł a. Z rozpaczą niemal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyła spoza gorsu złoty medalionik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo!... Ta Matka Boska jest złota i p o ś w i ę c o n a w Rzymie. Dostałam ją od mamy. Kosztuje bardzo dużo, więcej, niż trzy ruble... Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale, macie ją, bylebyście nic złego nie robili Magdzie!...

Dziewczynka, trzymając t a k ą świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopa do znaczenia księdza, trzymającego h o s t i ę. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił:

— Schowaj se, panienka, ten obrazik przenajświętszy, ja tam nie będę takimi rzeczami handlował.

— Anielko! Anielko!... — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?...

— Nie.

— Z pewnością nie?

— A niechże mnie Bóg broni! — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy, nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał...

— Anielko! Anielko!...

— No to bądźcie zdrowi! Dziękuję wam! — I cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał chwilę, patrzał za nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się nabożnie i zaczął mówić pacierz. Chwila ta cofnęła we wspomnieniach aż do pierwszej Spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

Bolesław Prus

GŁODOWA ŚMIERĆ OBOK ZNISZCZONYCH ZBIORÓW

Genewski międzynarodowy komitet dla ulżenia nędzy podaje w rocznym sprawozdaniu wstrząsający obraz nędzy świata. Wedle tej statystyki, w jednym roku zginęło z głodu 2,300,000 ludzi na całym świecie, z czego połowa z rozpaczy popełniła samobójstwo.

W tym samym okresie rządy rozmaitych państw zniszczyły 568 tysięcy wagonów zboża, 114 tysięcy wagonów ryżu, 267 tysięcy worków kawy, 2 i pół miliona kg. cukru, ażeby zatrzymać spadanie cen. Zdaniem Komitetu zapasy te, gdyby nie zostały zniszczone, uratowałyby życie przynajmniej 67 procent tych ofiar kryzysu.

POWOŁANIE DO MIŁOSIERDZIA

W r. 1934 został kanonizowany bł. Józef Cottolengo, założyciel słynnego "Małego Domku Opatrzności Bożej" w Turynie. Od lat najmłodszych odznaczał się wybitną miłością bliźniego. Kiedy miał pięć lat, zastała go matka, jak małym kijem mierzył długość i szerokość swego pokoju.

— Co tu robisz?

— Mamusiu, chcę wiedzieć, ile ten pokój może pomieścić łóżek, bo kiedy będę dorosły, zapełnię go biednymi chorymi.



APOSTOLSTWO CHORYCH

Po miastach i wioskach Holandii i Belgii od kilku lat wchodzi w życie rzewny zwyczaj wspierania chorych katolików.

Urządza się "Dzień Chorych". Ludzie zamożni oddają swoje powozy, samochody, by można było przewozić chorych do kościoła, razem z ich krzesłami, a nawet łóżkami.

Niedawno w stolicy jednego z arcybiskupstw belgijskich w Tournai był właśnie taki "Dzień Chorych". W nawie kościelnej długimi rzędami leżeli chorzy; wzrok ich był skierowany na główny ołtarz, przy którym miejscowy arcybiskup odprawiał Mszę św. na intencje ich wyzdrowienia. Po Ewangelii wyszedł na ambonę po omacku Ojciec Jezuita — sam niewidomy — i wygłosił porywające kazanie o wpływie światła Ewangelii na cierpiących i o wartości cierpienia ze względu na życie wieczne.

Podczas rozdawania Komunii św. Arcybiskup opuścił ołtarz, idąc z Panem Jezusem między chorych, krzepiąc każdego Świętym Ciałem.



O. Piotr Semeneńko

O. Piotr Semeneńko, to jeden z tych nieszczęśliwych, nieraz obdartych z ubrania i złudzeń emigrantów, szlifujących paryskie bruki i czekających, na zmartwychwstanie Ojczyzny i zarazem na... kawałek chleba, który otrzymują od jednego z polskich dobroczynnych towarzystw. Postać to niezwykle ciekawa już nie tylko jako kapłana ale też jako patrioty, działacza, jako po prostu człowieka. Życie jego obfituje w chwile, które warto poznać, bo zbliżają się do naszych własnych przeżyć.

Fala emigracji płynie...

Gdy wojska polskie rozgromione zostały ostatecznie przez Rosjan w r. 1831 i gdy korpus Giełguda przeszedł na terytorium Prus, powstanie się skończyło a poczęła się masowa emigracja byłych oficerów i żołnierzy a także osób cywilnych z Królestwa Kongresowego. Między emigrantami było wiele wybitnych osobistości politycznych i wojskowych: generałowie Skrzynecki, Pac, Chłopicki, Sołtyk, poseł Bonawentura Niemojewski, senator Ostrowski, historyk Maurycy Mochnacki, poseł Stanisław Worcell, poseł i świetny pisarz Joachim Lelewel itd. Ciągnęli oni przeważnie do Francji, do Paryża, stąd stolica stała się wnet siedliskiem emigracji polskiej. Zaczęło się organizowanie sił polskich, ale też zaczęły się swary, tak przykre i osłabiające naród. Wnet dwa wielkie stronnictwa poczęły się zarysowywać: stronnictwo zachowawcze, mające na czele księcia Adama Czartoryskiego i skupiające się wokoło jego siedziby, Hotelu Lambert, na wyspie św. Ludwika, i Stronnictwo Demokratyczne, które założone w r. 1836 skupiało elementy lewicowe, postępowe, niezadowolone z wyniku rządów tamtej części społeczeństwa.

Potężniejąca wciąż fala emigrantów płynęła tymczasem nadal z Niemiec, przybywając na grunt paryski bez niczego, gorzej, bo nieraz zdezorientowana, nie wiedząca, dokąd się udać.

Powoli bezczynność — nie wszyscy rzecz prosta znaleźli pracę — i rozdarcie polityczne poczęły nurtować duszę wygnańców i budzić w nich gorycz wobec świata.

Ludzie, którzy stracili wiarę w Boga

Wśród emigrantów spotykamy wtedy trzech młodych ludzi, którzy przybywają na bruk paryski również jako żołnierze: są nimi Bogdan Jański, Hieronim Kajsiewicz oraz Piotr Semeneńko. Do tejże grupy

należeć też będzie świetny pisarz Maurycy Mochnacki, później Czyński.

Ci trzej młodzi ludzie (Jański urodzony był w r. 1807, Kajsiewicz w r. 1812, studiował w Krakowie), pełni zapału do reformowania świata, głęboko wykształceni, niezwykle zdolni, przeszedłszy przez studia filozofii, pod wpływem katastrofy narodowej, stracili zupełnie wiarę w Boga. Należeli do tych, którzy starają się znaleźć nową drogę.

Dodajmy na marginesie, że ówczesny Paryż był siedzibą potężnego ruchu bezbożniczego, a nowe teorie społeczne zwane "saint-simonizmem" ściągały licznych wyznawców. Założyciel tej pierwszej teorii socjalistycznej, francuski arystokrata Klaudiusz Ireneusz hr. de Saint-Simon (1760-1828) upatrywał podobnie jak późniejsi autorzy, w walce klas naturalny klimat rozwoju społecznego. Radykalne, bezkompromisowe, zimne sformułowanie zagadnień politycznych Saint-Simona pociąga też młodych Polaków, którzy chcą przewrócić na drodze rewolucji cały porządek społeczny.

Zmaganie się duchowe Semeneńki

Do tych zrewoltowanych, nie wierzących w nic, spoglądających na świat jako na teren ciągłej walki jednostek i klas, walki bezwzględnej, należał też Piotr Semeneńko. Był on wtedy zupełnie niedowiarkiem.

Urodzony z rodziny biało-ruskiej — ojciec jego był schizmatykiem, matka zaś kalwinką, on sam zaś ochrzczony przez katolickiego księdza i stąd należał oficjalnie do tej wiary, (1814-1886) staje się jednym z pierwszych członków założonego naówczas Polskiego Towarzystwa Demokratycznego. Ból po utracie Ojczyzny i przekonanie, że Polska może powstać jedynie z chwilą obalenia ówczesnego ustroju politycznego i społecznego, wyraża się u niego, jak u tylu innych, w dążeniu do rewolucji, ba! nawet do nieuznawania żadnej władzy czyli do anarchii. Stąd przewodnią myślą życia Semeneńki jest wtedy nienawiść do ówczesnego świata. Los jednak chce, że spotyka on wtedy dwóch innych młodych ludzi, również rozgoryczonych, Jańskiego i Kajsiewicza. Długie rozmowy o sprawach bieżących, ukazują jednak Semeneńce, że jego dotychczasowe poglądy nie zawsze są słuszne. Powoli świta w jego głowie myśl, że tylko miłość może zbawić ludzkość, polepszyć ustrój, wprowadzić trwałe lepsze warunki bytu, nienawiść zaś prowadzi jedynie do nagromadzenia nowych materiałów wybuchowych w społeczeństwie i do przygotowania nowej rewolucji i nowych porachunków. Powoli między Kajsiewiczem, Jańskim, Semeneńką, a później kilkoma innymi, powstaje myśl założenia zgromadzenia duchownego, którego myślą przewodnią byłby symbol zmartwychwstania. Myśl ta powstaje u nich nie tylko jako u coraz gorliwszych katolików, dla których Zmartwychwstanie Pańskie jest oczywiście fundamentem wiary, ale też jako ideologia narodowa. Zmartwychwstanie Polski jest wtedy złudą, iluzją, a jednak chcą w nie wierzyć.

Młodzi ludzie wstępują na studia teologiczne, w roku zaś 1837 jadą do Rzymu, gdzie O. Suszyński, S.J. wystarał się dla nich o pewien zasiłek pozwalający na skromne nader życie i studia. Mieszkają oni razem, prowadząc żywot, w którym wszystkie wysiłki, korzyści i stra-

ty są równo podzielone. W r. 1840 przybywa również Jański, który jednak pozostaje człowiekiem świeckim, jakkolwiek później w zgromadzeniu Zmartwychwstańców grać będzie znaczną rolę.

Katakumby i Kapłaństwo

Dnia 5 grudnia 1844 otrzymuje Piotr Semeneńko święcenia kapłańskie i swą pierwszą Mszę św. celebruje w katakumbach św. Sebastiana w Rzymie. Dlaczego wybrał właśnie katakumby na miejsce swej pierwszej Mszy św.? Zapewne dlatego, że uważa siebie i swych rodaków za następców pierwszych chrześcijan, którzy również, jak tamci, kryć się muszą przed okiem potężnych państw zaborczych, mających wszędzie swych agentów. Myśl o zgromadzeniu coraz bardziej się zarysowuje: na audiencji u Piusa IX, 28 grudnia, 1847 roku Ojciec św. zezwala Zgromadzeniu na wypracowanie własnej reguły, która zostanie zatwierdzona w roku 1902. Pierwszym superiorem zostaje wybrany Jański, a po jego śmierci w r. 1840, w Wielką Sobotę 1842 roku, O. Semeneńko, który Zgromadzeniem rządzi do r. 1845, a następnie znów od r. 1873 do 1886.

"Congregatio Resurrectionis Nostri Domini J. Ch."

Tak z myśli religijnej i z miłości Ojczyzny, z bólu po stracie Polski i z przekonania, że jedynie miłość chrześcijańska przebudować zdoła świat, powstaje Zgromadzenie Zmartwychwstańców, jedno z nielicznych polskich zgromadzeń, noszące na sobie wybitnie polskie piętno. Jeśli chodzi o stronę zewnętrzną, to noszą Zmartwychwstańcy strój świeckich księży, jednak z wełnianym paskiem. Mają oni swe specjalne ustawy, obserwują posty niezwykle ściśle w wigilię świąt Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia N.M.P. Czas próby obejmuje 6 miesięcy, nowicjat rok. Członkowie Zgromadzenia mogą należeć do obrządku grecko lub rzymsko-katolickiego. Dom Ojczysty OO. Zmartwychwstańców znajduje się w Rzymie, gdzie co lat sześć odbywa się wielka kapituła.

O. Semeneńko był nie tylko świątobliwym kapłanem i najlepszym synem Polski, którą rozumiał jako opiekunkę również Białorusinów. Był też świetnym filozofem i autorem; napisał szereg dzieł między innymi "Prawda o Kościele Bożym". "Towiański i jego doktryna", "Biesiady filozoficzne", itd. Po długim i pracowitym żywocie, poświęconym wychowaniu nowych kapłanów Zgromadzenia, jako też szerzeniu wśród Polaków tej wielkiej ideologii zmartwychwstania, ksiądz Semeneńko zasnął w Panu w Paryżu 18 listopada, 1886 roku. Działalność jego w Zgromadzeniu określił jeden z polskich autorów, że "Kajsiewicz wiosłował, a Semeneńko stał u steru, patrzył w niebo i w gwiazdy i nieraz drogę wskazywał".

Ostatnio Stolica Apostolska upoważniła Zgromadzenie do przygotowania materiałów do procesu beatyfikacji O. Semeneńki.





HUMOR

W Szkole

Nauczyciel: — Chłopcze! Ojciec twój posiwiałby, gdyby się dowiedział, jakim łobuzem jesteś.

Uczeń: — Ogromnie by go to ucieszyło, proszę pana...

— Jakto?!

— Bo jest łysy jak kolano!

Zoolog

Staś wraca zachwycony z ogrodu zoologicznego. Od tej chwili inaczej ocenia swoje otoczenie:

— Dziadziunio rusza grzbietem, jak borsuk. Babunia fuka i szczerzy zęby, jak zła pantera. Mamusia z długą szyją chodzi dumna, jak żyrafa. Tatuś, patrząc na to wszystko, potrząsa grzywą, jak lew.

Zagadka Dobrego Tonu

— Jasiu, moje dziecko, ile razy ci mówiłam, abyś — kiedy kaszlesz — trzymał zawsze rękę przed ustami...

— Kiedy nie wiem, mamusiu, po co? Mnie przecież jeszcze zęby wypaść nie mogą.

Zrozumiał

— Widzę, że pan sobie kupił kolebacz.

— A tak, doktór bowiem zalecił mi dla zdrowia używać dużo ruchu.

Ciekawa

— Panie doktorze, mój mąż mówi przez sen.

— Niestety na to nie ma lekarstwa...

— Nie o to mi chodzi! Ja bym jednak chciała, żeby on mówił trochę wyraźniej.

Złapał się

— No, mój kochany, już to musisz przyznać, że przez całe życie nie zrobiłeś ani jednego rozumnego kroku.

— Przepraszam cię, kochanie, zapomniałaś, żem cię poślubił.

Ofiara Otoczenia

Sędzia: — Zdaje mi się, że pan stał się ofiarą złego otoczenia!

Oskarżony: — Być może, panie sędzio. Przez piętnaście lat byłem woźnym sądowym.

I tak jej nic nie pomoże...

Żona: — Wyobraź sobie, Jasiu, że za parę lat będziemy mogli w przeciągu godziny przelecieć z Chicago do New Yorku.

Mąż: — A na cóż to się zda, jeżeli ty i tak będziesz potrzebowała pięciu godzin, ażeby się ubrać?...

Całkiem naturalne

— Przed kilku dniami zrobił mi pan, panie doktorze, sztuczne zęby.

— Tak jest, przypominam sobie.

— Przyrzekł mi pan, że będą one zupełnie takie same, jak naturalne.

— Tak jest, i nie cofam tego!

— Ale pańskie sztuczne zęby sprawiają mi ból dotkliwy!

— Widzi więc pan, że są zupełnie podobne do naturalnych...

Czasy...

Stara mucha widzi, że jej młoda, niedawno "wylęgła" córeczka, spaceruje sobie swobodnie wzdłuż i w poprzek po okazałej łysinie pana domu.

— Ach, — wzdycha stara mucha na ten widok — jak ten świat się zmienia! Kiedy ja byłam młoda, to tutaj była zaledwie ścieżka dla pieszych...

Serce Matki nie zna gniewu



I.

Niedaleko za wsią, na wzgórzu pod lasem, stoi uboga chata, obok niej stajnia, a poza nią stodoła, słomą kryta.

Zima. Wiatr wyje na węgłach małej chaty, i miecie gęste płatki śniegu. Raz po raz dzwonią pod gwałtownymi podmuchami wiatru małe, na wpół ściemniałe od starości szyby.

W izbie siedzi przy skromnej wieczerzy młode małżeństwo i stara kobieta.

Ubożuchna to izba, mała i duszna, żebyż choć panował w niej spokój, ten nieoceniony dar nieba! Ale o czymś przeciwnym świadczy upór, malujący się na twarzy młodej, a bardzo pięknej kobiety, zmarszczka na czole mężczyzny i strapiona mina staruszki.

Obie kobiety posprzeczały się właśnie, a chłop siedzi gniewny nie wiedząc, której przyznać rację. Młoda chłopka, zapłoniona, kładzie teraz łyżkę, stara zaś zanurza swoją jeszcze w misce, ale po drodze do ust rozlewa z niej więcej, niż połowę.

Młody cofnął się z wyrazem niechęci, uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Już i obrzydliwość bierze jeść teraz z wami!

Staruszka położyła łyżkę i smutnie spojrzała na syna.

— Jeśli wam jestem ciężarem, to powiedz słowo — a pójdę sobie.

Pochyla głowę, aby lepiej słyszeć, boć przecież teraz syn z pewnością — nie! — odpowie.

Ale on milczy, nie patrzy na nią, a bębni palcami po stole. Żona zaś jego podnosi się i mówi gniewnie:

— Przynajmniej miałabym od was spokój, stara czarownico!

Bierze potem miskę i wynosi ją z izby. Stara z głośnym płaczem kładzie głowę na stole, a potem zwraca się do syna z drżącymi jeszcze ustami.

— Teraz mów ty!

Ale chłop spogląda uparcie przed siebie, wstaje potem i wychodzi.

— Zawsze kłopot z wami — radbym, żeby było inaczej, — mówi wychodząc.

Stara ukryła głowę w zapasce i łka tak głośno, że młodzi muszą ją słyszeć z dworu. Ale nie chcą słyszeć. Łkanie wstrząsa biedaczką, zdaje się jej, że niedola przygnieść ją musi do ziemi.

Wstaje i ociera oczy zapaską. Musi iść precz, wygonili ją przecież. Przyklęka przed starą skrzynką, wyjmuje z niej swoje suknie i obu-

wie a teraz, oddechając ciężko, przystaje na środku izby.

Czy naprawdę ma iść? Ciężej to, niż sobie myślała. Ale musi. Za wiele wycierpiała już w tych dwóch latach, odkąd syn się ożenił.

Podchodzi szybko do drzwi, macza palce w kropielniczce z święconą wodą, żegna się krzyżem św. i otwiera drzwi cicho.

Wiatr rzuca jej śnieg w twarz i usiłuje wepchnąć ją na powrót do domu. Staruszka walczy odważnie z burzą zimową i idzie naprzód. Dokąd? Tam we wsi, z drugiej strony góry stoi dom ubogich, tam znajdzie się może cichy kącik dla bezdomnej.

Łzy cisną się jej do oczu, gdy o tym myśli. Jej Wojtek takim był poczciwym chłopcem, póki nie spotkał przyszłej swej żony, która stała się nieszczęściem matki.

Przed półtrzecia rokiem przyszli do wsi obcy żniwiarze, z nimi Filomena, niezwykle piękna dziewczyna i swej piękności świadoma. Wojtek zobaczył jednej niedzieli przed kościołem obcą, czarnooką dziewkę i mimo swych lat trzydziestu stracił dla niej głowę z kretesem.

Jednego dnia oświadczył przestraszonej matce, że chce obcą żniwiarkę pojąć za żonę.

Perswazje matki nic nie pomogły. Karolka, córka najbliższego sąsiada z dawna już spoglądała czule na Wojtka, a i on chęć ku niej uczuwał, ale teraz już ani patrzeć na nią nie chciał.

Chłopi ze wsi, nie troszczący się zwyczajnie o chałupników z pod lasu, wyśmiewali teraz Wojtka, a parobcy śpiewali o nim złośliwe piosenki. Nie obchodziło go to zupełnie. Dochodziło do głośnych scen w domu; i to go nie wzruszyło. Z początkiem jesieni zrobił wesele.

Rozpoczęła się teraz gospodarka

młodej gspodyni, ale co za gospodarka! Jak długo stoi Wojtkowa zagroda, takich zwyczajów nie bywało w niej jeszcze, jakie Filomena zaprowadziła. Brud i nieporządek panowały w każdym kącie, ale za to w niedzielę, gdy Filomena szła do kościoła, pyszniła się strojem piękniejszym, niż najbogatsze chłopki we wsi.

Stara matka patrzyła na to ze zgrozą. Na łagodne jej uwagi, że we wsi nie ma takich zwyczajów, odpowiadała synowa ze złością i wnet zawrzała między nimi zacięta wojna. Młoda nie rozumiała się prawie nic na domowej robocie a nauk starej matki przyjąć nie chciała.

Po kilku tygodniach rozchorowała się staruszka, nie mało przyczyniły się do tego zmartwienia i kłopoty domowe. Bo miała też biedaczka, miała nie mało do zniesienia od złej synowej!

Przechodziła w cichości prawdziwe męki, które teraz przypominały się jej duszy.

Szła już tak z pół godziny mocując się z wichrem, siły poczynały ją opuszczać; znużenie ją ogarnęło, zwolniła kroku, wreszcie potknąwszy się, upadła przy kupie przydrożnych kamieni. Strach ją ogarnął. Zbiera ostatnie siły. Uszła znów kilka kroków, gdy ponownie byłaby upadła. Nie, nie chce ginąć tu marnie w śniegu, choć zresztą śmierć wydaje się jej zbawieniem.

Obok przy drodze sterczy krzyż z stojącą przed nim ławeczką. Tam zdąża. Potrzebuje odpoczynku dla znużonych członków, pociechy i ukojenia dla udręczonego serca. Znajdzie je u wizerunku Ukrzyżowanego i boleściwej Jego Matki.

Rzuca się przed ławką na kolana, obejmuje krzyż rękami i ciśnie się do niego.

— O nie opuszczaj mnie, ukrzyżowany Zbawicielu! Ja taka biedna i uciśniona, dopomóż starej matce! Cóż się ze mną stanie, jeśli mi Ty nie dopomożesz!

Tu senność nią owładnęła, zwyciężyło ją znużenie. Nie czuła już rąk skostniałych, ni zimnych płatków śniegu, padających jej na twarz.

II.

Obudziwszy się, leżała w dużej izbie, zawinięta w ciepły koc. — Wszystko w około wydawało się jej jakieś znajome: Matka Boska pod szklanym kloszem, obrazy z jaskrawymi kwiatami w około, stare łóżka z kwiecistymi powłokami na pościeli.

— Boże mój, a toć ja chyba u...

— Rajskiego! — dokończył silny głos męski wchodzącego w tej chwili chłopa. Był to człowiek niski, a krzepki, tak około pięćdziesiątki, z wygoloną twarzą o dobrotliwym wyrazie.

— Długo trwało, nim przyszłaś do siebie. Poraliśmy się z tobą dobrą godzinę, jak cię parobek na drodze w śniegu znalazł.

Teraz przyszły staruszce na myśl wydarzenia tego wieczora.

— Ale Józefowa, — mówi chłop, — czegóż wy to wychodzicie sami nocą w waszym wieku i w taki czas okropny! Gdzieżeście to szli?

— Do domu ubogich.

Chłopu rozjaśniło się w głowie.

— Młodzi nie chcą was w domu? Pewnie Filomena, co?

Stara matka nie mogła się powstrzymać, i opowiedziała mu z płaczem wszystko.

— No, jak już nie chcecie wracać do tego piekła w chałupie, to i tak nie potrzebujecie jeszcze szukać domu ubogich. Służyliście dwadzieścia lat u moich nieboszczyków ojców, mnie wynosiliście na rękach... nie puszczę was tam,

gdzie jeszcze większe kłótnie i niesnaski, jak w waszej chacie pod lasem. Nie, nie, zostańcie tu u mnie!

— O mój Boże! — zaszlochała stara; — własne dziecko wypędza człowieka, a obcy się nad nim ulitują! Niech wam Bóg zapłaci, gospodarzu!

Spokojne to było, zgodne pożycie w domu Rajskiego. Cały rok Boży nie posłyszał nikt złego słowa, wszystkie różnice zdań między obojgiem gospodarstwa i między nimi a służbą odbywały się jak najspokojniej. Biednej Józefowej zdawało się, że się już dostała do raju.

Nadeszło znów lato, z z nim wędrujący żniwiarze. Krewni Filomeny rozgościli się tym razem w chałupie Wojtkowej i rządzili się w niej, jak we własnym domu. Włóczyli się po wszystkich kątach, brali, co im się podobało, domagali się rozmaitości, a młoda kobieta znosiła wszystko.

Wreszcie Wojtek nie mógł ścierpieć już tej obcej gospodarki na własnych śmieciach i wyprosił ją sobie ostrymi słowy. Grozi, że ich wypędzi i o to miał znów przeprawę z Filomeną. Od słowa do słowa, żeńcy pomagali kobiecie, przekleństwa latały jak piłki, wreszcie Wojtek musiał ustąpić. Umilkł i nie śmiał się odezwać, wreszcie wyrzucili go jeszcze za drzwi.

MISTERNE RZEŹBY ESKIMOSÓW

Wielu wybitnych krytyków sztuki uważa, że Eskimosi rzeźbiąc w kości i w kamieniu wnoszą poważny i wartościowy wkład do współczesnej kanadyjskiej sztuki.

Sztuka rzeźbienia u Eskimosów jest zapewne równie stara jak ich rasa, nikt nie wie jednak na pewno, czy początków jej szukać należy w tym, że rzeźbili oni swe figurki dla rozgrywki i zabawy (Eskimosi mało na ogół odczuwają potrzebę zdobienia czegoś), czy też figurki te miały znaczenie religijne i przeznaczone były do uroczystości pogrzebowych, pochowanie ich ze zmarłymi w podobny sposób, jak to miało miejsce u starożytnych Egipcjan.

Prace ich w wapiennym kamieniu, czy twardszych gatunkach kości jmorsa czy wieloryba, lub w rogu woła piżmowego, są wykończone ze wszelkimi szczegółami, albowiem gość, który je będzie brał do ręki, oglądać je będzie i dotykać w każdym detalu wykonania.

Rzeźby te wykazują dużo ruchu i wyrazu, albowiem prawiekowy artyzm eskimoski wymaga, żeby rzeźbić to, co się widzi jak najdokładniej — artysta oddaje więc układ fałd tłuszczu foki, ruch niedźwiedzia polującego na jelenia, myśliwego skradającego się, by zdobyć pożywienie, bo na północy od polowania zależy wszystko: pożywienie, odzież, światło i opał.

Rzeźby te są tym bardziej zadziwiające, gdy się weźmie pod uwagę prostotę narzędzi, jakimi artysta rozporządza. Nadzwyczajną gładkość swych figurek artyści eskimoscy uzyskują, pocierając je tłuczonym kamieniem i wygładzając rękoma. Kolor głęboko zielony, matowo czerwony i czarno-niebieski otrzymują, trzymając kamienie, które służą im za materiał do rzeźby, w tłuszczu foki przez kilka dni.

Wszyscy Eskimosi, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, lubują się w rzeźbie. Niektóre kobiety eskimoskie wyrabiają artystyczne laseczki z rzeźbioną w kości twarzą, które ubierają w sukienki ze skóry caribou. Niektóre z nich potrafią tkać.

Jeśli chodzi o rzeźbę, Eskimos ma swoiste do niej podejście. Nie lubi on i nigdy nie rzeźbi podobnej figury czy ruchu po raz drugi. Wyjaśnia to zaś w sposób następujący: "Jeśli wyrzeźbiłem niedźwiedzia atakującego fokę, to znaczy, że potrafię to zrobić — po cóż więc mam robić to samo ponownie?"

James A. Houston, artysta winnipeski, przyczynił się wielce do spopularyzowania na świecie sztuki eskimoskiej. Przebywając nad Arktykiem w czasie wojny zainteresował się on samorodną sztu-

Wściekły gniewem biegł przed siebie, wyrzucony z własnego domu! Ta bezczelność tych ludzi, ten wstyd dla niego! Jak się rozniesie, cała wieś go wyśmieje! W taką to więc wszedł rodzinę, a żona trzyma z nimi! Wstyd, skrucha i nienawiść walczyły w jego duszy.

Gdzie iść teraz? Wie on dobrze, gdzie mógłby znaleźć zrozumienie nieszczęsnego swego położenia, litość i pociechę... U serca matki! Ale jakże pójść do tej, którą tak obraził, jak się tu tak upokorzyć?

— Nie, nigdy! — zawołał i poszedł do wójta, żeby mu wypędził z domu niewygodnych gości. Poszli sobie wprawdzie, ale on za to miał piekło w domu. Żona jego jakby oszalała ze złości, robiła mu sceny takie, że je daleko słychać było. Nie miał teraz chwili spokojnej od rana do wieczora. Jednego dnia nie mógł wytrzymać dłużej i zbił babę. To tylko pogorszyło sprawę.

Z krzykiem pobiegła do wsi, prosząc krewniaków o pomoc. Ściągnęli gniewni ze swymi kosami i oblegli formalnie Wojtka we własnym jego domu. Wojtek zaryglował bramę, zatarasował drzwi i groził im z okna starym, zardzewiałym sztućcem, który by już może i nie wypalił. Widząc, że nic nie wskórają, odeszli z hałasem, zabierając Wojtkową ze sobą.

Dwa dni czekał Wojtek na żonę nadaremnie. Opanował go niepokój nie do zniesienia. Po tym wszystkim, co zaszło w ostatnich dniach, czyżby go opuściła jeszcze, wyrządziła mu wstyd największy? Na samą myśl jęknał boleśnie. Jeśli tak, to może się wynieść z okolicy, bo nigdy nie będzie śmiał spojrzeć ludziom w oczy.

Nadeszła druga noc po owym dniu nieszczęśliwym a kobiety jeszcze nie było. Jeden ze znajomych powiedział mu, że Filomena powędrowała dalej ze swoimi.

Opanowała go nieskończona skrucha za swój krok nieszczęśliwy, który mu zniszczył szczęście całego życia. Ale stało się, odmienić nikt nie potrafi!

III.

Nagle oślepił go blask ognia.

— Jezus, Maryja! Dom się pali!

Zerwał się i szybko wdział ubranie. Stajnia się pali! Nie, to stodoła ze zbożem p ł o n i e ! Na miłość Boską! Wybiega i woła o pomoc! Trud daremny! Kto go stąd posłyszy? Zanim ludzie spostrzegą, będzie za późno. Wtem spostrzega, że na skraju lasu coś się porusza,

ką, pozbierał wiele przedmiotów rzeźbionych przez tubylców i przywiózł je na pokaz do cywilizowanego świata. Wywołały one podziw i znalazło się wielu chętnych nabywców. Pan Houston porozumiał się z Kanadyjskim Stowarzyszeniem Rękodzielniczym i pierwszy próbny zakup wytworów sztuki eskimoskiej przeprowadził w 1949 roku na terenach Port=Harrison — Povungnetuk. Od tego czasu poczynił on w tym samym celu wiele wypraw na tereny eskimoskie. Uzyskał też współpracę Hudson Bay Co., która na zasadzie wymiany skupuje ciekawsze eksponaty sztuki eskimoskiej, przekazując je Houstonowi. Houston także sam skupuje je na swych podbiegunowych wyprawach.

Dziś już wyroby artystyczne Eskimosów rozchodzą się na cały świat. Są już zbieracze w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii i na kontynencie Europy, którzy je kolektują.

Pokup, jaki panuje na te wyroby, pozwala przypuszczać, że rzeźbienie może stać się dla Eskimosów źródłem stałego zarobku, co dla żyjącego w ciężkich warunkach klimatycznych narodu, gdzie niepowodzenie w polowaniu oznacza głód — nie jest do pogardzenia. Pozwoli to bowiem przetrwać ciężkie okresy w wypadku, gdy braknie dostatecznej ilości zwierzyny.

z trudem rozpoznaje ludzką postać, jak pochylona wpatruje się w ogień.

— Podpalacz! — przemkło mu przez głowę. Porywa siekierę i biegnie za nim. Ale on już znikł w lesie. Przy świetle pożaru spostrzegł tylko Wojtek, że ten człowiek miał na sobie jasne płócienne spodnie, takie właśnie, jakie noszą obcy żniwiarze. Myśli jego tymczasem zwracają się już w inną stronę. Jedyna krowa Wojtka ryczy w stajni żałośnie. Biegnie szybko w tę stronę. Strzecha pali się już na stajni, a w stajni dym dławiący. Z trudem odwiązuje Wojtek łańcuch i wypędza bydlę na dwór, potem otwiera jeszcze chlew i już sam uciekać musi co prędzej.

Przypomina sobie wprawdzie, że mógłby co jeszcze uratować ze sprzętów, ale stracił już całkiem ochotę do życia.

— Ach, niech wszystko idzie z dymem! — powiedział sobie, odszedł z jakie sto kroków i usiadł na kamieniu. Siedzi jak błędny, z głową wspartą na rękach, wpatrzony w pożar, szerzący się z niesłychaną szybkością.

A więc ten człowiek miał na sobie jasne płócienne spodnie. Że to był podpalacz, nie ulega wątpliwości. Czy może jeden z krewniaków Filomeny? — Więc zemsta tych ludzi tak nieubłagana?

Przecież oni wywędrowali już przed dwoma dniami! Ale czyż nie mogli wrócić potajemnie? Głupio byłoby podpalać w dniu wymarszu, podejrzenie padłoby na nich natychmiast. A któż inny prócz nich miałby ochotę sprowadzenia nieszczęścia na niego? — Czy ma zrobić doniesienie do sądu? Ma sam rozgłaszać jeszcze wstyd i nieszczęście swoje? Cóż mu to pomoże?

Chata spłonęła ze szczętem. Wojtek dzień cały przesiedział na kamieniu z głową wspartą na rękach i nie odpowiada na żadne pytanie.

Wtem ręka czyjaś spoczęła mu na ramieniu, a gdy nie drgnął nawet, głos przyjazny szepce cicho:

— Wojtku!

Strach przejął siedzącego. Poznaje kochany głos i zrywa się, wołając:

— Matko!

Lód stopniał mu na sercu, wybucha gwałtownym płaczem.

Matka głaszcze go po głowie i, choć jej samej łzy spływają po policzkach, mówi pełna czułej litości:

— Wypłacz się, wypłacz, biedny chłopcze, to ci dobrze zrobi, ulży sercu.

Wojtek pada przed nią na kolana i błagalnie wznosi ręce w górę:

— Matko, możecie mi przebaczyć? — jęczy.

— To ty myślisz, żem zła na ciebie, Wojtku? — odpowiada staruszka z dobrocią. — Jakże bym mogła!

— Tak, tak, miłość matki nie zna gniewu, — rzekł stary chłop do otaczających, wzruszonych tą sceną.

Wojtek byłby zapewne zostawił pogorzelisko, jak jest, sprzedał grunt i poszedł gdzie za parobka, gdyby nie matka.

— Niech Bóg nagrodzi wam za wszystko dobre, coście dla mnie uczynili, — rzekła Józefowa tego samego dnia do Rajskiego. — Ale dłużej tu zostać nie mogę, bom potrzebna synowi.

Rajski nie zatrzymywał jej. Zrozumiał serce matki.

Dziwna rzecz, ta stara, słaba kobiecina okazała wiele stanowczości i siły. Wymową swoją pobudziła energię Wojtka, pomagała mu radą i czynem. Poszła do bogatszych chłopów we wsi, upokorzyła się przed nimi, prosząc o pomoc, pocie-

szała zniechęconego często Wojtka i przyspieszała, jak mogła budowę.

Ludzie ze wsi pomagali wedle sił, i już przed nadejściem zimy, na miejscu starej ubogiej chaty stanął ładny domek, przyjaźnie oknami swymi spoglądający w dolinę. Rządziła w nim, jak za starych czasów, Józefowa ze synem Wojtkiem.

Jednego imienia nie wymawiano w tym domu nigdy — imienia Filomeny. Co się z nią stało, jakie jej losu koleje, Wojtek nie dowiadywał się nigdy. Przebaczył on nieszczęśliwej, ale słyszeć o niej nie chciał więcej. Za wiele złego mu zrobiła.

Przeszły trzy lata. Wtem jednego dnia przyszło na probostwo i do urzędu gminnego zapytanie o niejaką Filomenę Drawkową, żonę tamtejszego chałupnika, Wojciecha. Umarła na tyfus w pobliskim mieście.

— Boże, daj jej odpoczynek wieczny i bądź jej łaskawym sędzią! — rzekł na tę wieść Wojciech, głęboko wzruszony.

— Amen! — rzekła matka z cicha.

I żyli dalej w ciężkiej, nieustannej pracy, osłodzonej jednak miłością wzajemną i spokojem domowym. Całe to nieszczęście, jakie ich spotkało, wydawało im się teraz snem przykrym. Przeszło, zapomniane!

Ale Wojtkowi zakwitło nowe szczęście. Karolka od sąsiada, którą porzucił dla czarnych oczu tamtej nieszczęśnicy, przyrzekła także zapomnieć wszystko, i podała mu rękę na wspólną wędrówkę przez ciernie i radości tego życia.

Kilka miesięcy jeszcze cieszyła się staruszka szczęściem swego Wojtka; a potem spoczęło na wieki to wiernie kochające serce matki, co nie znało gniewu!



Fotografia powyższa przedstawia naszą kapliczkę misyjną w Greenwood, Mississippi, gdzie nasi Ojcowie pracują wśród ubogiej ludności. Potrzeby naszej misji są wielkie. Każdy więc cencik będzie wielkim darem dla naszych Misjonarzy.

Każdego, co te słowa przeczyta, prosimy o 10¢ dla naszych Misjonarzy. Wysłać na adres: FRANCISCAN MISSIONS, Pulaski, Wisconsin.



DZIWY PRZYRODY



Ptak=baran należy do osobliwości, właściwych najmłodszej części świata, Australii i stanowi największe dobrodziejstwo dla mieszkańców wyspy Flinders, położonej na południu Tasmanii.

Mięso jego jest smaczne, zarówno świeże jak solone, a w żołądku jego mieści się gruczoł, zawierający olej, używany do przypraw kuchennych, oświetlania domu i smarowania maszyn. Ptak=baran nie ma nic wspólnego z owcą lub baranem; marynarze tak go nazwali, gdyż mięso jego smakiem przypomina baraninę. Jest to ptak morski, nieco większy od grzywacza; upierzenie ma ciemne, skrzydła szeroko rozpostarte, lot nadzwyczaj szybki i zwinny. Lata zwykle gromadnie, tworząc często chmury, zaciemniające słońce. Corocznie we wrześniu, nieprzeliczone stada tych ptaków siadają na małych wysepkach, koło wyspy Flinders; kępy te są zarosłe gęstą trawą, na metr wysoką i drobnymi krzewami o błękitnych kwiatach, zwanymi barilla. Ptaki łapami wygrzebują w ziemi doły na łokieć głębokie, ale ponieważ przyroda nie stworzyła ich na górników, praca ta zwykle zabiera im około dni dziesięciu. Po upływie tego czasu, odlatują wszystkie i wracają dopiero w połowie listopada. Samica składa tylko jedno jajko, a skoro pisklę się wykluje, rodzice karmią je bardzo troskliwie.

Polowanie na te ptaki odbywa się w następujący sposób: Skoro pisklęta podrosną, ale nie potrafią jeszcze latać, ludność anglo=australska wyspy Flinders udaje się na kępy, gdzie znajdują się gniazda. Ojciec rodziny wyciąga ptaka, ukręca mu szyję i wydobywszy z żołądka gruczoły, wyciska z nich olej. Tymczasem żona i dzieci oskubują pióra, solą mięso i układają je w baryłki. Są rodziny, które mogą zabić dwadzieścia kilka tysięcy ptaków=baranów.

Polowanie przedstawia tylko jedno niebezpieczeństwo: wsuwając rękę w otwór gniazda, głębokiego na łokieć, często można zostać ukąszonym przez jadowitą żmiję.

*

Talegolla, ptak australijski, wielkości indyka wykłuwa się upierzony. Samica nie wysiaduje jaj, lecz złożywszy je, przykrywa na kilka stóp wysoko sianem i liśćmi. Wskutek ciepła, pisklęta się wylęgają i wychodzą z jaj zupełnie upierzone. Skrzydła ich, ogon i grzbiet są brunatno=czarne, łeb i szyja czerwone, nakrapiane żółtymi plamami, końce piór szare. Mięso talegolli jest bardzo smaczne.

*

W Ameryce żyje ptak, zwany Campanero, albo Rogacz, z powodu dziwnej na łbie narośli, podobnej do rogu. Wielkością przypomina gołębia, odróżnia się jednak od niego owym rogiem, mającym trzy cale wysokości, barwy czarnej, upstrzony białym puchem. Jeżeli ptak wpadnie w gniew, narośl, wisząca swobodnie z boku łba, podnosi się nagle i czernieje.

*

Ze wszech miar osobliwe jezioro znajduje się na wyspie Kildin, niedaleko miasta Kola. Jezioro to jest na pozór oddzielone od morza wąską smugą lądu, łączy się z nim jednak za pomocą kanału podziemnego, gdyż ma przypływ i odpływ. Jeszcze dziwniejsze, że zawiera ono trzy rodzaje wody: na samym wierzchu jest słodka, pochodząca z deszczu i strumieni, poniżej morska, a na samym dnie słona, zawierająca znaczną przymieszkę siarkowodoru.

*

W Irlandii znajduje się jezioro, którego wody są białe jak mleko. Odkrył je podróżnik Thorddsen, u stóp potężnego lodnika, na zachodniej stronie góry Jat=

ria-Jakuli. Krajowcy zowią je Lengisjor. W Patagonii oraz na Archipelagu Galapagos, znajdują się białe jeziora znacznych rozmiarów zajmujące powierzchnię kilku mil kwadratowych. Woda w nich nadzwyczaj płytka, na wierzchu zaś znajduje się skorupa skrystalizowanej soli. W pobliżu Tauranga, w Nowej Zelandii, odkryto również jezioro z białą wodą.

*

W górach Kalifornii, znajduje się miejscowość zwana Doliną Śmierci, albo pustynią Amargosa. Dano jej tę złowrogą nazwę w roku 1849, kiedy cała gromada poszukiwaczy złota zginęła tam z głodu i pragnienia. Dolina ma 50 mil angielskich długości i dziesięć szerokości, leży o dwieście stóp niżej poziomu morza. Kropla deszczu tam nie upadnie, roślinność jest nędzna, a grunt piaszczysty, pomieszany z potażem i boraksem. Podczas lata, termometr wskazuje w dzień 49 do 54 stopni C., a w nocy najmniej 50 stopni. Złowroga cisza zalega Dolinę Śmierci, nigdzie nie ma cienia. Słońce, załamując promienie w piasku, oślepia, a powietrze jest tak duszne, że oddychać trudno.

*

Do najpiękniejszych drzew na świecie należy Srebrne, którego nazwa naukowa brzmi Leucadendron argenteum. Rośnie ono na południowym krańcu Afryki, kształt ma piramidalny, wysokości od 5 do 8 metrów. Długie na 15 centymetrów liście pokryte są, po obu stronach, jedwabistymi włosami, błyszczącymi jakby srebro. Stąd powstała baśń o srebrnych i złotych lasach Kaplandu, przeniesiona przez pierwszych marynarzy, którzy oglądali ten cud przyrody. Kwiaty i owoce, do szyszek jodłowych podobne, są także obrośnięte srebrzystymi włosami. Drzewa te rosną na stokach górskich, na wysokości 300 do 400 metrów nad poziomem morza.

*

Na wyspie Jersey rośnie kapusta, zwana cesarską, dochodząca do olbrzymich rozmiarów. Łodygi jej, mające niekiedy 12 do 16 stóp, używane są do grodzenia płotów, oraz do pokrywania dachów; z krótszych wyrabiają laski i rączki do parasolek, sprzedawane turystom jako osobliwość. Ten gatunek kapusty uprawiany bywa jako pasza dla bydła; pięć główek dziennie wystarcza na wyżywienie dziesięciu wołów.

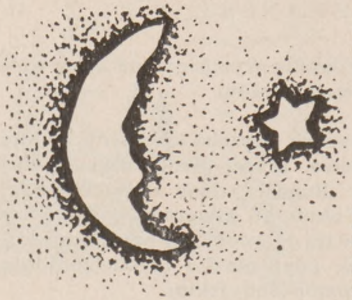
*

Na wyspach Seszelskich rośnie palma wachlarzowa, której owoce mają półtorej stopy długości, dwie stopy obwodu, ważą zaś około 15 kilogramów. Marynarze nazywają je morskimi orzechami kokosowymi, gdyż bardzo często znajdują je na Oceanie Indyjskim.

Jawajczycy wierzą naiwnie, że palma, która je wydaje, żyje w morzu i czasem tylko wychyla z fal swoją koronę. Przekonano się, że rośnie ona wyłącznie na trzech wysepkach Seszelskich, nad brzegiem morza; dojrzałe owoce spadają w wodę, która je unosi częstokroć o 500 mil od ojczyzny.

*

Sosna należy do najpożyteczniejszych drzew na świecie. Odkąd zaczęto wyrabiać papier z drzewa, miliony sosen w Stanach Zjednoczonych, w Szwecji i Norwegii spożytkowuje się w tym celu. Bory dostarczają wysokich sosen na maszty okrętowe; w ogóle drzewo to ma szerokie zastosowanie przy budowie domów i statków. Z sosny otrzymuje się terpentynę, żywicę, smołę, a nawet spirytus. W szkockich Highlandach używają żywicznych korzeni zamiast świec. Kora dostarcza rybakom materiału na liny. Komczadale i Lapończycy moczą ją w wodzie i jedzą podczas głodu. Olejek, wyciśnięty z gałązek karłowatej sosny, stanowi na Węgrzech wielce cenione lekarstwo; igły sosnowe używane są do kąpieli wzmacniających. Zapałki są wyrabiane najczęściej z sośniny.



Niebieski Raport

Wojciech Zięba szedł ani wiedząc, że idzie. I bał się, i cieszył, i sam nie wiedział, co z tego będzie... Co powie Bóg Ojciec, gdy go znowu przed Sobą zobaczy?... I znów srebrzyste schody, i znów złote drzwi, i znów anielskie pienia — wreszcie tronowa sala. Jasny jak błyskawica archanioł spadł przed stopień Bożego tronu i zameldował Maryję.

Weszła z pokorą niosąc całe dostojeństwo swego królewskiego majestatu. Stuliła strzeliste promieniami dłonie, spuściła jaśniejące łaską oczy, podeszła i uklękła równocześnie. Zięba oczywiście gruchnął też na oba kolana.

— Ojcze Przedwieczny! W najgłębszej pokorze chylę się przed Twym majestatem, czcząc świętą Wolę Twoich wyroków, lecz wierząc w Twe bezgraniczne miłosierdzie, przychodzę Cię prosić o zmiłowanie nad królestwem moim, nad Polską.

Bóg Ojciec spochmurniał.

— Polskę zawsze kochałem, ale Polaków zaczynam nieznosić — rzekł. — Kłótliwe to zawistne, warchoły jakich mało, lekkomyślni, pyszni.

— Ojcze Niebieski! To tylko niektórzy tacy. Znam dobrze ich serca, bo się do mnie garną, z gruntu poczciwe i uczciwe, wierne i ofiarne. I tyle wycierpieli i tyle jeszcze cierpią; nie buntują się przeciw Twojej świętej Woli, tylko ufają niezachwianie w Twoje miłosierdzie, czekają, proszą...

— Ale nie chcą zrozumieć, że cierpienie dałem im umyślnie — odparł Bóg — chciałem, żeby w tym morzu krwi i męki przepadły ich narodowe skłonności i wady, ich waśnie, zawiści, ich buta i chełpliwość. Dałem im wspólne cierpienie, aby w cierpieniu tym wszyscy czuli, że są jednością. Tymczasem jak wykorzystali ten wielki dopust, którym ich nawiedziłem celowo? Jeszcze nie oddałem im Polski, a już widzę wśród nich tarcia, kłótnie, zaognienia. Jedni uważają się za lepszych od drugich. Jedni chcą, aby ich cierpienia wyżej ceniono od cierpień ich własnych braci. Jedni po krzywdzie drugich deptać by gotowi do własnych zdążając celów. Czy po to doświadczyłem ich tak bardzo? Nawet ze wspólnych nieszczęść uczynić zdołali kość niezgody. Nigdy w niczym jedności! Nazwij mi choć jedną jedyną rzecz, która by ich wszystkich łączyła, a wysłucham Cię! Coś, czego pragnęliby wszyscy, i co by wszyscy czcili, czy jest coś takiego?...

Wielka cisza zaległa niebo, anioły stuliły oczy i skrzydła, głos Boga Ojca grzmiał groźnie, a odpowiedzi nie znajdował nikt...

Panna Najświętsza zawahała się chwilę, coś jakby zmieszanie czy nieśmiałość pokryła Jej twarz lekkim rumieńcem. Schyliła jeszcze niżej głowę.

— Tak, Ojcze Przedwieczny —

rzekła w końcu — jest coś takiego . . .

Bóg zdumiał się.

— Niepojęte — rzekł — nazwij mi, co to.

— JA — szepnęła jeszcze ciszej Maryja.

Twarz Boga Ojca zabłysła. — A tak wiem. Ciebie czczą i kochają. W tym cała ich nadzieja . . .

— Czczą nie mnie, tylko Matkę Twego Syna, Ojcze Przedwieczny — powiedziała, a gdy te słowa padły, jeszcze jaśniejszym blaskiem trysnęły Jej ręce i korona.

— W z y w a j ą mnie w radości i ucisku, zwłaszcza ucisku. Słyszałam niedawno słowa różańca, którymi tętniły nieprzeliczone pociągi, jadące mroźnymi bezkresami w nieznane. Słyszałam czarne więzienne cele, szemrzące upartą modlitwę, widziałam w wychudłych rękach więźniów różańce z chleba, robione ukradkiem, gdy im odbierano prawdziwe . . . i święcili je sobie łzami i modlitwą odważną, jawną, w nocy i we dnie. Widziałam różańce u konających na pobojowiskach, widzę je dziś w rękach jeńców, dzieci, wdów, żon, matek i żołnierzy, a ci, którzy na różańcu się modlą, szczególnie bliscy są mojemu Sercu.

— Mojemu też — przyznał poważnie Bóg Ojciec.

Maryja nagle dźwignęła głowę i składając błagalnie ręce:

— Ojcze Przedwieczny — spytała — czy jeśli ich ogarnę i zespolę r ó ż a ń c e m , jeśli całą Polskę nim otoczę, czy dasz mi ją taką, jaką wtedy będzie?

— Tak, dam Ci ją taką, jaką wtedy będzie — rzekł uroczyście Bóg Ojciec. — I więcej powiem: — Taka zjednoczona Polska będzie moją. I dam jej Syna Mego za Króla i wtedy będzie Nim wielka, Nim potężna, Nim dobra i Nim niepokalana. To Ci przyrzekam, Matko Syna Mego, przez Jego zasługi, krew i krzyż. Amen . . .

* * *

Po niebie przeszedł dreszcz od tej Bożej przysięgi i gwiazdy się pochowały . . . Audiencja była skończona.

Beata Obertyńska

ZBIERAJCIE ZUŻYTE ZNACZKI POCZTOWE

Nie wyrzucajcie do kosza zużytych znaczków pocztowych. Każdy z nich może być małą pomocą dla Misjonarzy pracujących wśród pogan.

Składanie zużytych znaczków jest bardzo łatwą i dla wszystkich dostępną drogą, by nieść pomoc i pociechę biednym pogańskich duszom i naszym współbraciom.

Przy zbieraniu znaczków pocztowych trzeba jednak uważać, by ich nie uszkodzić. Znaczki naddarte lub bez ząbków nie mają wartości. ZNACZKA SAMEGO NIGDY SIĘ NIE ODRYWA. Należy go pozostawić na papierze i obciąć lub oberwać wraz z papierem pozostawiając obwódkę papieru przynajmniej pół cala naokoło — na ile to możliwe.

Sortowanie znaczków nie jest konieczne. Przysyłać je należy tylko we większych ilościach, gdyż inaczej koszt przesyłki przewyższa wartość znaczków.

Misjonarze, którzy poświęcili swe życie, by pracować na niwie misyjnej nad nawróceniem pogan, spoglądają ku Wam, a pogańskie dusze setek tysięcy pogan pokornie skłaniają przed Wami swe głowy i proszą: Bądźcie Misjonarzami! — Zbierajcie zużyte znaczki pocztowe i odsyłajcie je na adres:

Franciscan Missionary Union — PULASKI, WIS.



Historia Kościoła w niektórych Stanach



WISCONSIN

1661 — O. Renat Menard, Jezuita, pracuje wśród szczepu Huronów, którzy z Kanady wschodniej uciekli do północnego Wisconsin. O. Renat został zamordowany przez Indian ze szczepu Sioux.
1665 — O. Klaudiusz Allouez, Jezuita, zakłada misję Ducha Św. w miejscowości, która obecnie znana jest jako **Bayfield.**
1669 — O. Jakub Marquette, Jezuita, pracuje w tej samej misji z O. Klaudiuszem. Dowiaduje się o rzece Mississippi od Indian.
— O. Allouez jedzie na południe i zakłada misję św. Franciszka Ksawerego w Green Bay.
1687 — Misja w Green Bay spalona przez Indian.
1688 — Misja odbudowana w Green Bay.
1762 — Zniesienie Zakonu Jezuitów zamyka misje w koloniach francuskich przez 30 lat.
1830 — Misja w Green Bay zostaje na nowo otwarta. O. Samuel Mazzuchelli buduje kościół i szkołę.
1837 — Pierwsza Msza św. odprawiona w Milwaukee.
1843 — Diecezja Milwaukee zostaje utworzona.
1868 — Data powstania diecezji Green Bay i La Crosse
1875 — Diecezja Milwaukee zostaje archidiecezją.
1905 — Diecezja Superior zostaje utworzona.
1946 — Diecezja Madison zostaje utworzona.

OHIO

1749 — Pierwsze opowiadanie Ewangelii wśród Indian przez Jezuitów.
1751 — Pierwsza katolicka osada wśród Huronów niedaleko Sandusky, zorganizowana przez O. De la Richarde.

1812 — Biskup Flaget z Bardstown, Kentucky, przyjeżdża na pracę wśród wiernych w powiatach Lancaster i Somerset.
1818 — Pierwszy stały kościół, zbudowany przez Dominikanina, O. Edwarda Fenwick.
1821 — Diecezja Cincinnati zostaje utworzona.
1822 — O. Fenwick zostaje biskupem Cincinnati.
1850 — Cincinnati zostaje archidiecezją.
1868 — Powstanie diecezji Columbus.
1910 — Diecezja Toledo zostaje utworzona.
1943 — Diecezja Youngstown zostaje utworzona.
1944 — Diecezja Steubenville zostaje utworzona.

NEW YORK

1524 — Pierwszy biały człowiek wjeżdżający do portu Nowego Yorku był Giovanni da Verrazano, emisariusz króla francuskiego.
1646 — Męczeństwo św. Izaaka Jogues i jego towarzysza, Brata Renata Goupil, Jezuitów, przez Indian ze szczepu Mohawk.
1654 — Jezuici z Kanady przedzierają się do szczepu Onondaga.
1655 — Pierwsza stała misja w Nowym Yorku powstaje niedaleko Syracuse.
1656 — Kateri Tekakwitha, świątobliwa dziewica indiańska, urodziła się w Ossernenon (obecnie Auriesville).
1658 — Powstania wśród Indian zniszczyły misje wśród szczepów: Cayuga, Seneca i Oneida.
1679 — Franciszkanie otwierają misję niedaleko Niagara.
1700 — Stosowanie "penal laws" przeciw katolikom.
1785 — Budowa kościoła św. Piotra w mieście New York.
1808 — 8 kwietnia powstaje diecezja New York.
1828 — Legislatura Stanu przeprowadza prawo ochraniające świętość konfesjonału.
1847 — Powstanie dwóch diecezji: Buffalo i Albany.
1850 — Diecezja New York zostaje archidiecezją.
1853 — Powstanie diecezji Brooklyn.
1856 — W Alleghany powstanie Uniwersytetu św. Bonawentury, pod zarządem Franciszkanów.
1868 — Powstanie diecezji Rochester.
1872 — Utworzenie diecezji Ogdensburg.
1875 — Arcybiskup Jan McCloskey, z Nowego Jorku, zostaje wyniesiony do godności pierwszego kardynała amerykańskiego przez Piusa IX.
1880 — Pierwszy katolicki burmistrz miasta New York: William Grace.
1886 — Utworzenie diecezji Syracuse.
1911 — Arcybiskup Jan Farley, z Nowego Jorku, zostaje wyniesiony do godności kardynała przez Św. Piusa X.
— Zgromadzenie misjonarskie Maryknoll zostaje założone. Zgromadzenie poświęcone wyłącznie pracy misjonarskiej w krajach zagranicznych. Zatwierdzone przez Św. Piusa X.
1913 — Pierwszy katolicki gubernator Stanu: Marcin Glynn.
1924 — Arcybiskup Patryk Hayes, z Nowego Jorku, zostaje kardynałem; mianowany przez Piusa XI.

1930 — 29 czerwca, kanonizacja ośmiu męczenników jezuickich, którzy pracowali w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych.
1946 — Arcybiskup Franciszek Spellman, z Nowego Jorku, zostaje kardynałem. Mianowany przez Piusa XII.

MICHIGAN

1642 — Św. Izaak Jogues i O. Karol Raymbaut, Jezuici, opowiadają Ewangelię Indianom ze szczepu Chippewa w okolicy Sault Sainte Marie.
1660 — O. Renat Menard, Jezuita, otwiera pierwszą regularną misję w Stanie w okolicy Keweenaw Bay.
1668 — O. Marquette, Jezuita otwiera misję św. Ignacego w Michilimackinac.
1679 — Franciszkanie: Ludwik Hennepin, Gabriel de la Ribourde i Zenobiusz Membre otwierają misję u ujścia rzeki St. Joseph.
1701 — Powstanie Fortu Pontchartrain na miejscu obecnego miasta Detroit. Fort w ręku Antoniego de la Mothe Cadillac. Pobudowanie kościoła św. Anny.
1823 — Ks. Gabriel Richard został wybrany delegatem do Kongresu z terytorium Michigan; jedyny wypadek księdza katolickiego biorącego udział w Izbie Reprezentantów.
1833 — Diecezja Detroit zostaje utworzona.
— Ks. Fryderyk Baraga, późniejszy Biskup z Marquette, odprawia pierwszą Mszę św. w Grand Rapids.
1857 — Powstanie diecezji Sault Ste. Marie.
1882 — Powstanie diecezji Grand Rapids.
1937 — Diecezja Detroit zostaje archidiecezją.
— Powstanie diecezji Lansing.
— Diecezja Sault Ste. Marie i Marquette zostają połączone: całe terytorium znane odtąd jako diecezja Marquette.
1938 — Powstanie diecezji Saginaw.
1946 — Arcybiskup Mooney z Detroit zostaje kardynałem.

PENNSYLVANIA

1673 — Księża ze Stanu Maryland obsługują katolików w tej kolonii.
1682 — Kolonia Williama Penna udziela tolerancji religijnej wszystkim.
1730 — Pierwszy stały misjonarz: O. Józef Greaton, Jezuita, w okolicy Philadelphia. Ludność katolicka wzrasta z napływem niemieckich i irlandzkich imigrantów.
1799 — Książę Demetriusz Gallitzin, pierwszy kleryk, który otrzymał wszystkie święcenia w Stanach Zjednoczonych, buduje pierwszy kościółek w zachodniej Pennsylwanii, jedyny kościół między Lancaster, Pa., a St. Louis, Mo., w tym czasie.
1808 — Diecezja Philadelphia zostaje utworzona. Pierwszym biskupem Franciszkanin: O. Michał Egan.
1843 — Utworzenie diecezji Pittsburgh.
1844 — Dwa kościoły zostały spalone w rozruchach anty-katolickich w Philadelphia, wywołane przez partię "Know-Nothing".
1846 — Pierwsze opactwo benedyktyńskie na ziemi amerykańskiej w Latrobe.
1853 — Utworzenie diecezji Erie.
1860 — Napływ imigracji katolickiej: Polacy, Słowianie, Litwini.

1868 — Utworzenie diecezji Scranton i Harrisburg.
1875 — Philadelphia zostaje archidiecezją.
1901 — Powstanie diecezji Altoona.
1913 — Utworzenie ukraińskiej diecezji grecko-katolickiej.
1921 — Benedykt XV mianuje Arcybiskupa Dougherty kardynałem.
1924 — Utworzenie diecezji Pittsburgh, greckiego obrządku.
1951 — Utworzenie diecezji Greensburg.

MINNESOTA

1362 — Przyjazd katolickich norsmanów (z Norwegii) w Kensington, w obecnej diecezji St. Cloud.
1680 — Praca wśród Indian i rozległe podróże O. Ludwika Hennepina, Franciszkanina.
1689 — Wśród Indian ze szczepu Sioux pracuje O. Józef Marest, Jezuita.
1727 — Powstanie pierwszej stałej kaplicy pod wezwaniem św. Michała Archanioła niedaleko Frontenac. Opiekują się nią francuscy Jezuici.
1736 — Zamordowanie O. Jana Aulneau, Jezuity, przez Indian.
1841 — O. Łucjan Galtier buduje kościół św. Pawła w miejscowości, która dziś znana jest jako miasto St. Paul.
1850 — Utworzenie diecezji St. Paul.
1875 — Utworzenie Wikariatu Apostolskiego Północnej Minnesoty.
1888 — St. Paul zostaje archidiecezją.
1889 — Powstanie trzech diecezji: Duluth, St. Cloud i Winona.
1909 — Powstanie diecezji Crookston.

ILLINOIS

1675 — O. Marquette, Jezuita, zakłada misję Niepokalanego Poczęcia wśród Indian szczepu Kaskaskia.
1679 — Odkrywca La Salle przyjeżdża z Franciszkanami: O. Ludwik Hennepin, Gabriel de la Ribourde i Zenobiusz Membre.
1680 — O. Gabriel de la Ribourde, Franciszkanin, zamordowany przez Indian ze szczepu Kickapoo. Pierwszy męczennik na terenie Stanu Illinois.
1710 — Naczelnik indiański, Chicagou, po którym miasto Chicago zostało nazwane, na zebraniach indiańskich broni Kościoła.
1763 — Podbój terytorium przez Anglików; kończy się wygnanie Jezuitów.
1827 — W Ruma powstaje pierwszy kościół dla wiernych władających językiem angielskim.
1843 — Powstanie diecezji Chicago.
1853 — Utworzenie diecezji Quincy.
1857 — Zmienienie diecezji Quincy na Alton.
1877 — Powstanie diecezji Peoria.
1880 — Chicago zostaje archidiecezją.
1887 — Diecezja Belleville powstaje.
1908 — Utworzenie diecezji Rockford.
1923 — Zmienienie diecezji Alton na Springfield.
1926 — XXVIII Kongres Eucharystyczny w Chicago.
1946 — Św. Franciszka Cabrini, była rezydentka Chicago, kanonizowana, pierwsza z obywateli Stanów Zjednoczonych wyniesiona na ołtarze.

— Arcybiskup Stritch zostaje kardynałem.
1948 — Utworzenie diecezji Joliet.

POCHODZENIE NAZW STANÓW

Alabama — 1702, indiańska: czyścić zarośla.
Arizona — 1580, hiszpańska: sucha strefa.
Arkansas — 1685, nazwa szczepu Indian.
California — 1769, hiszpańska: gorący piec.
Colorado — 1858, hiszpańska: czerwona rzeka.
Connecticut — 1633, indiańska: długa rzeka.
Delaware — 1627, od Lorda de la Warr.
Florida — 1565, hiszpańska: kwiecista uczta.
Georgia — 1733, od króla angielskiego Jerzego II.
Idaho — 1842, indiańska: wieniec gór.
Illinois — 1720, od szczepu Indian.
Indiana — 1732, ziemia Indian.
Iowa — 1788, indiańska: śpiący.
Kansas — 1827, indiańska: mętna woda.
Kentucky — 1774, indiańska: głowa rzeki (źródło).
Louisiana — 1699, od króla francuskiego Ludwika XIV.
Maine — 1623, od francuskiej prowincji.
Maryland — 1631, od angielskiej królowej Henrietty Marii.
Massachusetts — 1620, indiańska: miejsce pagórków.
Michigan — 1668, indiańska: duże jezioro.
Minnesota — 1819, indiańska: błękitne wody.
Mississippi — 1699, indiańska: ojciec wód.
Missouri — 1719, indiańska: błotny.
Montana — 1807, kraj górzysty.
Nebraska — 1805, indiańska: płytka rzeka.
Nevada — 1849, hiszpańska: pokryty śniegiem.
New Hampshire — 1623, od powiatu w Anglii.
New Jersey — 1617, od wyspy angielskiej Jersey.
New Mexico — 1605, aztecka od Meksyku.
New York — 1613, od księcia York, brata Karola II.
North Carolina — 1660, od króla angielskiego Karola II.
North Dakota — 1808, indiańska: zebranie.
Ohio — 1788, indiańska: hi-ja, piękna rzeka.
Oklahoma — 1889, indiańska: piękny dom.
Oregon — 1811, hiszpańska, nazwa dzikiego majeranku.
Pennsylvania — 1625, od Williama Penna i lasów.
Rhode Island — 1636, od wyspy Rhodes.
South Carolina — 1670, tak jak North Carolina.
South Dakota — 1817, patrz North Dakota.
Tennessee — 1756, indiańska: rzeka z wielkim zakrętem.
Texas — 1682, aztecka: kraj północny (dla Azteków).
Utah — 1847, indiańska: chata w górach.
Virginia — 1607, od królowej Elżbiety I (dziewicy).
Washington — 1845, od Jerzego Washingtona.
West Virginia — 1769, patrz Virginia.
Wisconsin — 1670, indiańska: bystre wody.
Wyoming — 1834, indiańska: dolina.

Starodawna Legenda Warszawska



Powieść Starej Lipy

Jestem stara lipa, bardzo stara. Mam przeszło 500 lat i dni mego żywota są policzone. Pierwsza silniejsza burza złamie mnie lub wyrwie z korzeniami.

Ale mam ciężkie grzechy na sumieniu. Otóż przed śmiercią chcę ci się, czytelniku, wyspowiadać; chcę opowiedzieć o sobie to, czego nikt nie przypuszcza. Wysłuchaj mnie, czytelniku drogi, wysłuchaj i rozgrzesz, bo to jest prośba staruszki, stojącej nad grobem. Inaczej nie mogłabym spokojnie umrzeć.

Wiesz przecie, jakim szacunkiem otaczają mnie wszyscy w tej wsi. Jak często powtarzają: "nasza piękna lipa", "nasza kochana staruszka", "nasza babcia".

Tymczasem ... gdyby mnie znali za młodu!... Żywcem spalić by mnie kazali. Mam na sumieniu nie kilka, ale kilkanaście śmierci. Jestem bratobójczyni ... Nie ukryję niczego i opowiem, jak było.

Nie wiem, jakim sposobem znalazłam się na ziemi. Nigdy nie znałam rodziców, ale jestem pewna, że nie opiekowali się mną troskliwiej, niż rodzice przybrani — ziemia i słońce. Ziemia dostarczała mi jak najlepszych napojów, doskonale przyprawionych, a słońce obdarzało mnie hojnie ciepłem i światłem. Dzięki nim, rosłam i rozwijałam się szybko. Korzenie zagłębiały się w dół coraz bardziej, rozgałęziły się i wypijały chciwie soki, a łodyżka wyciągała ramiona do góry i wszystkie listki moje obracała ku słońcu. Czułam, jak z dniem każdym sił mi przybywało, jak rozrastałam się i jak wypiękniałam.

Nie byłam jednak sama; miałam liczne rodzeństwo, a i w sąsiedztwie naszym rosły inne drzewka: brzozy, osina i parę świerków.

Ziemia jest taka dobra matka dla wszystkich, że rada była każdego przygarnąć i nakarmić. Ale ja miałam przekonanie, że muszę stanowić wyjątek, — muszę mieć wszystkiego najwięcej. Marzeniem moim było zostać samą.

I otóż razu jednego powzięłam zbrodniczą myśl wypowiedzieć walkę wszystkim drzewom w około. Postanowiłam zagarnąć najlepsze kawałki gruntu, zabrać najpożyteczniejsze soki z ziemi i najczyściejszą wodę ze strumyków. Używałam do tego różnych wykrętów, korzystałam ze słabości moich sąsiadek, i wszystko obracałam na swoją korzyść.

Postanowiłam za jaką bądź cenę być najpiękniejszym drzewem. Nieraz spragnione towarzyszki wyciągały ku mnie swe suche korzenie i błagały o kropelkę wody. Ale ja brutalnie odpychałam wszystkich, ktokolwiek stał mi w drodze.

Chciwość moja do tego doszła, że i o światło słoneczne byłam zazdrosna. Pamiętam ... ach, niestety, pamiętam ... jak młodsze rodzeństwo tuliło się do mnie, wołając:

— Siostro, ulituj się, choć jeden

promyk słońca udziel nam biednym. Patrz! Wynędzniałe stoimy tu przy tobie, gdy ty w zbytkach opływasz. Rozchyl, siostro, swe gałązki... niech choć raz jeden słońce zajrzy do nas...

Byłam głucha na te jęki... A z dniem każdym walka była łatwiejsza, gdyż siły moich towarzyszek malały i drzewka jedno po drugim usychały.

Wkrótce zapanowałam na dużym obszarze ziemi. Nic mi nie stało na przeszkodzie. A do mego stołu przybyło nowe danie — przegniłe korzenie i szczątki moich towarzyszek. Tak ziściły się moje marzenia: byłam piękną, silną i możną.

* * *

Minęło lat kilkanaście. Pień mój zgrubiał i uniósł się wysoko, a konary rozpłożyły i utworzyły dużą, cienistą altanę. Wszyscy w okolicy podziwiali moją urodę, moim wzrostem, kształtem mojej korony, barwą liści, zapachem kwiatów. Kto tylko miał czas, stawał przy mnie i podziwiał.

Nawet wrony, dla których nic nie ma godnego uwagi, nieraz zlatywały się i zachwycały moimi wdziękami:

"Stanowczo ta lipa jest najpiękniejszym drzewem w naszej okolicy", powiada jedna.

"Dlaczego nie ma być piękną, skoro jest sama? Uśmierciła wszystkie drzewa dokoła, więc ma się czym żywić", dodała druga.

"I słusznie", odzywa się trzecia. "Najlepiej temu na świecie, kto tylko o sobie myśli, takie jest moje zdanie."

Ale nie długo byłam szczęśliwa. Z wiekiem przyszło opamiętanie. Obejrzałam się poza siebie i dojrzałam pustki. Byłam zupełnie osamotniona. Ani jednej siostry, ani jednej towarzyszki nie mam przy sobie. Strach mnie ogarniał.

Całą moją urodę, całą potęgę i siły oddałabym teraz za jedno przyjazne spojrzenie. Ale dokoło była pustka. A nawet te małe krzaki, które stały zdala, pogardziły mną i z oburzeniem odwracały się ode mnie.

Czasem z rozpaczy w szał wpadałam; obrywałam liście, łamałam gałęzie, nadstawiałam konary i wołałam do piorunów: "Zabijcie mnie!" Ale szał mijał i ja dalej to ciężkie życie dźwigać musiałam.

I znowu przed oczami mymi stawały te biedne drzewka, które tak umierać nie chciały... "Ach, uciec z tego cmentarzyska!",

O! Ileż śmierć jest lepsza od takiego życia! Korzenie jednak przykuły mnie do ziemi, a w zdrowym pniu jeszcze życie miałam, że prędko skończyć nie mogłam.

* * *

Ale przyszła raz wiosna piękna, słoneczna, promienna; hojnie obdzielała i we mnie siły ożywcze wlała. Obudziłam się ze snu zimowego i czułam, że inne życie wstępuje we mnie. Nagle obudziło się we mnie dziwne postanowienie: oddać siebie na użytek innym.

Natychmiast myśl tę w czyn wprowadziłam. Zaroiło się koło mnie. Zewsząd ściągały do mnie roje owadów; jedne składały jajeczka na moich liściach i korzeniach, inne wypijały z nich soki, a pszczoły i osy całym rojem unosiły się na kwiatach moich i miód z nich wybierały.

A ileż to ptaków znalazło schronienie na moich gałęziach!... Wilgi, sikory, dzięcioły, szczygły! Tysiąc liszek różnego rodzaju zaczęło obgryzać moje liście, a młode korzonki służyły za pokarm dla pędraków i glist.

Niektóre stworzenia tak się do mnie przywiązały, że nawet zaczęły się stroić w moje barwy i całymi dniami ze mną przebywały. Po-

między nimi był motyl — nastrosz — który miał przednie skrzydła jasno-zielone, jak moje listki, a tylne miały kolor mego kwiatu. To był mój ulubieniec. Cały dzień siedział przytulony do mnie i tylko w nocy odlatywał. Miał też dzieci cudownej piękności — liszki w prążki czerwone i żółte z niebieskim rogiem na końcu ciała. Wykarmiłam je własnymi liśćmi.

I ludzie też garnęli się do mnie. W cieniu moich gałęzi bawiły się dzieci, wypoczywali strudzeni pracą, zbierali się na radę starzy, tańczyli młodzi... Oddawałam też im chętnie mój kwiat, bo wiedziałam, że leczy ich od zaziębienia. I czułam, że z dniem każdym jestem potrzebniejsza na świecie.

Ale jednocześnie z każdą chwilą byłam coraz brzydsza; liście miałam podziurawione, gałęzie połamane lub zeschnięte, pień popękany; jednak to wcale mnie nie martwiło. Nie miałam czasu myśleć o sobie. Nie uważałam, czy jestem ładna lub brzydka, czy mi jest ciepło czy zimno, smutno czy wesoło. Myśli moje były skierowane ku tym, których karmiłam, chroniłam, i przygarniałam.

I w tym znalazłam ukojenie. Jestem dziś stokroć szczęśliwszą, niż nią byłam za czasów mojej młodości.

Teraz, gdy zbliża się już koniec mego żywota, robię rachunek sumienia i widzę, że tych moich czynów jest jeszcze za mało, ażeby odkupić dawne grzechy. Dlatego do ciebie zwracam się, młody czytelniku. Posłuchaj, o co cię proszę!...

* * *

Dopomóż wielkiej grzesznicy i czego za życia zrobić nie mogłam, ty dopełnij po mojej śmierci. Drzewo moje zetnij i oddaj stolarzowi; niech porobi stoły, ławki, tablice, szufle. Drzewo mam białe i miękkie, więc mu się przydam, nie będzie miał ze mną dużo kłopotu. Łyko moje niech kto zabierze. — Będzie miał z niego rogoże, kobiałki, liny, przętaki i wiele innych rzeczy. Cienkie gałązki użyj na opał.

Jak widzisz, oddaję wszystko, com w ciągu życia zebrała. Powiedz szczerze, czy to wystarczy na zgładzenie win moich? Czy będą mogli ludzie powiedzieć o mnie, żem była pożyteczną na świecie? A ty, czytelniku, co poznałeś moje życie i co masz młode serce, nie potępiaj biednej starej lipy, która coraz niżej i niżej do ziemi się chyli.

— Z opowieści Marii Weryho



Historyczne przemówienie Biskupa Heenan wobec Kardynała i wszystkich Biskupów Anglii i Walii oraz 7,000 wiernych.

W obronie Polski i Kościoła

Kieruję dzisiaj moje słowa nie do was, wielkiego audytorium na tej sali, lecz do pogrążonych w niewoli milionów, żyjących w jarzmie. Nasze przemówienia będą im przekazane za pośrednictwem europejskiego serwisu Radia Brytyjskiego. Przede wszystkim więc, niech mi to nieznane audytorium pozwoli powiedzieć do siebie te słowa: tutaj, w Royal Albert Hall znajduje się prawdziwy Prezydent Narodu Polskiego. Są wśród nas przedstawiciele wszystkich narodów cierpiących sowiecką tyranię. Litwa, Łotwa i Estonia wysłały swych reprezentantów. Nie tylko z państw bałtyckich, ale i z Bałkanów są tu obecni mężczyźni i niewiasty, którzy uszli z niewoli z Węgier, Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii i Jugosławii, jako świadkowie w imieniu tych, którzy nie mogą być obecni. Nie koniec na tym. Dumny jestem, iż mogę Państwu powiedzieć, że są dziś na tej sali także uchodźcy z Chin i z Dalekiego Wschodu.

Moim obowiązkiem jest, w pierw-

Przemówienie J.E. Biskupa Jana C. Heenan w londyńskim Albert Hallu, dnia 3 grudnia, 1953 r. Zebraniu przewodniczył J. Em. Arcybiskup Westminsteru Kardynał Griffin. Siedem tysięcy katolików angielskich wzięło udział w zebraniu protestacyjnym przeciwko prześladowaniu Kościoła w Polsce. Udział wzięli również wszyscy Biskupi Anglii i Walii.

szym rzędzie, zdać sprawę z prześladowania Kościoła katolickiego w Polsce. Moje zadanie wcale nie jest ułatwione przez fakt, że szablon tych prześladowań jest jednostajny. Rządy komunistyczne wszędzie na świecie prowadzą tę samą walkę, kierowaną przez wojujących ateistów z Moskwy. Jeżeli was nuży słuchanie tej samej historii, jak sądzicie, czym jest ona dla samych ofiar, jej bohaterów? Jedyne zebrania, w jakich oni uczestniczą, to apele w więzieniach i obozach przymusowej pracy. Jedyni duchowni, jakich oglądają na piedestale, to skazani księża wstępujący na stopnie szubienic. Nie widzą tam swych kapłanów przystrojonych w szaty purpurowe, lecz rozebranych i obnażonych; ich jedyną purpurą jest chwalebna purpura krwi męczeńskiej.

Posłuchajmy jeszcze raz ponurego rejestru komunistycznych zbrodni przeciw ludzkości. Zbrodni przeciw świętej ludzkości Chrystusa, zbrodni przeciw ludzkiej godności członków Jego Mistycznego Ciała. W grubszym zarysie, tragedia jest ta sama w Polsce, co w Jugosławii, na Węgrzech, czy w Rumunii. Wszędzie, w państwach bałkańskich i bałtyckich i w czerwonych Chinach, metody walki Moskwy przeciw Bogu są następujące.

Najpierw przychodzi atak na niewinne dziecko. Umysł jego zostaje wykrzywiony przez pseudo-naukowe bluźnierstwa i marksistowską doktrynę. Nauczanie religii jest zakazane. Katolickie szkoły zamknięte. Seminaria dla przyszłych księży skasowane.

Ci, którzy poświęcają życie nauczaniu zasad wiary, są likwidowani. "Pozwólcie małym dziatkom przyjść do Mnie" — mówi nam głos Chrystusa. Wszystkie środki, którymi może rozporządzać fanatyczna nienawiść Boga, używane są do udaremnienia wykonywania nakazów Chrystusa. "Nie zakazujcie im" — rzekł nasz Pan. Ale pierwszym aktem reżimu komunistycznego jest zakaz zbliżania się dziecka do Chrystusa, nie tylko przez usunięcie nauczania religii ze szkół, ale i przez organizowanie zajęć pozaszkolnych tak, aby nauczanie religijne nie mogło być nigdzie udzielane. Przyjmując w tym, jak i w wielu innych wypadkach, taktykę hitleryzmu, reżim komunistyczny organizuje parady młodzieży, aby odciągnąć dzieci od słuchania Mszy św. nawet w niedziele.

Wszystko to, jak już powiedziałem, dzieje się wszędzie pod komunistycznym panowaniem. Ale chciałbym zwrócić uwagę Państwa jeszcze na chytrość ostatnich posunięć komunistów w Polsce. Ich tezą było wszędzie, że szkoły prywatne są w demokracjach ludowych szkodliwe. Dlatego katolickie szkoły zostały zamknięte. Ale zgodnie z konstytucją obowiązującą w Polsce, nauczanie religii stanowiło część składową programu szkół państwowych. Dzieci protestantów, prawosławnych i żydów, pobierały naukę religii. Ale w tym przeważająco katolickim kraju oczywiście większość nauki religii była katolicka. Cóż więc uczynili komuniści? Państwowe szkoły zostały przeniesione do nominalnie prywatnych szkół towarzystwa ateistycznego tzw. "Przyjaciół Dzieci". Jeżeli pod "Przyjaciółmi Dzieci" rozumieć będziecie "Nieprzyjaciół Boga", ocenicie deprawację ataku Warszawy na tych maluczkich.

Dalej, w Polsce, podobnie jak wszędzie indziej, atak skierowano na robotników miejskich. Ich egzystencję uzależniono od podporządkowania się politycznego. Następnie przyszedł wyzysk chłopa.

Konfiskata zboża i majątku i — jeśli śmiał się opierać — aresztowanie całej rodziny.

Nie zapomniano również o pracownikach umysłowych. Brak legitymacji partyjnej oznaczał brak miejsca na uniwersytecie. To uderzenie w robotników, chłopów i studentów zostało podjęte w imieniu "ludu".

Dużo czasu upłynęło, zanim rząd warszawski odważył się podnieść rękę na Kościół katolicki, którego członkami jest większość Narodu Polskiego. To prawda, że udało się komunistom zdusić katolickie szkolnictwo i wszelkie formy akcji katolickiej. Ale dopóki Pasterze ludu pozostawali na wolności, zwycięstwo komunistów nad Kościołem nie mogło być zupełne. W końcu tedy uczynili to, co przepowiedział prorok Zachariasz: "Uderz pasterza, a rozproszą się owce i obrócą rękę moją na malutkie" (Zach. 13:7). Tak więc Prymas Polski został wygnany. Twierdzą, że znajduje się on w klasztorze. Miliony osieroconych katolików w Polsce i setki milionów katolików żyjących na wolności chciałoby wiedzieć, gdzie jest Kardynał Wyszyński. Gdzie jest ów klasztor? Na podstawie jakiej fikcji prawnej Prymas usunięty został ze swej arcybiskupiej stolicy bez sądu? Niestety, i Państwo i ja, wiemy zbyt dokładnie, że czynione są przygotowania do postawienia go przed takim sądem-parodią. Komuniści zrobili to już przedtem i zrobią to znowu. Wiemy też, zanim nam powiedzą, jakich dopatrzą się w jego działalności zbrodni. Będzie to "katolicyzm na usługach polityki". Ważnym jest, aby wolny świat wiedział, że oskarżenie o polityczny katolicyzm jest równie fałszywe, jak perfidne. Fałszywe, ponieważ katolicka akcja oznacza tylko, że strzeżemy naszych dzieci i opieramy się wyrzucaniu naszych sióstr ze szpitali i sierocińców. Oznacza ona, że domagamy się prawa wstępu do szpitalu dla udzielania Sakramentów świętych chorym i umierającym. Oznacza ona, że uznajemy władzę duchową Wikariusza Chrystusowego i chcemy wolności porozumiewania się ze Stolicą Świętą. To za taką akcję polityczną Biskup Kaczmarek i wielu innych Biskupów polskich znalazło się w więzieniu. To za to Kardynał Wyszyński, Prymas Polski, został wygnany, nie wiadomo dokąd. Ale to fałszywe oskarżenie jest równocześnie perfidne, gdyż nawet na Zachodzie za dobrą monetę uchodzi twierdzenie, że celem Kościoła katolickiego jest władza polityczna.

Jeżeli nie zatrzymam się na tym, aby wykazać fałsz tego twierdzenia, cały cel tego zebrania może pójść na marne. Nie zadawałbym sobie trudu, by je obalić, gdyby to oskarżenie było wysuwane tylko przez ateistycznych komunistów. Ale także niektórzy z naszych niekatolickich przyjaciół uderzyli w to oszczerstwo. Dostrzegają oni, że Kościół katolicki walczy bronią polityczną. W naszych czasach Kościół musiał się przeciwstawić faszyzmowi we Włoszech i hitleryzmowi w Niemczech. Był on zmuszony zmierzyć swoją siłę z siłami polityków. Miał do wyboru albo akcję polityczną albo zniszczenie. Proszę moich protestanckich przyjaciół, aby uwierzyli, że odmawiając poddania się, nasz Kościół walczył również dobrze za nich, jak za siebie. Bo tylko Kościół katolicki posiada potrzebną jedność i siłę, aby się oprzeć marszowi pogan. Prawda, że w Niemczech Hitler znalazł niektórych protestantów, jak np. Dr. Dibelius, zdolnych do walki z nim. Ale potrafił on rozdzielić i odizolo-

wać luteranów, a nawet stworzyć kościół niemiecki z biskupem Reichu. Z własnych słów Hitlera wiemy, że za swego śmiertelnego wroga uważał on Kościół katolicki. Można było uczynić tylko jedno z katolickim klerem. Trzeba go było zlikwidować. To samo jest dziś w Polsce. Przed Kościołem stoi do wyboru albo przyjęcie komunizmu albo walka za wszystkich wierzących w Boga i ryzyko oskarżenia o grę polityczną.

Eminencjo, my się nie bawimy w politykę. Nasi bracia polscy także nie bawią się w politykę. Nie bawią się: oni walczą i umierają za Wiarę. Niech wiedzą, że jesteśmy z nimi w tej walce. Nie, nawet krytycyzm naszych przyjaciół nie odwiedzie nas od tego.

W pewnym momencie wojny koreańskiej wydawało się, że źli doradcy rozbiją Narody Zjednoczone. Gdy się to działo, amerykańscy mężowie stanu oświadczyli, że jeśli zajdzie potrzeba, oni "pójdą sami". My, katolicy, oświadczamy naszym towarzyszom chrześcijanom i wszystkim wierzącym w Boga, że jesteśmy również gotowi, w razie potrzeby, "pójść sami".

Tragedia Polski powinna dowieść wszystkim ludziom inteligentnym, jak nikczemna jest potwarz, która przedstawia Kościół jako wroga ludu. Polska jest nieomal całkowicie katolickim krajem. Wszyscy świetnie wiedzą o pełnej poświęcenia gorliwości Narodu Polskiego i o wytrwałej wierności Ojczyźnie i Kościołowi. Czy jest to do wiary, aby Naród, który dziesięć lat temu nie wydał żadnego Quislinga, by służyć niemieckiemu narodowemu socjalizmowi, mógł teraz nawrócić się tak całkowicie na narodowy socjalizm Rosji sowieckiej? Stwierdźmy jasno, że Polska jest krajem okupowanym przez Sowiety. Nie ma pokoju w Polsce. Nie będzie pokoju nigdzie na świecie, dopokąd narody nie będą oczyszczone i uwolnione od tyranii Moskwy.

Stwierdzam, że Polska jest satelitą Sowietów. Nikt nie wierzy, że warszawski prezydent został wybrany przez Naród Polski. Może on i jest rodowitym Polakiem, ale został wytresowany w Moskwie i narzucony Polakom. Rząd warszawski nie doszedł do władzy dzięki wolnym głosom Narodu, ale przy pomocy czołgów i karabinów maszynowych armii sowieckiej i terroru tajnej policji. Polską rządzi armia sowiecka. Dwa miesiące temu skazany został Biskup kielecki Kaczmarek. Przez kogo został skazany? Przez warszawski wojskowy sąd okręgowy! A kto są jego sędziowie? Oficerowie armii, powołani przez marszałka Rokossowskiego, generała sowieckiego, dowodzącego dziś polskimi siłami zbrojnymi. Kto był prokuratorem? Pułkownik Zarakowski. To pięknie brzmiące polskie nazwisko. Ale to nazwisko, z którym się prokurator nie urodził. Nie ma takiego nazwiska na liście sowieckich oficerów. Jego prawdziwe miano jest Zarako. A to już jest nazwisko rosyjskie.

Byłoby zbyt nużące rozważanie wszystkich ataków na Kościół w Polsce. Oprócz ataków na szkoły, jednym z głównych celów komunistów jest usiłowanie rozdwojenia Kościoła przez przeciwstawianie kleru biskupom. Ale, Bogu dzięki, kler pozostał nieugięty. Wśród dziewięciu tysięcy księży w Polsce, mniej niż dwustu, czyli jeden na pięćdziesięciu, stało się, jak to komuniści określają, "księżmi patriotami". A z tych niektórzy nie są całkiem zdrowi, a inni byli kapelanami w Polskiej Armii w Sowietach. Smutnym rozczarowaniem dla komunistów jest fakt, że lud

nie denuncjuje swoich księży, księża nie denuncjują biskupów, a biskupi, księża i wierni zdecydowanie odmawiają denuncjowania Ojca świętego. Musimy się modlić, aby pozostali oni nadal nieugięci i mocni, aż czas ich próby się skończy a Polska, uwolniona od najeźdźców sowieckich, zajmie na powrót swoje miejsce w pierwszym szeregu narodów katolickich.

Wielu wzdrygnie się na słowo "uwolnienie". Pomyślą oni, że my nalegamy na wolne narody Zachodu, aby wypowiedziały wojnę Związkowi Sowieckiemu. Niemożliwym stało się protestowanie przeciw światowemu prześladowaniu Kościoła Bożego, kierowanemu z Moskwy, aby nie być oskarżonym o dążenie do wywołania trzeciej wojny. Stwierdzamy tedy, że nikt nie pożąda bardziej gorąco pokoju, jak katolicy całego świata. Obłudą jest nazywanie nas podżegaczami wojennymi, dlatego że protestujemy przeciw prześladowaniu. Pamiętamy wszyscy wojnę nerwów po Monachium. Przez cały rok bojaźliwi ludzie błagali nas, aby nie drażnić Hitlera. Tak spędziliśmy rok nieszczęścia. Rok wojny nerwów — gorszy z pewnością, niż rok prawdziwej wojny.

Moi przyjaciele! Przed nami jest nowe Monachium. Serce podchodzi do krtani na każdą wzmiankę o rozmowach między Sowietami a Zachodem. Oszczędziłoby mnóstwo histerii i rozczarowań, gdybyśmy zdali sobie sprawę z tego, że trzecia wojna się zbliża, a — niech nas Bóg strzeże — wybuchnie wówczas, gdy Kreml uzna moment za najwłaściwszy dla siebie. Niepokój w przemyśle będzie podsycany aż do punktu, w którym morale obywatelskie Zachodu załamie się. Nastąpi to wtedy, gdy nieprzyjaciele komunizmu poróżnią się między sobą i pokłócą. Wielkim krokiem do wojny jest fakt, że Kościół katolicki, największa żywa siła przeciwna komunistycznej agresji, jest spotwarzana w fałszywym świetle na Zachodzie, w czasie, gdy na Wschodzie krwawi śmiertelnie.

Prawdopodobnie nam wszystkim by się udało zachować zimną krew, gdybyśmy sobie raz zdali sprawę, że żaden komunista nie pragnie zelżyć napięcia ani pozostawić świata otwartym dla demokracji. Każdy przekonany komunista jest szermierzem wojny domowej i rewolucji światowej. Komunista jest zdecydowanym nieprzyjacielem Księcia Pokoju. Nie dajcie się omamić tym, którzy domagają się od was podpisywania deklaracji pokojowych. Przyjrzyjcie się uważniej, a spostrzeżecie, że oprócz paru marzycieli, arendarzami pokoju są groźni fanatycy. Jedynym prawdziwym ich dążeniem jest sprzedać swoją ojczyznę Związkowi Sowieckiemu. Zbadajcie ich gołąbki pokoju. Odkryjecie, że są to wymyte na biało jastrzębie, gotowe do rzucenia się na ścierwo tych wszystkich, którzy przyjmą ich śmiertelny pocałunek. Gruchają one słowo "Pokój", lecz ich okrutne dzioby są rozwarte, aby wydrzeć serca wszystkich, którzy miłują Boga i wolność.

Nie, my nie jesteśmy podżegaczami wojennymi, ale nie jesteśmy także głupcami, gotowymi do przyjęcia pokoju za każdą cenę; nie za cenę honoru; nie za cenę wolności; nie za cenę dusz naszych dzieci; nie za cenę Boga i Chrystusa.

Wydaje mi się, że powinienem opatrzyć komentarzem twierdzenie, wysuwane często przeciw katolikom, kiedy protestujemy przeciw komunistycznemu prześladowaniu chrześcijaństwa. Mówi się, że nie jesteśmy konsekwentni. Hiszpania,

między innym krajami, jest dawana za przykład, że katolicy są jednostronni w ocenie prześladowań religijnych. To jest niewiarygodne. Kiedy to w Hiszpanii pastorzy protestanccy byli stawiani przed sądem lub aresztowani za ich wierzenia religijne? Stwierdzam, że protestantom w Hiszpanii wolno praktykować ich religię i uczyć jej ich dzieci. Zakazana jest tylko monstrualna i kłamliwa propaganda, jaką tak zwani ewangeliści prowadzą przeciwko religii większości narodu hiszpańskiego. Ci "ewangeliści" — a czytałem ich kazania i publikacje — głoszą nie miłość Chrystusową, lecz nienawiść Kościoła katolickiego.

Nie jesteśmy więc niekonsekwentni. Niekonsekwencja natomiast cechuje politykę zagraniczną naszego rządu.

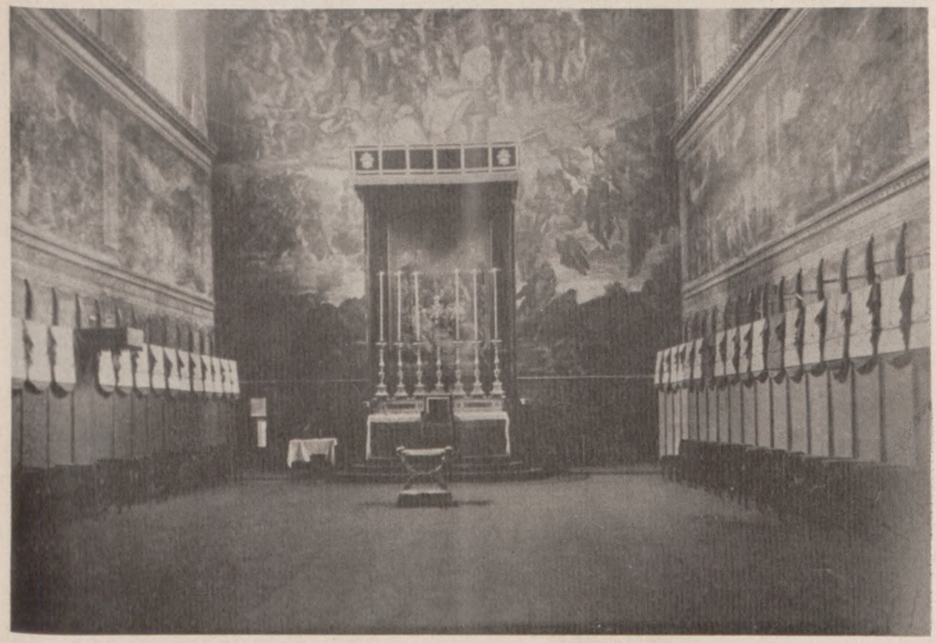
Oczekuje się od nas uśmiechów dla marszałka Tito. Nie mam uwielbienia dla dyktatorów ani w Hiszpanii, ani na Bałkanach. Ale nikt świadomy faktów nie może dowodzić, że terror w Hiszpanii da się porównać z terrorem policji państwowej marszałka Tito. Ale czołowi politycy, zarówno rządowi, jak opozycyjni, uznali za rzecz właściwą być gośćmi Jugosławii. Marszałek Tito zaproszony został do Londynu. Naszej prawdziwej chrześcijańskiej Królowej — niech Bóg jej błogosławi i sprzyja w jej podróży! — doradzono, aby go przyjęła w Pałacu Buckingham. Katolików smuci to, gdy widzą, że wrogów Boga otacza się takimi względami. Bo my wiemy, że 40 procent ludności w Jugosławii, to katolicy. Wiemy również, że dwie trzecie diecezji jest tam bez biskupów. Kardynał Prymas został usunięty ze swej stolicy. Setki biskupów, księży i zakonników, uwięzionych i wygnanych. Prasa katolicka została zamknięta. Katolickie szkoły i sierocińce po największej części zostały zlikwidowane. Dziękuję Bogu, że w chwili, gdy dyktator Jugosławii był honorowym gościem rządu, katolicy ograniczyli się do modlitw. Nie przyjęliśmy pocałunku przyjaźni od bałkańskiego Judasza. Będziemy wysoko nosić nasze czoła, gdy kłótnie między marksistami z Moskwy i Belgradu się zakończą.

Czy nie mam do wypowiedzenia słowa nadziei, zanim zakończę swe przemówienie? Powiem, że nie ma nadziei sprawiedliwości ni litości dla Kościoła i Narodu Polskiego, ani żadnego innego, gdzie władają komuniści. Nie ma tam, powtarzam, nadziei na ludzką miarę. Nasza nadzieja jest w Bogu. Musimy się modlić o to, aby pewnego dnia łaska Boża spadła na dusze tych, którzy rządzą Rosją sowiecką i jej satelitami. To prawda, że ludzie Kremla wydają się być na razie mocno obwarowani. Ale takim był też kiedyś Hitler. Dziś już po nim. Jego reżim uległ zupełnej zagładzie. Modły wiernych i mądrość zachodnich mężów stanu przezwyciężą, jeśli się Bogu spodoba, tyranię.

Przypomnę Państwu słowa wielkiego pisarza polskiego Sienkiewicza, z jego powieści "Quo Vadis": "I tak minął Neron jak huragan, jak burza, jak ogień, jak mija wojna czy mór; ale bazylika św. Piotra panuje dotąd ze wzgórz watykańskich Miastu i światu". Te słowa są opuszczone w dzisiejszych wydaniach "Quo Vadis" w Polsce, ale ich prawda trwa. Czas i wieczność są po naszej stronie. Nie będziemy układać się z komunizmem ani tu, ani gdziekolwiek indziej. Wszystkimi środkami, jakie są w naszej mocy, będziemy się starać złamać jego potęgę. Niech nasi przyjaciele w Polsce wiedzą, że ich nie zawie-

dziemy. Głusi będziemy na obietnice pokoju, a tylko akty pokojowe będą nas interesować. Nie będziemy rozmawiać z tymi, którzy trzymają naszych braci w Chrystusie w kajdanach. Nie uwierzymy, że dobrze nam życzą ci, którzy trzymają w więzieniach naszych biskupów i księży, porywają nasze zakonnice i psują nasze dzieci. Nie rozpaczamy, bo wiemy, że Boga nie można oszukać. Nastała godzina sił ciemności. Europa chrześcijańska była już przedtem najeżdżana przez pogaństwo. Ale Bóg je rozproszył. Rozbijało się ono o Opokę Piotrową, nawet wówczas, kiedy się cieszyło swą przewagą.

Za parę dni zaświta jutrzenka Roku Maryjnego. Dnia 8 grudnia świat katolicki, jak często przedtem, zwróci się do Niepokalanej Matki z błaganiem o pomoc. Nigdy nie słyszano, aby ktoś uciekając się do Niej i błagając Jej pomocy, był od Niej opuszczony. Nie posłużymy się bronią. Posłużymy się modlitwą i pokutą. Będziemy błagać Maryję, aby obróciła Swe miłosierne oczy na cierpiących braci Jej Syna. Wierzę, że zanim skończy się Jej rok, Maryja pomoże. Niech cały świat katolicki zgromadzi się w kościołach i skupi u stopni ołtarzy. Zbyt długo ufaliśmy książętom tego świata. Prośmy z ufnością Maryję, aby skruszyła głowę węża, jak kiedyś. Ona to znowu uczyni. Prośby nasze nie pójdą na marne.



Wybór Nowego Papieża

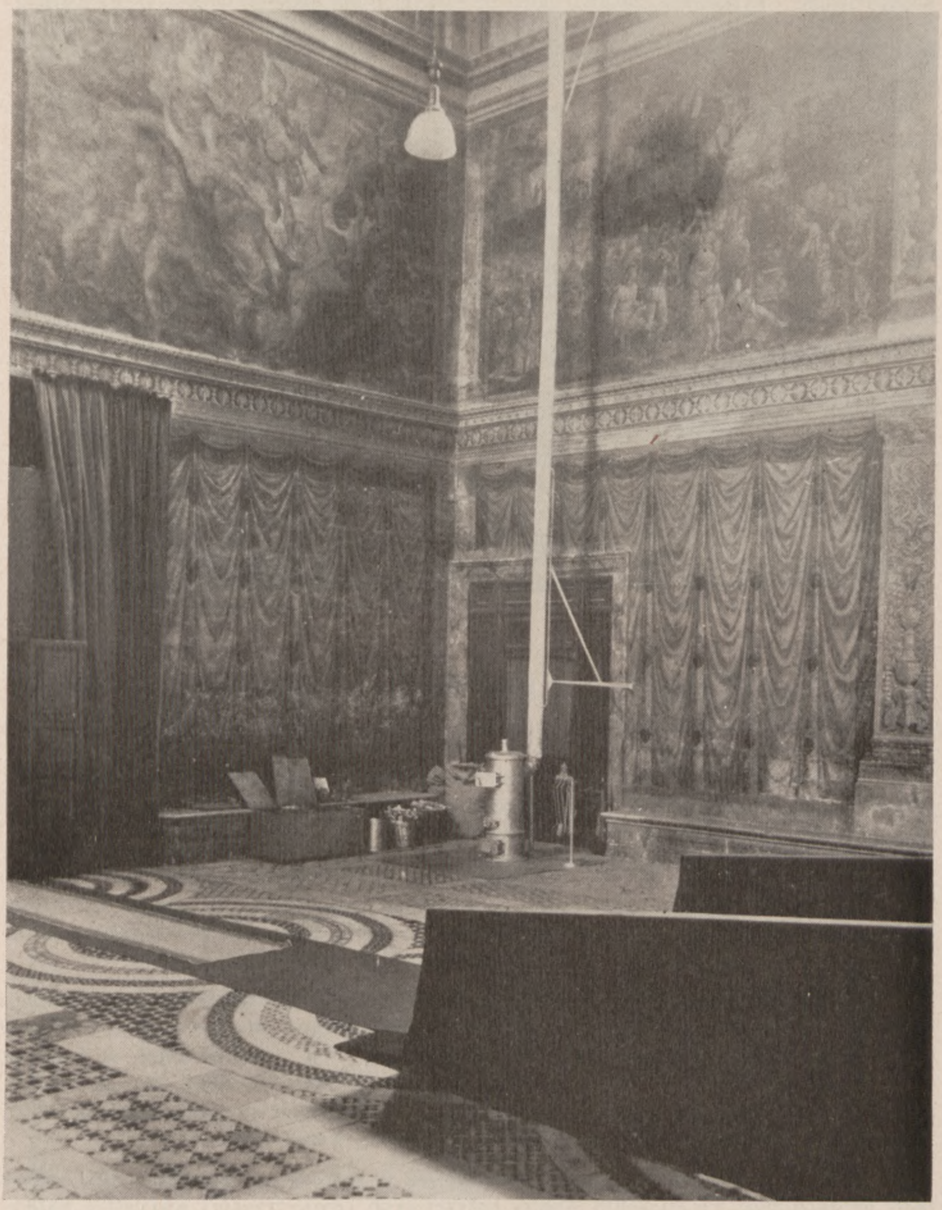
Na następnych kilku stronicach zobaczą nasi Czytelnicy nieco fotografii z Rzymu. Są to fotografie z tych miejsc, gdzie odbywa się po śmierci Papieża obiór nowego. Taki obiór albo wybór nosi nazwę K O N K L A W E, w którym biorą udział wszyscy członkowie kolegium Kardynałów.

Wybór Papieża przez Kardynałów datuje się od roku 1179, kiedy III Sobór Lateraneński orzekł, że wybór nowego Papieża zależeć będzie od Kardynałów tylko. Do ważnego wyboru potrzeba dwie trzecie kolegium kardynalskiego.

Po śmierci Papieża wszyscy Kardynałowie otrzymują zaproszenie na konklawe, które rozpoczyna się piętnastego albo osiemnastego dnia po śmierci Papieża. Rozpoczyna się od solennej pontyfikalnej M s z y ś w. odprawionej w kaplicy św. Pawła w Watykanie, po czym Kardynałowie w procesji udają się do kaplicy sykstyńskiej, gdzie odbywają się wybory. Powyższe zdjęcie przedstawia tę kaplicę, gdzie wybiera się nowego Papieża. Po bokach siedzą Kardynałowie.

Podczas wyborów nad każdym siedzeniem w kaplicy sykstyńskiej wisi rozłożony baldachimek. Po zliczeniu głosów potrzebnych (dwie trzecie) wszystkie baldachimki składają się, oprócz tego nad siedzeniem wybranego Kardynała.

Kardynał Dziekan, najstarszy wśród nich, pyta się wybranego Kardynała, czy przyjmuje urząd Papieża. Ten zaś jest w o l n y do przyjęcia albo odmówienia. Po przyjęciu otwierają się drzwi konklawe i nowo-obrany Papież idzie ubrać się w szaty papieskie, po czym wraca do kaplicy, gdzie każdy Kardynał po kolei składa mu homagium czyli cześć. (RNS Photos)



Powyższa fotografia przedstawia piecyk, stojący w kaplicy sykstyńskiej, gdzie odbywa się obiór nowego Papieża. W tym piecyku pali się głosy Kardynałów przy balotowaniu. Jeśli nie obrano decydującymi głosami Papieża, wtenczas miesza się słomę z balotami, co sprawia, że z komina unosi się czarny dym. Po obiorze Papieża pali się tylko baloty, z komina zaś unosi się biały dym, oznajmiający radosną nowinę zgromadzonym tłumom czekającym na jakąś wiadomość. (RNS Photos)



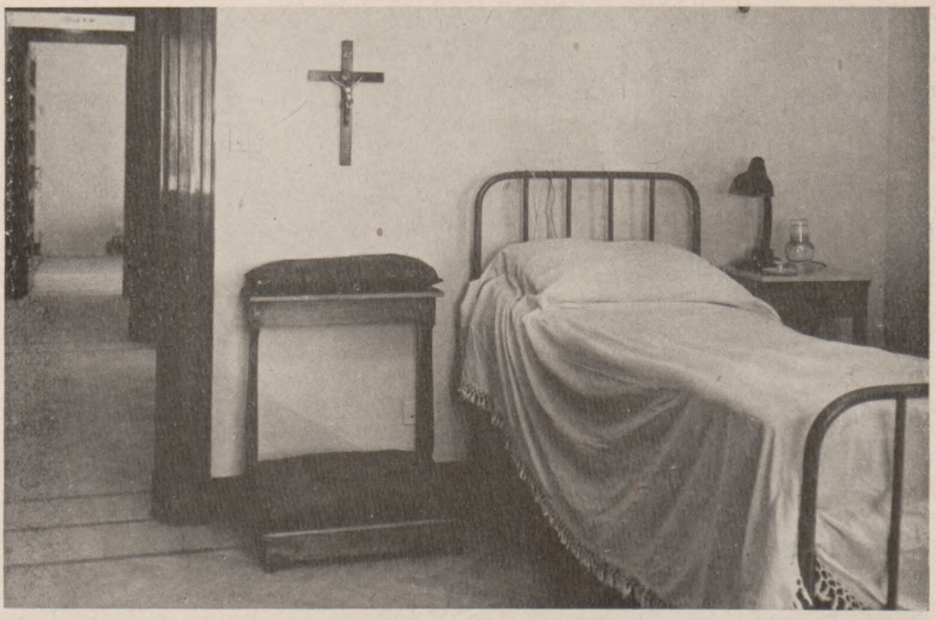
Na powyższej fotografii widać kielich, do którego Kardynałowie składają swoje głosy na nowego Papieża. Widoczne są również małe gałki, używane podczas konklawe, które obiera nowego Papieża. Pomagają one w określeniu porządku, w jakim Kardynałowie będą składać swoje baloty.





Powyżej, fotografia przedstawia trzy komplety szat papieskich, sporządzone przez papieskiego krawca, A Gammarelli: długie, krótkie i średnie.

Urną balotową podczas wyborów papieskich jest kielich, który stoi na ołtarzu w kaplicy sykstyńskiej, gdzie się odbywają wybory. Kardynałowie składają swoje głosy do tego kielicha. (RNS Photos)



Powyższa fotografia przedstawia celkę, używaną przez Kardynała podczas konklawe w ciągu wyboru nowego Papieża. Pokoje Kardynałów, którzy przyjeżdżają z całego świata do Rzymu, są prawie takie same, co powyższy. Poniżej: zewnętrzny widok na kaplicę sykstyńską, w której obiera się nowego Papieża. Jeżeli nowy Papież został wybrany, biały dym się unosi (z lewej u góry), jeśli nie wybrano jeszcze papieża, czarny dym się unosi.



Po Ziemi Świętej



Jedna z naszych Drogich Czytelniczek miała szczęście odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Przy tej sposobności miała kilka zdjęć zrobionych i przesłała je nam, by się swoją uciechą podzielić. Z radością więc zamieszczamy następujące fotografie z Ziemi Świętej. Większość z nas nigdy nie była i może nie będzie w Ziemi Świętej. Warto przynajmniej obejrzeć fotografie.

Z lewej, pani Hafczuk, z Cleveland, Ohio, klęczy przed ołtarzem podczas Mszy św. na Kalwarii przy ołtarzu ukrzyżowania. Na miejscu ukrzyżowania stoi dziś świątynia. Poniżej, pani Hafczuk w Jerozolimie przed kościołem, gdzie zachowuje się grób Najśw. Maryi Panny, tzn. miejsce, z którego przeniesioną została z ziemi do nieba.





Powyżej, pani Hafczuk na wzgórzu, z którego widać dzisiejszą Jerozolimę. Przy naszej czytelniczce jeden z Franciszkanów z Ziemi Świętej, których opiece miejsca święte są polecone.

Poniżej, Betlejem, miejsce narodzenia Pana Jezusa. Nad miejscem, gdzie Jezus się narodził, stoi obecnie wielka świątynia. Zdjęcie przedstawia miejsce w świątyni, gdzie narodził się Syn Boży.

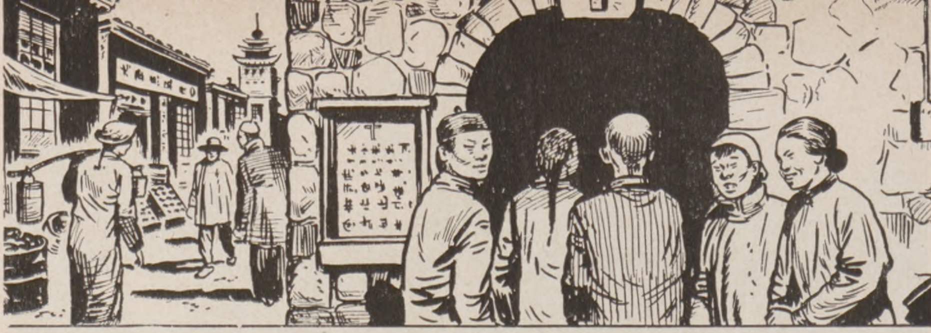




Kilka dalszych zdjęć z Ziemi Świętej. Powyżej, ogród Getsemani, przy bazylice konania. Na zdjęciu sześć prastarych drzew oliwnych. Pierwsze zdjęcie poniżej, widok na Betlejem z pola pasterzy. Drugie zdjęcie poniżej, pani Hafczuk z Franciszkanami w miejscowości, gdzie była studnia Jakubowa.







Wyprawa
Małej Su Mei

Ryszard Brown ściągnął gumowe rękawiczki i przestał być chirurgiem, bo skończył swe dzieło. Znowu stał się *człowiekiem*, a "przypadek" na stole, z raną od kuli w plecach, stał się... kobietą. Nie, nie kobietą, ale czymś więcej niż dzieckiem. Dzieckiem cudownie wahającym się, zanim przestąpi próg kobiecości.

Siostra operacyjna opudrowała penicyliną małą ranę, którą zostawiła kula wychodząc nad prawą, młodą piersią, i przy pomocy pielęgniarki-Chinki zręcznie i umiejętnie rozpoczęła bandażowanie. Zobaczyła szlachetne, szare oczy chirurga, wpatrując się w twarz nieprzytomnej, i powiedziała:

— Młoda — na takie rzeczy.

Skinął głową, ciągle wpatrzony w doskonałość kremowo-miodowej skóry oraz ukośne, chińskie oczy i brwi.

— Postrzelili ją *w rzece*. Do brzegu miała jeszcze tylko kilka metrów.

Wzdrygnął się, kiedy sobie wyobraził ciemność i zimną *rzekę* Szam Czun, która tutaj stanowiła granicę między Chinami a Hongkongiem. Zimną rzekę i alarm, rozbrzmiewający z posterunku policji, żołnierzy, strzelających w świetle gwiazd, i dziewczynę, czołgającą się na brzeg, chroniącą się w bambusowym lasku, gdzie brytyjski patrol znalazł ją o świcie.

— Sama była? — zapytała siostra.

— O ile nam wiadomo, tak.

Oczy siostry i doktora spotkały się. Siostra kazała Chince przynieść drugą parę okularów z pokoju. Kiedy drzwi sali operacyjnej zamknęły się, zapytała:

— A co z tym? — i uniosła lewe ramię nieprzytomnej.

Na wewnętrznej stronie ramienia przylepiona była kawałkiem leukoplastru niewielka tulejka, zapakowana w natłuszczoną skórę.

— Może lepiej byłoby, gdyby pan tym się na razie zaopiekował — powiedziała.

Brwi chirurga uniosły się.

— Agentka? W tym wieku?

Westchnął poprzez maskę; jeżeli nie, to coś równie rozpaczliwego musiało ją pchnąć do powzięcia takiego ryzyka.

— Nie mam nic przeciwko. A Jin — powiedziała siostra, głową wskazując w stronę drzwi, którymi wyszła jej asystentka — ale nie sądzę, by wszyscy *wrogowie* tej

dziewczyny znajdowali się po tamtej stronie granicy. Jakiś może być tu, w szpitalu...

Ryszard Brown zabrał mały cylinderek, który mu siostra dała, w ubieralni włożył go do kieszeni marynarki. Kiedy zrzucił maskę, cała jego twarz, a była to zwyczajna, cierpliwa, brązowa twarz, wyrażała zafrasowanie.

Przebrawszy się wyszedł zaraz na taras, na papierosa. Stał tam, aż papierosa skończył, wpatrując się w niebieskie wzgórza Chin, oddalone zaledwie o parę mil. O parę mil, lecz od tej małej placówki Zachodu wzgórza oddzielone były nie tylko granicą geograficzną, ale także ponurymi granicami ignorancji, niezrozumienia i nienawiści.

Tam, gdzieś w olbrzymim kraju z tragiczną historią był dom małej Su Mei. Takie imię podała w jedynej chwili świadomości, przed operacją, w celu zbadania i wyczyszczenia brzydkiej rany; rana ta mogła zabić w ciągu godziny, gdyby kula przeszła o centymetr niżej. I Su Mei opuściła dom i ryzykowała śmierć, żeby dostać się do tej maleńkiej kolonii brytyjskiej. Po co? Żeby uciec? Żeby przynieść ten tajemniczy przedmiocik, znajdujący się teraz w jego kieszeni?

Chciał wiedzieć.

Przez moment wahał się, z przyjemnością w d y c h a j ą c aromat ogródka po jałowym zaduchu sali operacyjnej. A r o m a t wydawały głównie delikatnie czerwone róże, którym siostra przełożona poświęcała tyle czułości. Rozkwitły teraz i ich woń była snem o domu. Potem wyjął tulejkę. Zdjął natłuszczone opakowanie i rozwinął zawartość.

Była to wstęga czerwonego jedwabiu, na dwa cale szeroka i jard długa, na żółto haftowana, z długim chińskim napisem. Po roku pracy w kolonii nauczył się nieco po chińsku, ale napisu odczytać nie mógł, więc rzuciwszy nań okiem zwinął taśmę, z powrotem zapakował i włożył do portfelu.

Potem miał jeszcze dużo pracy i zapomniał o Su Mei i jej sekrecie, aż późnym popołudniem spotkał w drzwiach męskiego oddziału siostrę operacyjną.

— To dziecko, które postrzelili ostatniej nocy — powiedziała — zauważyło brak zawiniątka na ramieniu. Teraz się piekli w oddziale dziecięcym. Może by pan z nią porozmawiał. Zobaczy pan, że zupełnie dobrze mówi po angielsku.

Poszedł do zalanej słońcem sali i odszukał jej łóżko. Wpatrywały się w niego oczy o kształcie listków migdału, rozgorączkowane i zrozpaczone.

— Co się tu dzieje? — zapytał tonem, który jego córka zrozumiałaby natychmiast.

— Czy pan jest tym doktorem, który mi wyjął kulę? — Jej angielszczyzna, jak powiedziała siostra, była całkiem dobra, ale znaczył ją niezwykły akcencik.

— Kula wyjęła się sama, — powiedział. — Przeszła na wylot. Ja tylko wyczyściłem dziurę, którą zrobiła.

Odpowiedziała z powagą:

— Zatem muszę panu podziękować. — I zaraz jej głos i wzrok zaostrzyły się. — Ale pan mi coś ukradł. Tak mi powiedziała gruba siostra.

Wyjął portfel.

— Przechowałem to dla ciebie. — Podał jej tulejkę.

Piękne, szczere i bardzo skośne oczy napełniły się łzami.

— Proszę o przebaczenie — powiedziała pokornie, zadrżawszy pod wpływem jakiegoś silnego uczucia. Tulejkę szybko ukryła.

Ryszard usiadł na jej łóżku, podczas gdy pozostałe dzieci w sali

przypatrywały mu się uważnie. Biedactwo potrzebowało spokoju i snu. Trzeba oderwać ją od tych uczuć, które spętały ją w węzły. Na próbę zapytał:

— Ciekawe, gdzie się tak dobrze nauczyłaś po angielsku?

— Od siostry Róży — odparła i odrazu odczuł, że napięcie zmalało, jak gdyby imię siostry Róży symbolizowało spokój i pewność.

— Siostra Róża nas nauczyła.

— Kogo? Ciebie i twoje siostry?

— Nie mam sióstr, ani braci, ani matki, ani ojca — powiedziała. — Nikt z nas w sierocińcu nie ma rodziny. I właśnie dlatego opiekowały się nami siostry.

— Siostry Angielki?

— Angielki i Amerykanki oraz Włoszki. Róża była Amerykanką, ale urodziła się we Włoszech.

— I ona was nauczyła po angielsku...

— Kiedy jeszcze byłyśmy małe. Ona uczyła tylko najmniejsze. Nie należała do tych najbardziej uczonych sióstr. Po prostu opiekowała się nami, gdy jeszcze byłyśmy za małe, żeby samodzielnie odrabiać lekcje, a potem uczyła nas szycia.

Działało. Uspakajała się z każdym słowem. Powiedział:

— Zdaje mi się, że bardzo lubiłyście siostrę Różę.

— Wszyscy ją bardzo lubili. Tak naprawdę to nie miała na imię "Róża". Miała długie, włoskie imię, zbyt trudne do wymówienia dla nas, gdy jeszcze byłyśmy małe, a matka przełożona nazywała ją siostrą Różą dlatego, bo tak kochała róże, i to było łatwiej spamiętać, i tak ją nazywałyśmy.

— To wy macie róże w Chinach? — zapytał.

— W naszej prowincji nie mamy — powiedziała. — Ale siostra Róża sadziła je po całym ogrodzie i jeden krzak dawał mnóstwo kwia-

KATOLICYZM W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Według najnowszych wiadomości statystycznych, w Stanach Zjednoczonych znajduje się 31,648,424 katolików (31 milionów, 648 tysięcy). W roku przybyło 1,223,409 katolików (milion, 223 tysiące).

Dziesięć lat temu (w roku 1944) było w Stanach Zjednoczonych 23,419,701 katolików (23 miliony, 419 tysięcy).

Konwertytów w ostatnim roku było 116,696 (116 tysięcy).

5,900,569 młodzieży kształci się w szkołach i instytucjach katolickich.

Pod koniec roku w Stanach Zjednoczonych znajdowało się 202 Biskupów w prowincjach kościelnych naszego kraju. Liczba księży: 45,451 (w tym 16,840 zakonnych). Liczba sióstr zakonnych: 154,055. Liczba braci zakonnych: 8,691.

Liczba parafii, w których proboszcz mieszka: 15,164; liczba parafii, do których proboszcz dojeżdża z innego miejsca: 750. Razem: 15,914 parafii. Poza tym, Stany Zjednoczone mają: 7,553 kaplic, 4,847 misyj i 1,954 stacyj misyjnych.

Kościół liczy w Stanach Zjednoczonych 26 archidiecezyj i 106 diecezyj.

tów, ten krzak koło mostu Papierowych Łódek.

Pozwalał jej gaworzyć, słuchając tylko jednym uchem, ale utrzymując na twarzy wyraz przyjemnego zaciekawienia i uwagi.

— Most tak się nazywał, bo zaraz poniżej niego puszczałyśmy łódki z papieru, kiedy były wyścigi. Wyścigi były pomysłem siostry Róży. Z papieru robiła łódki i na każdej malowała obrazek, rybę albo kwiat lotosu, albo półksiężyc, albo oko. I zwycięzca zawsze dostawał cukierek, albo papierowy kapelusz, albo obrazek z aniołkami. A ta, której łódka przyjechała ostatnia, musiała zawsze coś zrobić, wypielić ścieżkę, lub pozbierać wszystkie zabawki.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się.

— Ale wie pan, siostra Róża zawsze oszukiwała!

Uważał na jej słowa dostatecznie, by się tym nie zgorszyć.

— I nikt, oprócz mnie, tego nie wykrył. To było tak: zawsze tak robiła, że ta, której łódka wygrała, była akurat smutna, albo przeżyła jakiś zawód, albo może właśnie miała urodziny tego dnia. A ta, która przegrała, to prawie zawsze była jakaś dziewczynka samolubna, albo niegrzeczna.

Ziewnęła i na chwilę przymknęła oczy.

— Widzi pan — młody głos był śpiący — przy moście, w miejscu, gdzie zaczynałyśmy wyścigi, była maleńka wysepka, właściwie to tylko kamień. I z jednej strony kamienia prąd był bardzo silny, a z drugiej słabiutki. Łódka, która ruszyła z lewej strony wysepki, zawsze wygrywała, a która ruszyła z prawej strony, prawie zawsze do mety dopływała ostatnia. Rozumie pan? A siostra Róża nas ustawiała na starcie, więc na miejsce wygrywające i przegrywające mogła wybrać, kogo chciała. I tak przegrywałyśmy, kiedy byłyśmy złe, a wygrywałyśmy, kiedy było nam smutno, albo kiedy miałyśmy urodziny. Siostra Róża strasznie lubiła urodziny.

Po sekundzie zdał sobie sprawę z tego, że dziewczyna oczekiwała jego komentarza.

— To było bardzo ładnie z jej strony, p r a w d a ? — powiedział. Uśmiechnęła się śpiąco, napięcie zniknęło. — I dziękuję ci, żeś mi to wszystko opowiedziała. Ale teraz muszę iść z powrotem do pracy, a ty powinnaś pospać.

Zapytała:

— Czy jutro będzie mi lepiej?

— O wiele lepiej, jeżeli będziesz spała. Teraz zasłonię ci okno i zaśniesz jak suseł.

— Nie wiem, co to jest suseł.

— To właśnie tak będziesz spała.

Potem zapomniał o małej Su Mei aż do następnego ranka, kiedy jechał do szpitala. Wkrótce po zjechaniu z promu, który przewiózł go z wyspy, mignęła mu w tłumie, na chodniku, blada, piękna twarz. Nie poznał jej. Dopiero, gdy skręcił w szpitalną bramę, przypomniał sobie, kogo mu ta twarz przypominała. I gdy tylko znalazł się w budynku, tęga siostra operacyjna przyniosła mu wiadomość:

— Uciekła. Ta, co ją przestrzelili na wylot. Powiedziała siostrze Travers, że pan mówił, iż będzie jej dziś lepiej, więc odchodzi, bo ma coś ważnego do załatwienia. Siostra była bardzo zajęta, więc jej odpowiedziała, żeby nie gadała takich głupstw, a potem zobaczyła, że łóżko jest puste, a dziewczynka i jej ubranie zniknęły. Ostatni raz widziano ją przed godziną.

— Później, siostro. Po drodze do szpitala widziałem ją w Koulun.

Dzień lekarza był tak wypełniony zajęciami, że mógł on uciekinierce poświęcić zaledwie parę chwil troski i kilka razy zapytać się, czy jej nie odnaleziono. Przepowiedział, że zemdleje w ciągu paru godzin, ale kiedy wieczorem wracał do swego domku, nie było jeszcze wieści ani z policji, ani z innych szpitali. Gdy skręcał koło rogu, przy którym spostrzegł tego ranka, pomyślał nawet, że mogła umrzeć, niezauważona wśród kotłującego się tłumu Chińczyków, jak tysiące ich umierało każdego dnia we własnym kraju, gdzie od wieków ludzkie życie było mniej warte niż pył. Tylko w tym małym, obcym zakątku Chin samotny Chińczyk mógł oczekiwać pomocy i sprawiedliwości. Tutaj kogoś to obchodziło.

Martwił się teraz. To dziecko tak szybko stało się osobowością, kimś dla niego ważnym. Była... jakby jego przyjacielem. Nie po prostu pacjentką, której zdrowie go obchodziło, nie pierwszym przypadkiem postrzału w dziejach oddziału dziecięcego, ale Su Mei, kimś, kogo znał, kogo zdumiewającą mieszaninę czystej prostoty z tajemniczością miał zapamiętać na zawsze.

Wróciła nazajutrz, w ambulansie, który szusnął przez bramę szpitalną, gdy Ryszard Brown machnął kierowcy dłonią.

— Znaleźli ją w kościele — objaśniła go siostra operacyjna. — Na kolanach, nieprzytomną. Spędziła tam całą noc.

Zobaczył ją w godzinę potem, kiedy obchodził oddział dla dzieci. Środki podniecające przywróciły jej świadomość, a później uspakajające uśpiły w łóżeczku, które było na nią akurat dostatecznie długie. Na razie nie widział oznak nie-

bezpiecznych komplikacji, których się spodziewał.

Dzień spędził pracowiciej niż zazwyczaj. Spóźnił się z wyjściem i z wieczornym "dobranoc", rzucanym dzieciom ode drzwi. Już zebrano miseczki i pałeczki po ostatnim posiłku małych pacjentów, i wieczornego chóru "dobranoc" nie tłumiły pełne buzie ryżu. Wtedy zobaczył parę oczu, utkwionych w niego z łóżeczka Nr. 10, z wyrazem rozpaczliwego błagania. Podszedł.

— Dlaczego przyprowadzili mnie tu z powrotem? — zapytała. Jej głos opadł do zmęczonego szeptu.

— Zanim kogoś pożegnamy, trzeba na prawdę wydobrzeć — powiedział.

Przez chwilę milczała, potem spytała:

— Którego dziś mamy?

Automatycznie biorąc jej kiść i licząc puls, powiedział jej dzień tygodnia i miesiąca. Kiedy go usłyszała, wyrwała mu rękę, przycisnęła do serca, a potem uchwyciła jego dłoń w gorącym, rozpaczliwym uścisku.

— Więc pan musi mi pomóc. Inni mówią: "Śpij!", ale pan rozumie, że ja nie mogę spać.

Powiedziała to z zaufaniem i mówiła prawdę. Nie znał przyczyny, ale wiedział, że coś nie pozwalało jej odpoczywać. Usiadł na jej łóżku i zaczął ją uspakajać jak przedtem. Jej wyczerpane ciało i napięty umysł gwałtownie żądały spoczynku. Gdyby tylko potrafił ukoić jej niepokój! Poprosił:

— Opowiedz mi jeszcze coś o siostrze Róży i jej różach, i o papierowych łódkach.

Ale tym razem nie udało mu się. Zapytała tylko:

— Pomoże mi pan?

— Tak. — Było to wszystko, co potrafił odpowiedzieć. Dodał:

— Czy to jest coś w związku z taśmą pod twym prawym ramieniem?

Potaknęła gładką, czarną główką i zasypała go słowami:

— Musi mi pan pomóc, bo ja tutaj nie mam przyjaciół, a to jest sprawa ważna. Nie prosiłabym pana dla siebie, ale, widzi pan, tak długiej drogi nie odbyłam tylko dla siebie. Jestem... — zawahała się.

— Agentką? — poddał.

— Co to jest?

— To jest ktoś taki, kto reprezentuje kogoś innego i działa w jego imieniu.

— A właśnie. Więc jestem agentką. I to, po co mnie wysłano, muszę zrobić dziś.

— Masz jakąś wiadomość? Mogę ją zanieść w twoim imieniu?

— Tak się boję, że już za późno. — Pomiędzy grubymi rzęsami zabłysły łzy; bezradnie zwolniła swój uścisk.

Uspakajał ją:

— Tylko mi powiedz, komu twoją wiadomość mam zanieść, i od razu pójdę.

Boleśnie przymknęła oczy.

— Właśnie, że nie wiem — jęknęła. — Nie wiem. Nigdy nie przypuszczałam, że Hongkong będzie taki duży. Wczoraj pytałam tylu ludzi i nikt mi nie umiał nic powiedzieć. Jedna pani, która powiedziała mi, że mi pomoże, skłamała. Podsłuchałam, jak telefonowała do szpitala, chciała mnie odesłać z powrotem. Więc uciekłam. — Była teraz tylko dzieckiem, małym dzieckiem. Wreszcie zapytała niepewnie:

— Odnajdzie pan dla mnie siostrę Różę? — W głosie jej usłyszał dziecięcą bezradność, prośbę do kogoś, kto zajął miejsce jej nieżyjącej matki, kto na siebie wziął wszelkie dziecinne kłopoty i zmartwienia. Powiedział:

— Nie martw się. Znajdziemy.

— Ale dzisiaj — nalegała. — Niech ją pan znajdzie dzisiaj.

— Przecież mówiłaś, że ona jest daleko w Chinach.

Potrząsnęła główką:

— Nie, ona jest tutaj, w Hongkongu. Nowy rząd uwięził wszystkie siostry. Kiedy je nareszcie wypuścili, siostra Róża była chora, bo widzi pan, ona jest już bardzo stara. Siostry pojechały do Kantonu — nasi nowi nauczyciele nie pozwolili nam pójść i pożegnać się z nimi — i po długim czasie mogły przyjechać tutaj, do Hongkongu. Pół roku temu. I słyszałyśmy, że siostra Róża była za ciężko chora na wyjazd do domu z resztą. Została w Hongkongu.

Życie Ryszarda Browna polegało na pomaganiu ludziom, którzy ciężar swego losu powierzyli jego umiejętnościom. Ich wiara była czasem przesadna, a ciężar dźwigali tragiczny, ale właśnie tacy ludzie najbardziej potrzebowali jego pomocy. Wszystko to były stare dzieje.

— Zatelefonuję do pewnego znajomego — powiedział. — Może uda mu się znaleźć siostrę Różę, a ona potem już będzie wiedziała, co robić dalej.

Krótka ucieczka od wiary i prośby jej ślicznych, ukośnych oczu, przyniosła mu ulgę. Kiedy wrócił, była jeszcze spętana w supełki niepewności. Rzekł jej:

— No, moja Su Mei, wezmę cię teraz do siostry Róży.

Wiedział, że na długo spamięta wyraz radości, który rozpalił jej oczy.

— Dzisiaj?

— Teraz. Zaraz cię zapakujemy na wózek.

Kiedy ją wiózł w fotelu na kółkach, obróciła ku niemu oczy, w których błyszczały gwiazdy i powiedziała:

— Po drodze muszę kupić kilka róż. Ona je tak kocha. Mam trochę pieniędzy.

— Zaraz, zaraz — zamruczał i zostawił ją samą, na fotelu, w długim korytarzu. Nie minęło pół minuty, jak wrócił, z wyrazem winy na twarzy i czterema różowymi różami w ręku... pierwsze kwiaty z ulubionego krzaka siostry przełożonej.

— Świeższe niż ze sklepu — wytłumaczył — i nie potrzeba nic płacić.

Przejeżdżając głównym wyjściem wiązała kwiaty w bukiecik. Zdumiona, podniosła oczy, dopiero gdy zapukał do drzwi w połowie innego długiego korytarza. Ktoś cicho odpowiedział i Ryszard Brown otworzył drzwi.

— Gość do siostry, siostro Różo — zaanonsował.

Był to maleńki pokoik, zalany odbitym światłem słonecznym. W łóżku, wysłanym mnóstwem poduszek, leżała koścista staruszka. Jej twarz była prawie tak biała, jak okalający ją kaptur zakonny. Karta gorączkowa nad łóżkiem ukazywała krzywą, której kształt dla każdego, kto się na tym znał, jak Ryszard Brown, oznaczał niebezpieczeństwo. A nad krzywą napisane było: "Siostra Bonawentura" — imię, które dla języków małych, chińskich sierot, okazało się trudne.

Stare, powoli otwierające się i zamykające oczy nie rozpoznały dziewczyny, aż dopiero gdy przemówiła:

— Kochana siostro Różo, to Su Mei przyszła z różami i z listem.

Od łóżka rozległ się okrzyk:

— Su Mei! Ach, niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! Oto mam jeszcze jedną odpowiedź na modlitwy!

Cienkie palce, drżące jak motyle,

wybiegły na spotkanie różom i dłoni, która je podawała.

— I róże!

— I list — dodała dziewczynka wychylając się z fotela, by pomóc drżącym palcom w rozwiązaniu kokardy.

— Niech siostra przeczyta, co tam napisane — wykrzyknęła z prostym podnieceniem dziecka pod choinką.

Ryszard Brown odstąpił do dalszej krawędzi łóżka i przytrzymywał jeden koniec szkarłatnej wstęgi, podczas gdy Su Mei trzymała drugi, żeby siostrze Róży łatwiej było odczytać haftowane znaki. Czytała chińskie pismo od prawej do lewej, nieświadomie szepcąc wyrazy po angielsku, akcentem, w którym dźwięczały echa Neapolu i Manhattanu.

— W te osiemdziesiąte urodziny przesyłamy pozdrowienia dla siostry Róży, którą kochałyśmy od maleńkości i będziemy kochały, aż się tak zestarzejemy, jak ona. Od Li Lan, Fai Kua, Su Mei, Czu Tsia ... — wszystkie 28 imion, które ich właścicielki wyhaftowały dzięki umiejętności, nabytej od siostry Róży.

Staruszka-zakonnica ukryła łzy w różach matrony i wyszeptała krótką, łacinską modlitwę.

— Nigdy o siostrze nie zapomniałyśmy — opowiadała jej Su Mei. — Nasi nowi nauczyciele nie pozwolili nam, żebyśmy przyszły powiedzieć "do widzenia", kiedy siostrę wypuścili z więzienia, ale pamiętałyśmy każdego dnia, i co wieczór, w łóżku, po ciemku, modlimy się za siostrę. I kiedy przypomniałyśmy sobie o tym, że zbliżają się siostry urodziny, i o tym, jak siostra kochała urodziny i nasze czyniła tak przyjemnymi, chciałyśmy wysłać siostrze list. Ale nie znałyśmy adresu i bałyśmy się, że oni by otworzyli i potem spalili. Więc postanowiłyśmy po ciemku, w sypialni, że wyhaftujemy życzenia i któraś z nas zawiezie je do Hongkongu i odnajdzie siostrę.

Ryszard Brown spóźni się na przyjęcie, ale ani myśli o wyjściu. Niczego tak nie kochał jak widoku gojenia się ran, a tutaj, przed sobą, widział cud gojenia się dwóch prostych serc — a nawet gojenia się jednego ciała. Ale nie drugiego ... Było dla niego jasne, że siostra Róża, która kocha urodziny, nie zobaczy już następnych ...

Stare oczy dopiero teraz dostrzegły blade zmęczenie na młodziutkiej buzi i szpitalny fotel.

— Ależ, kochana moja, ty też jesteś chora!

— Nie chora, proszę siostry. Pan doktór już mnie uzdrowił. Na granicy było kilku złych policjantów. Musiałam rzekę przepłynąć.

Przez kilka minut uspakajali przerażenie siostry Róży. Wreszcie znowu wzięła w dłonie szkarłatną wstęgę i zapytała:

— Ale jak to się stało, moja kochana, że to właśnie ciebie wybrały dziewczynki do przeniesienia tego cudownego podarku?

— Zrobiłyśmy łódki z papieru, proszę siostry — odpowiedziała — tak jak nas siostra uczyła, a potem urządziłyśmy wyścigi.

Stare ręce uniosły się gestem współczucia.

— O, moja biedna Su Mei. I ty przegrałaś!

W odpowiedzi dziewczynka rzuciła doktorowi psotne spojrzenie.

— Nie, proszę siostry — rzekła. — Ja wygrałam.

Napisał Marek Derby
Tłumaczył W. G.

(Gazeta Niedzielna)







Fiesta Rybaków

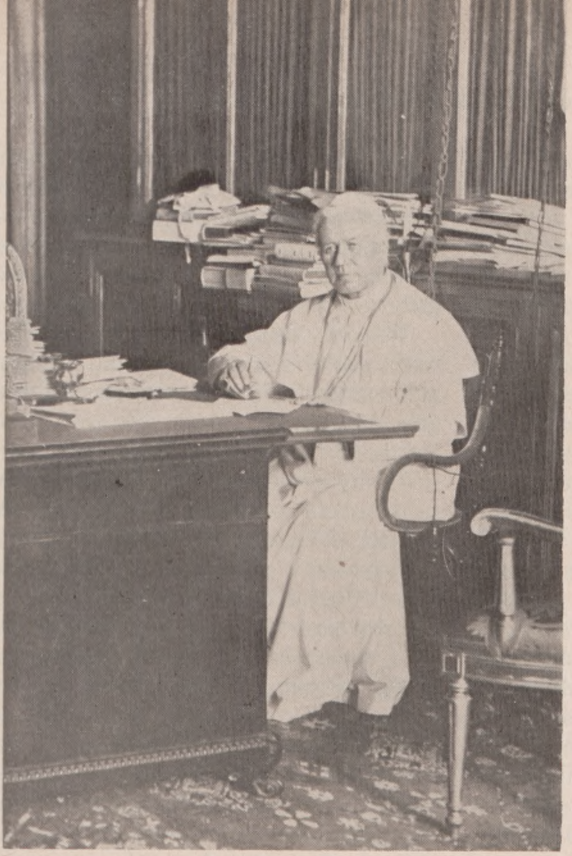
Nie wszyscy mamy sposobność podróżowania i zwiedzania interesujących miejscowości. Dlatego od czasu do czasu podajemy w naszych pismach zdjęcia ze świata.

W San Pedro, California, rok rocznie odbywa się "Fiesta Rybaków", w której bierze udział ponad 150,000 ludzi. W San Pedro znajduje się największa flota handlowych rybaków na świecie.



Na zdjęciu u góry z prawej moment śpiewania "Star Spangled Banner". Zdjęcie u góry z lewej i drugie z prawej przedstawia pięknie udekorowane statki rybackie. Głównym tłem dekoracji były pieśni, które Ameryka kocha. Na dole z prawej, procesja wyrusza z kościoła Maryi Gwiazdy Morza. Kard. McIntyre poświęcił wszystkie statki zgromadzone w porcie. (RNS Photos)





Dobry Pasterz

Wiosna 1885 roku przyniosła we Włoszech upały, niezwykłe nawet w tym kraju. Dnie były tak gorące, że każdy, o ile możności, ograniczał swą pracę na godziny poranne.

Także i w pałacu biskupim w Mantuy wstano bardzo wcześnie, bo właśnie gdy zegar katedry wybił piątą godzinę rano, wszedł najprzewielebniejszy biskup Sarto do swej pracowni. Ten książę Kościoła mimo wczesnej godziny odprawił już Mszę św., miał przeto kilka godzin czasu, aby poświęcić się studium i wypracowaniu jakiegoś pisma.

Ze spojrzeniem na wielki krucyfiks, umieszczony nad jego biurkiem, usiadł biskup na krześle i wnet był tak zagłębiony w grubych foliałach, że nie wiedział nic o świecie zewnętrznym. Tak upłynęło kilka godzin w milczeniu, gdy drzwi cicho się otworzyły i siostra biskupa weszła. Ten zdawało się, nie zważał na nią, a może wcale jej nie widział. Siostra najpierw spokojnie zaczęła krzątać się w pokoju, aby zwrócić uwagę brata. Gdy jednak widziała, że tego nie osiągnie, zaczęła się trochę tłuc po pokoju, a w końcu, gdy i to nie pomagało, zaczęła kaszleć. Teraz dopiero biskup zauważył jej obecność i zrozumiał przyczynę jej kaszlu, bo z uśmiechem zwrócił się do niej.

— No,Różo, co mi masz do powiedzenia? — zapytał się, bez śladu niecierpliwości.

— Ach, Józiu, jutro jest niedziela, więc wielu ludzi chciałoby przyjąć święte Sakramenta, — brzmiała niespodziewana odpowiedź.

Zdziwiony spojrzał biskup na siostrę.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Różo? — zapytał ją.

— Jest tu jakiś człowiek z Goito,

który chce mówić z Tobą — mówi potem kontentna, że dopięła swego celu.

— To każ mu przyjść tutaj, wiesz przecież, że ja każdego do siebie dopuszczam! — powiedział biskup powstając.

Róża oddaliła się i wnet potem wszedł jakiś wieśniak, zatrzymał się przy drzwiach i obracał w rękach swój szeroki kapelusz.

— Czego życzycie sobie, mój przyjacielu? — zapytał biskup przyjaźnie.

— Ach, księże biskupie, w naszej wsi... jest źle, — mówił jąkając się przybyły.

— Co takiego? Proszę mi ufać i mówić szczerze, co? Jeżeli mogę pomóc, to chętnie to uczynię.

— Tak, ksiądz biskup może pomóc, — mówi wieśniak nabrawszy odwagi. — Tak proszę: my od dłuższego czasu nie mamy opieki duchownej. Nasz ksiądz proboszcz jest stary i chory, czasem odprawia Mszę św., a czasem chory nie może. Kazania nie słyszeliśmy już od kilku miesięcy, jeżeli chcemy przystąpić do Sakramentów świętych, musimy iść milami do drugiej parafii. A przez to cierpi cała parafia. Czy by nie było możliwym, aby nasz ksiądz proboszcz dostał do pomocy młodego księdza?

— Pewnie, że dostaniecie młodego kiędza, ale dopiero po wyświęceniu nowych księży — przedtem jest to niemożliwe. Tymczasem ... — zamyślony patrzył biskup chwil kilka przed siebie... tymczasem na tę niedzielę poszlę wam pomoc jednego księdza. Ten ksiądz przybędzie do was już w sobotę, będzie spowiadał i powie kazanie. Możecie być pewni tego.

— Dzięki, tysiączne dzięki! — zawołał proszący. — Ależ to będzie radość, gdy przyniosę tę wiadomość.

— Teraz zostańcie z Bogiem, mój przyjacielu, — mówi biskup, podnosząc rękę błogosławiąco. — Starajcie się tylko o to, aby ten ksiądz nie zastał kościoła próżnego!

Wśród najgłębszych podziękowań oddalił się wieśniak, biskup zaś uśmiechnięty powrócił do książek swoich.

* * *

Jakby telegrafem rozeszła się popołudniu w Goito wiadomość, że ksiądz obiecany przez biskupa już przyjechał i spowiada w konfesjonale. Starzy i młodzi szli do kościoła, aby skorzystać z tej sposobności i przyjąć święte Sakramenta. Więc trzymano księdza w konfesjonale aż do późnego wieczora — a wcześnie rano znowu siedział ów ksiądz w konfesjonale. Dziwnym trafem nikt prawie nie widział twarzy tego księdza; — opuścił on kościół dopiero wtedy, gdy wszyscy ludzie wyszli z kościoła, a nim jeszcze kto przyszedł do kościoła, siedział ksiądz już w konfesjonale. Gdy zebrała się pewna liczba ludzi do Komunii, przychodzi stary, chory proboszcz, aby udzielić wiernym Komunii świętej.

Tak przeszły pierwsze godziny poranne i nadszedł czas sumy. Prawie cała wieś przyjęła Sakramenta święte i wielu innych pobożnych zeszło się, aby usłyszeć kazanie. Z oczekiwaniem oczy wszystkich były zwrócone na drzwi zakrystii — wreszcie otworzyły się one i obcy ksiądz, wysoki ze siwiejącymi trochę włosami i jasnymi oczami ukazał się w nich. Lekkim krokiem wyszedł na ambonę, powiódł okiem po obecnych i uroczyście zabrzmiał jego głos, czytający Ewangelię:

— Ja jestem dobry Pasterz! — zabrzmiało w uszach słuchaczy.

Z uwagą słuchali wszyscy słów kapłana, opisującego w porywają-

cych słowach miłość pasterską Zbawiciela. Jak głębokie wrażenie te słowa sprawiały na obecnych, dowodziła tego natężona uwaga, ta cisza, z jaką słuchali kazania i ta głęboka pobożność, z jaką wszyscy byli na całym nabożeństwie.

Po skończonej służbie Bożej zgromadzili się pierwsi obywatele z tej miejscowości przed plebanią, aby pod przewodnictwem burmistrza, podziękować w imieniu gminy temu obcemu kapłanowi.

Wieśniak ten, który był z prośbą u biskupa Sarto o przysłanie jakiego księdza do pomocy, był także przed plebanią; ale ten zresztą tak rozmowny człowiek był dzisiaj jakoś dziwnie cichym i zamkniętym w sobie.

— No, Anselmo, dlaczego tak cicho? — pyta go sąsiad, uderzając go lekko w ramię.

Zagadnięty tak skłonił głowę na piersi.

— Gdybym to wiedział, gdybym to wiedział — mruczał do siebie.

— Co chcesz wiedzieć takiego? — wmieszał się do rozmowy burmistrz.

Anselmo pochylił się do ucha pytającego. — Ja chciałbym wiedzieć, jak się nazywa ten obcy ksiądz, — szepnął.

— I dlatego taki jesteś tajemniczy? —mówi burmistrz — to zapytaj się go.

— Ale słuchajcie, panie burmistrzu — rzecz ta nie jest taka prosta, jak się wam zdaje, — mówi Anselmo dalej po cichu. — Ten obcy ksiądz jest bardzo podobny do naszego najprzewielebniejszego księdza biskupa.

— Czy to prawdziwe i pewne?

— Prawdziwe i pewne!

— Tak ty myślisz?

— Tak, ja tak myślę!

— No to tym większy honor dla nas. To musimy zbadać. Chodźcie, przyjaciele, — zwrócił się do innych — pójdziemy teraz do tego kapłana, aby mu podziękować!

W kancelarii starego proboszcza wyszedł on naprzeciw przybyłych, ale obcego księdza nie było z nim.

— My chcemy podziękować obcemu kapłanowi, gdzie on jest? — zaczął mówić burmistrz, gdy stanęli przed proboszczem.

Stary proboszcz uśmiechnął się.

— Przychodzicie za późno, moi przyjaciele, — mówi on na to. — Ten ksiądz odjechał już.

— Odjechał? — było zdziwione pytanie — jakże to możliwe? My staliśmy przecież przed drzwiami plebanii.

— Ten ksiądz przewidywał to i chciał uniknąć waszego podziękowania. Wyszedł z domu pieszo tylnymi drzwiami. — Patrzcie tam, właśnie wsiada on do powozu.

Przy tych słowach wskazał proboszcz na gościniec, gdzie właśnie w pewnej odległości ruszał powóz i zniknął wnet w tumanach kurzu.

Zawiedzony odwrócił się burmistrz.

— To proszę nam przynajmniej powiedzieć nazwisko tego księdza — prosił on.

— Ksiądz Józef.

— Więcej nie?

— Nie.

— Ksiądz proboszcz nie chce nam więcej powiedzieć?

— Nie mogę, moi przyjaciele.

Milczenie wyczekujące...

— Idźcie do domu, przyjaciele i nie pytajcie mnie, ja mogę wam tylko to powiedzieć, że ten kapłan nazywa się Józef.

— Księże proboszczu!

— Idźcie, idźcie — prosił proboszcz trwożliwie i prawie popychał proszących ku drzwiom — chociaż tak bardzo prosicie, ja nie mogę wam powiedzieć więcej.

Niezadowoleni i mrucząc oddalili

się oni. Chcieliby oni bardzo chętnie wiedzieć, czy Anselmo rzeczywiście widział dobrze. Postanowili więc następnego dnia wysłać deputację do Mantuy, aby się przekonać, czy rzeczywiście biskup Sarto był u nich. Gdy jednak ta deputacja zjawiła się w pałacu biskupim, biskup był tak zajęty innymi ważnymi sprawami, że nie miał czasu przyjąć ją — i deputacja wyraziła swoje podziękowanie przez kapelana biskupiego. Jedno jednak uzyskała. Widzieli oni portret biskupa naturalnej wielkości i przez to upewnili się, że biskup Sarto, a nie kto inny był tym kapłanem, który spowiadał i miał kazanie i nabożeństwo w ich parafii — i przyrzekli oni szlachetnemu kapłanowi niewygasłą wdzięczność.

* * *

W roku 1894 opuścił biskup Sarto Mantuę, aby przenieść się do Wenecji jako kardynał patriarcha. Jeżeli głęboki żal był z tego powodu w całej diecezji, w Goito odczuwano tę stratę podwójnie ciężko, bo mieszkańcy tej miejscowości czuli się bardziej ściśle związani ze swoim biskupem.

Osiemnaście lat upłynęło od kiedy biskup Sarto odprawiał nabożeństwo w Goito jak zwykły kapłan. Wielu, którym on wówczas udzielił Sakramentów świętych, którzy przysłuchiwali się wówczas jego natchnionym słowom, pomarło już; ale i nowa generacja zachowała dla niego tę samą miłość i przywiązanie.

* * *

Wtem przyniósł dzień 4 sierpnia, 1903 roku tę wiadomość, że kardynał Józef Sarto został wybrany papieżem i przyjął ten wybór. Nie do opisania była radość z tego powodu w tej miejscowości i postanowiono zrobić Ojcu Świętemu mały podarunek na znak wdzięczności. Długo nie mogli się zdecydować, jaki to ma być podarunek, w końcu zgodzono się.

Stary burmistrz, który zawsze jeszcze stał na czele gminy, miał tak dobrą myśl, że postanowiono natychmiast ją wykonać.

W pół roku potem była zgromadzona cała gmina na placu przed kościołem, gdzie wystawiony był podarunek dla papieża, nim go odesłano do Rzymu. Była to statua ze srebra, przedstawiająca dobrego pasterza — a na cokole tejże były wyryte te słowa:

Dobremu Pasterzowi Piusowi X. wdzięczna gmina Goito.

Doktorowie Kościoła

Doktorem Kościoła zowie się ten, którego Kościół wyróżnił tym tytułem, który oznacza to samo co **nauczyciel**. Jest to zazwyczaj Święty, odznaczający się wielkim stopniem świętości, oraz głęboką nauką. Doktorów w Kościele jest dwudziestu dziewięciu, wśród nich dwóch Franciszkanów: św. Bonawentura i św. Antoni.

Następujący Święci zaliczają się do Doktorów Kościoła:

Atanazy, biskup Aleksandrii w Egipcie, żył od 293 do 373.

Efrem, diakon, wielki pogromca heretyków, żył od 306 do 373.

Hilary, biskup z Poitiers, obrońca Trójcy Św. przeciw arianom, żył od 315 do 368.

Cyryl, biskup Jerozolimy, znany ze swych nauk katechetycznych, żył od 315 do 386.

Grzegorz Nazianzeński, biskup Konstantynopolu, nieprzyjaciel arianizmu, żył od 329 do 389.

Bazyli Wielki, biskup Cezarei, ojciec wschodniego życia zakonnego, żył od 330 do 379.

Ambroży, biskup Mediolanu, bojownik o wolność religijną, żył od 340 do 397.

Hieronim, kapłan, ojciec nauki biblijnej, żył od 340 do 420.

Jan Chryzostom, biskup Konstantynopolu, jeden z największych kaznodziei Kościoła, żył od 345 do 407.

Augustyn, biskup z Hippo, doktór łaski, walczył z Pelagianami, żył od 354 do 430.

Cyryl, biskup Aleksandrii, obrońca Kościoła przed Nestoriuszem, żył od 376 do 444.

Leon Wielki, Papież, ugruntował jedność Kościoła, żył od 390 do 461.

Piotr Chryzolog, biskup Rawenny, bojownik o Chrystusa, zwalczający monofizytów, żył od 406 do 450.

Izydor, arcybiskup Sewilli, ojciec chrześcijańskiej Hiszpanii, żył od 560 do roku 636.

Grzegorz Wielki, Papież, wzmocnił wewnętrzną organizację Kościoła, przyczynił się do oświaty świata barbarzyńskiego, żył od 540 do 604.

Beda, kapłan, wielki historyk angielski, żył od 673 do 735.

Jan Damasceński, zwalczał skutecznie herezję obrazoborców, żył od roku 676 do 749.

Piotr Damian, Kardynał-Biskup Ostii, walczył o przywrócenie karności i jedności w kościele, żył od 1007 do 1072.

Anzelm, biskup Canterbury, ojciec teologii scholastycznej, żył od 1033 do 1109.

Bernard, opat z Clairvaux, odnowił karność klasztorną, bronił praw Kościoła, żył od 1091 do 1153.

Antoni z Padwy, kapłan, wsławiony kaznodzieja i nauczyciel, zwany "doctor evangelicus" (doktor ewangeliczny), żył od 1195 do 1231.

Albert Wielki, biskup Ratisbony, wsławiony teolog, bronił Kościoła przed błędami, żył od 1206 do 1280.

Bonawentura, kardynał, biskup Albano, największy teolog mistyczny Średnich Wieków, żył od 1221 do 1274.

Tomasz z Akwinu, kapłan, wielki wykładowca nauki chrześcijańskiej, organizator systemu chrześcijańskiej filozofii i teologii, żył od 1225 do 1274.

Piotr Kanizy, kapłan, sławny katecheta w czasach po reformacji, żył od 1521 do 1597.

Jan od Krzyża, kapłan, doktor teologii mistycznej, żył od 1542 do 1591.

Robert Bellarmin, kardynał, arcybiskup Kapui, doktor nauki o Kościele, żył od 1542 do 1621.

Franciszek Salezy, biskup Genewy, wielki pisarz ascetyczny, żył od 1567 do 1622.

Alfons Liguori, biskup, mistrz teologii moralnej, żył od 1696 do 1787.



Założycielka Nazaretanek

Arcybiskup Wincenty Sardi, jeden z pierwszych biografów Matki Franciszki Siedliskiej, założycielki Nazaretanek, tak pisze o pierwszym jego spotkaniu z nią: "... Zrobiła na mnie wrażenie, jakiego się nigdy nie zapomina. Postać jej i całe wzięcie nacechowane wielką dystynkcją i dziwną powagą, wzbudzały szacunek, lecz wzięcie to, zdradzające osobę z wyższej sfery, — owiane było tak ujmującą prostotą, słodyczą i pokorą, że budziło we mnie od razu jeszcze coś więcej, aniżeli szacunek, jakąś cześć głębszą i zarazem urok niewysłowiony — nie ziemski. Odczułem, że mam przed sobą osobę niezwykłej cnoty, jednym słowem: odczułem w niej świętą. Takie więc było przy tym pierwszym z nią spotkaniu wrażenie moje, a nie zmieniłem go i przy bliższym jej poznaniu ..."

Życie tej, która takie wrażenie zrobiła na wyżej wspomnianym Arcybiskupie, rozpoczęło się w roku 1842. Franciszka Anna Józefa Siedliska urodziła się dnia 12 listopada, r. 1842 w Roszkowej Woli, w powiecie Rawskim, w ziemi Mazowieckiej. Rodzicami byli: Adolf Siedliski i Cecylia z Morawskich — oboje z rodzin szlacheckich bardzo zamożnych, ale też i nieco zaniedbanych w spełnianiu swych obowiązków religijnych. Franciszka otoczona była dostatkiem i największą troskliwością, gdyż była pierwszym dziecięciem, a w dodatku bardzo wątłym. Lekarze zawezwani do jej kolebki, oświadczyli, że w żaden sposób żyć nie może. I stan ten trwał prawie przez trzy lata, kiedy Franciszka znajdowała się zawsze między życiem i śmiercią.

W dziesiątym roku życia Franciszka rozpoczyna lekcje pod kierownictwem nauczycielki, która była osobą zacną i mającą gruntowne zasady religijne. Ta wkrótce jednak umarła, a następna była sprowadzona z Drezna — wielce uczona, mądra, ale protestantka i osoba najgorszego usposobienia. Franciszka później o niej pisać będzie: "Ta używała wszelkich środków, aby mię do siebie przywiązać, lecz ja nie mogłam znosić ani jej osoby, ani jej czułości i pieszczot. Jakie ona miała zamiary, nie umiem osądzić, ale zdaje się, że szatan jej użył, aby mnie psuć, gdyż wychowywana w domu wśród swoich, o złym nic nie wiedziałam ... Opowiadała mi najrozmaitsze powieści, historie i zdarzenia swego życia. Te pogawędki były bardzo złe i niebezpieczne, lecz słuchałam ich, lubo Pan Bóg głosem sumienia mnie ostrzegał, że to rzecz niegodziwa. Ostatecznie, gdy ta nauczycielka po kilka razy przeciwko religii świętej zaczęła mówić, coraz więcej nie

cierpiałam jej, nie ze względu na Pana Boga; lecz bezwiednie, popchnięta łaską Pana, wszystko powiedziałam mamie i oświadczyłam, że jej słuchać nie będę. Po wielu trudnościach nasz dom opuściła."

W dwunastym roku życia spotyka się z O. Leandrem Lendzianem, Kapucynem, którego matka zaprosiła do domu, aby przygotował córkę do pierwszej Komunii świętej. Kapłan ten nadzwyczaj wiele dobrego uczynił w domu Siedliskich, a szczególnie dla młodej Franciszki, w której wielka miłość ku Bogu zapłonęła pod wpływem jego nauk. Świątobliwy ten kapłan wiele też uczynił dla matki Franciszki, która powróciła do praktyk religijnych i poddała się jego mądremu kierownictwu. Długo to jednak nie potrwało, gdyż rodzina przeniosła się do Żdżar, w okolicy Nowego Miasta. Za zrządzeniem Bożym zmienionym został i O. Leander do klasztoru w Nowym Mieście. Pisząc o tym kresie swego życia Franciszka opowiada: "Gdy przyjechał O. Leander do Nowego Miasta, mój Ojciec, był w Warszawie; Mama prosiła gwardiana, czy nie mógłby na kilka dni Ojca Leandra do nas przysłać, co tenże chętnie uczynił. Spowiadałyśmy się, codziennie bywałyśmy u Komunii świętej ... Ojciec mój powrócił z Warszawy, jak najgorzej usposobiony, zagniewany na księży, na religię i najprzeciwniejszy Ojcu Leandrowi, o którym skoro się dowiedział, że parę dni w Żdżarach bawił, taką wobec proboszcza i świadków zrobił Mamie scenę, iż nigdy coś podobnego nie widziałam. Zdawało się, że nie mocą człowieka, ale mocą ducha ciemności rzucał się, krzyczał zabronił Mamie i mnie spowiadać się przed Ojcem Leandrem i zagroził, że jeżeli kiedy pokaże się w domu, głowę mu roztrzaska..."

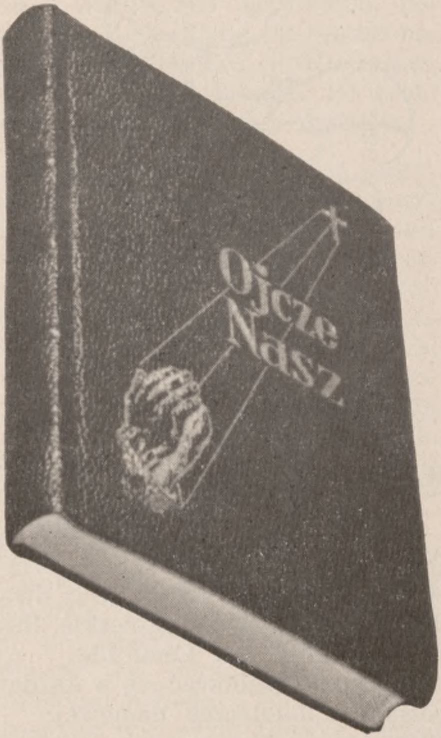
Przez kilka lat więc Franciszka musiała znosić te i tym podobne przykrości od swego ojca, od Proboszcza, który stanął po stronie jej ojca i zakazał częstej Komunii św. Innym zaś powodem smutku i cierpienia były częste zebrania sąsiadów w domu. Pisze ona o tym: "Z przepychem (ojciec) przyjmował gości, więc też było ich zawsze pełno w domu; lecz te wszystkie zebrania kończyły się jedzeniem i piciem, czasem nawet nad miarę. Ci wszyscy panowie, po większej części byli bez wiary i żadnej religii... Umyślnie, żeby nas drażnić, rozpoczynali rozmowy przeciwko księżom, religii itd. Mama dawała znaki Ojcu, aby przestali, lecz bezskutecznie. Ojciec nieraz sam śmiał się z tych rozmów, a patrząc na mnie, mówił: 'Co moja mała dewotka o tym myśli'? Ja zaś, gdy mogłam, wychodziłam z pokoju..." Trwało to kilka lat. Każda spowiedź i Komunia św. były wybłagane, wypłakane, wyproszone od ojca.

W siedemnastym roku życia Franciszka przeprowadza się z rodzicami do Warszawy, gdzie dalej zostaje otoczoną dobrobytem i komfortem. W tym też czasie zmuszono ją do brania lekcji muzyki i tańca. O tej ostatniej lekcji Franciszka pisze następujące ciekawe wynurzenia: "Nąsamprzód byłam nadzwyczaj nieśmiałą, każde zetknięcie z ludźmi bardzo mię dużo kosztowało. Po wtóre od I-szej Komunii mojej nigdy nie tańczyłam i gdy raz w 14-tym roku życia byłam na wieczorku, zdawało mi się, że ci ludzie kręcący się to jakieś wariaty, którzy w napadzie bzika tak się poruszają... Szłam na te lekcje, jak ofiara na rzeź, lecz musiałam chociaż ze łzami... Nauczyciel powie-

dział, że trzeba się ubierać do tańca w lekką krótką sukienkę wyciętą pod szyją, ale tłumaczyłam, że mi chłodno, bo to było zimą, wszelako Ojciec kazał, więc musiałam ubierać się jak na bal. Przed lekcją szłam w kąt i tam klęcząc wypłakałam się i błagałam o pomoc Pana Jezusa. O! Boże mój, chodząc na te lekcje, musiałam słuchać tej muzyki skocznej i wedle niej tańczyć i skakać, mając duszę zajętą czym innym, bo ciągle miałam w myśli Pana Jezusa..."

Ile musiała przejść Franciszka w tych latach młodości! Ile przeciwieństw! Ile prześladowania ze strony ojca i krewnych... Pewnego razu powiedziała stanowczo ojcu, że nie wyjdzie za mąż. Ten odrzekł, że wolałby ją widzieć na marach, aniżeli zakonnicą!... Cała rodzina powstała przeciwko niej; niektórzy tłumaczyli, że źle czyni i prosili ją, aby uległa woli ojca, jeśli nie chce przyczynić się do jego śmierci. Inni groźbą i gniewem chcieli na niej wymóc zmianę postanowienia, nazywając ją upartą i bez serca. Zabroniono jej korespondencji ze spowiednikiem, lecz na tym punkcie nie uległa, gdyż zdawało się jej, że w tę sferę jej życia nie miał nikt prawa do wkroczenia. Pisywała więc listy zazwyczaj w nocy: "Sypiałam w jednym pokoju z Mamą, która miała bardzo lekki sen, w rogu pokoju paliła się lampka nocna, brałam więc do łóżka atrament, pióro, papier, i leżąc przy słabym światełku tej lampki — pisałam, a gdy Mama czasem przebudziła się szelestem przewracanej kartki, straszny był lęk, aby nie wykryto mego pisania. Listy odsyłałam pocztą przez poczciwą, bardzo mi oddaną służącą."

W roku 1860, licząc 18 lat życia, Franciszka zapada na zdrowiu. Le-



OJCZE NASZ

Zawiera 313 stronic. Ma modlitwy poranne i wieczorne. Jest tam też i nabożeństwo do Trójcy Św., do Syna Bożego i do Ducha Świętego. Są tam modlitwy do godnego odprawienia Spowiedzi św. Podany jest rachunek sumienia, modlitwy do Komunii św.; nabożeństwo do Dzieciątka Jezus, do Serca Pana Jezusa, do Męki Pana Jezusa (Droga Krzyżowa i Gorzkie Żale), nabożeństwo do Najśw. Maryi Panny, do Świętych Pańskich (Litania do WW. Świętych); modlitwy do św. Michała Archanioła, Anioła Stróża, ŚŚ. Piotra i Pawła, Mikołaja, Joanny d'Ark, Teresy od Dzieciątka Jezus. Podane są również modlitwy przy konającym. **DUŻY DRUK.**

Czerw. brz.: $1.50, złoc. brz. $2.00.

karz stwierdza, że jest zagrożona chorobą płuc i radzi wyjazd na zimę do Merany. Oto, co Franciszka pisze o swym krótkim zimowym pobycie w tej ślicznej miejscowowości: "Doktor, który u nas bywał, zalecał mi długie spacery i to koniecznie, w towarzystwie innych osób w tym samym domu mieszkających, gdyż chciał, abym była weselszą; wszystkim się zdawało, żem smutna, a ja smutną nie byłam, tylko rozrywki światowe nie bawiły mię wcale."

Na wiosnę doktorzy zalecili, żeby Franciszka udała się do Interlachen w Szwajcarii w ciągu 1861 roku. Tam więc pojechała z matką.

Wyjeżdżając z Polski z matką, nie myślały, że będą pozostawały zagranicą dłużej nad rok. Tymczasem Bóg w odwiecznych zamiarach swoich rozporządził, że poza krajem spędziły pięć lat. Z nadejściem wiosny 1863 r. Franciszka będąc cokolwiek zdrowszą udała się z matką do Einsiedeln, gdzie spędziły kilka miesięcy. Potem jadą do Reichenhall w Bawarii. Trzecią zimę poza krajem cała rodzina (a więc włączając i ojca) spędziła w Cannes, we Francji. Następnej jesieni przenieśli się państwo Siedliscy do Hyeres. Pobyt tam był bardzo pamiętny dla Franciszki z powodu przeciwności doznanych i pociech otrzymanych. Najważniejszą zas z ostatnich było nawrócenie ojca, czego tak gorąco zawsze pragnęła. W tej też miejscowości Franciszka zaczyna myśleć o wstąpieniu do klasztoru. Dotychczas wiedziała tylko to: że pragnie oddać się Jezusowi. Nie wiedziała, co uczyni ze swym życiem. O. Leander zaś w korespondencji zawsze radził jej czekać stosownej pory. W Hyeres spotkała O. Hubego, ze Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, który jej

wspomniał o Benedyktynkach Najświętszego Sakramentu w Paryżu. To jej wprawdzie bardzo odpowiadało: adoracja, modlitwa, klauzura — lecz w duszy czuła zawsze, że przez Ojca Leandra Pan Jezus objawi jej Swą Najświętszą Wolę. Na jej pytanie odpisał, żeby nie zmieniać nic, czekać, i nowego stanu nie obierać. Rodzina tymczasem powróciła do kraju w roku 1869, w którym to czasie rozpoczyna się przewlekła choroba ojca, który po długich i ciężkich cierpieniach umiera dnia 18 kwietnia, 1870 r., kiedy Franciszka liczy 28 lat życia. W tym też okresie umarła panna Laurent, jej nauczycielka a później towarzyszka — osoba wielkiej cnoty. Młoda Siedliska też zapada na zdrowiu i staje prawie na progu śmierci. Nie było jednak zamiarem Opatrzności powołać ją jeszcze. Powróciła do zdrowia. Od O. Leandra zaś otrzymała w jednym z listów nowy objaw zamiarów Bożych, kiedy pisał do niej: "Chciałbym, żebyś została zakonnicą." Dla niej słowa te były wielką pociechą. Pisze ona bowiem: "Byłam ciągle jak na krzyżu, niepokoje wewnętrzne, smutki mnie dręczyły. Dusza pragnęła innego rodzaju życia, ale Ojciec Leander zawsze trzymał mnie w zawieszeniu."

Większą jednak pociechę i radość otrzymała dnia 8 marca, 1873 roku (liczyła wówczas 31 lat życia). O. Leander przybył do Żdżar, gdzie mieszkała z matką, aby ją wyspowiadać. Franciszka opisuje to zdarzenie następująco: "Po spowiedzi Ojciec Leander rzekł do mnie: 'Dziecko moje, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia; przygotuj się, abyś to przyjęła po Bożemu.' Przedstawiłam sobie wtedy obecność Pana Jezusa i jak mogłam wewnętrznym skupieniem słuchałam słów Ojca. Otóż co mówił: 'Muszę ci powiedzieć, że Pan Jezus objawił jednej osobie, że cię bardzo kocha i ciągle jest z tobą. Nie badaj mnie, do kogo te słowa były wyrzeczone, bo to na teraz nie jest co potrzebne; dosyć na tym, abyś wierzyła.' Gdy usłyszałam te słowa, ze zdumienia i przejęcia, ani łzy wycisnąć, ani słowa wyrazić nie mogłam, tak wielkie wzruszenie mnie opanowało..."

Franciszka nie miała pojęcia jednak, do jakiego życia zakonnego wzywał ją Bóg. Oto kilka dalszych szczegółów, które przygotowywały założenie nowego Zgromadzenia. W Lublinie było kilka pań-tercjarek pod przewodnictwem Marii Wojewódzkiej, które złączyły się w stowarzyszenie. Zajmowały się głównie ubogą dziatwą, nauczaniem katechizmu, przysposabianiem do św. Sakramentów. Miały też szczególne nabożeństwo do Matki Najśw., pragnąc naśladować Jej życie ciche i ukryte w Nazarecie. Pobożne te panie jednak były już w wieku i powoli jedna po drugiej umierały. Dwie z tych osób oświadczyły Ojcu Leandrowi, że Bóg im objawił swe życzenie, aby powstało nowe Zgromadzenie dziewic poświęconych czci Matki Niepokalanej w Nazarecie. Nie mogły jednak urzeczywistnić tego planu, więc każda z nich postanowiła pozostawić swe fundusze na założenie nowego Zgromadzenia.

Braciszek zakonny, Brat Stefan, pobożny i świątobliwy zakonnik przy jednej sposobności zwierzył się O. Leandrowi, że jedna z trzech tercjarek pozostałych w Lublinie ukazała mu się i wyraziła prośbę, by nowemu Zgromadzeniu przewodniczyła Franciszka Siedliska.

W następnych dniach po tej pamiętnej spowiedzi, 9 marca, 1873,

O. Leander objawiał stopniowo, jakie są względem niej zamiary Boże.

Od dwóch lat chorą była Franciszka na kość pacierzową — cierpiała na serce, a nogi jej zupełnie pozbawione były władzy, tak, że prawie ciągle leżała w łóżku, a gdy wstawała, musiano ją podtrzymywać, bo o własnej sile nie mogła się podnieść. Nagle kilka tygodni po Wielkanocy wstaje zupełnie zdrowa. Odbywa miesięczne rekolekcje pod kierownictwem O. Leandra. Dnia 2 lipca, 1873 roku w dzień Nawiedzenia Matki Bożej, Franciszka złożyła trzy śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa na ręce O. Leandra — w Warszawie w kościele P.P. Kanoniczek.

O. Leander przeznacza ją do Lublina, aby podjęła się na nowo dzieła, rozpoczętego przez niewidomą p. Wojewódzką. Wraz z matką pojechała więc Franciszka do Lublina i zamieszkała u dwóch pozostałych towarzyszek p. Wojewódzkiej: p.p. Załozieckiej i Nęcińskiej.

Wkrótce jednak O. Leander doszedł do przekonania, że w Lublinie i w kraju podległym rządowi rosyjskiemu, zakres działalności będzie bardzo ograniczony. Były to właśnie czasy najzaciętszego prześladowania religijnego po głośnym powstaniu polskim w roku 1863. W tym czasie prawie codzień zamykano klasztory, przeprowadzano rewizje w prywatnych domach, wysyłano różne osoby na Syberię, a szczególniej księży, na których padało choć najlżjesze podejrzenie utrzymywania stosunków z Rzymem i Papieżem. Sprzedano więc dom w Lublinie i postanowiono rozpocząć dzieło za granicą.

Ale gdzie zacząć? Franciszka bardzo mądrze postąpiła. Postano-

---

wiła udać się do Rzymu i przedstawić swój zamiar Ojcu św. Piusowi IX. We wrześniu tego roku Siedliska wyruszyła do Rzymu, biorąc ze sobą p. Nęcińską, która jednak po jakimś czasie musiała nagle powrócić do Polski. Franciszka więc znalazła się zupełnie sama, i w chwili tak ważnej. Audiencję u Papieża miała Franciszka dnia 1 października. Prośbę przedstawiła następującą:

"Ojcze Święty! Pragnąc odpowiedzieć łasce powołania Bożego, względem którego otrzymywał niejednokrotnie objawienia i światła, pewien pokorny i świątobliwy zakonnik, zostający pod posłuszeństwem i kierownictwem cnotliwego i roztropnego kapłana również jak on zakonnika, przez długie lata piastującego urząd przełożonego w swym zakonie: Franciszka Siedliska, córka Adolfa i Cecylii z Morawskich, Siedliskich, urodzona w Roszkowej Woli (w Królestwie Polskim) 12 listopada, 1842 roku, ośmiela się przedstawić pokornie ojcowskiemu sercu Waszej Świątobliwości zamiar przez nią powzięty, założenia nowego Zgromadzenia pod nazwą Loretanek na cześć Niepokalanej Dziewicy Maryi i pod Jej opieką, którego głównym zadaniem ma być ofiarowanie modlitw, pracy, cierpień i całej swojej istoty za Ojca św. i święty Kościół katolicki, starając się naśladować w całym swym zachowaniu życie ukryte i wszystkie cnoty Najświętszej Rodziny z Nazaretu. W nadziei, że wolno jej będzie przepisy i Konstytucje rzeczonego Zgromadzenia Loretanek Stolicy św. przedstawić do rozpatrzenia i zatwierdzenia, Franciszka Siedliska, klęcząc u stóp Waszej Świątobliwości, pokornie prosi, aby raczył utwierdzić ją w pobożnym przedsięwzięciu i udzielić swego apostolskiego błogosławieństwa."

Pius IX przeczytawszy prośbę zwrócił swe spojrzenie na nią, rozmawiał z ojcowską dobrocią, pobłogosławił ją i jej dzieło, zachęcił do pracy i wytrwałości, a potem wziąwszy pióro, napisał u spodu arkusza: "Benedicat vos Deus et illuminet semper intelligentias vestras ut possitis ambulare in viis Domini." Die 1 Octobris, 1873. Pius P.P. IX.

W tym czasie pozostawała pod kierownictwem O. Laurencot, jezuity francuskiego, który po pewnym czasie, zapewne niedowierzając swym zdolnościom, radził jej wyjechać do Lugdunu, do Francji, aby poradzić się sławnego O. Gautrelet. Ten zaś zajmował się wówczas małym zgromadzeniem, założonym w Fourvieres, a celem głównym tegoż miała być adoracja nieustanna Najśw. Sakramentu. Zakonnicom tym jednak brakowało środków do utrzymania się. O. Gautrelet pospieszył z propozycją przyłączenia się do tych Sióstr. Franciszka nie chciała, gdyż była pewna, że tego od niej Bóg nie wymaga. Nie wiedziała jednak, co ma uczynić. W pomoc przyszła Opatrzność. Zapadła znowu na chorobę kości pacierzowej. Dowiedziano się o tej chorobie w Żdżarach, gdzie przeniosła się tymczasowo gromadka lubelska, i przez O. Leandra polecono jej powrócić do Polski, co też po odzyskaniu sił uczyniła i wróciła do kraju. Pozostała tu tylko rok, gdyż następnego roku wyjechała do Paryża. O. Leander zmuszony był opuścić kraj, aby nie narażać Zakonu wobec władz rosyjskich, które go szczególnie nie lubiły. Zawezwał więc Franciszkę, aby na emigracji pracowała dla swych rodaków. Praca ta jej się podobała, nęciła, ale nie była jesz-

cze pewna, czy tam ostatecznie ma być początek jej dzieła. Odbyła pielgrzymkę do Lourdes, aby otrzymać światło. Pomówiła z tamtejszym Biskupem, który jej szczerze powiedział, iż nie myślał, że Lourdes będzie dobrym miejscem na założenie polskiego zgromadzenia. Po przyjeździe do Paryża Franciszka powzięła decyzję: nowe dzieło rozpocznie się w Rzymie. Ponieważ zadaniem nowego zgromadzenia miała być modlitwa, oraz działanie i poświęcanie się na korzyść Papieża i Kościoła św., wypadało założyć pierwszą i główną siedzibę tej instytucji w Rzymie u stóp Stolicy Apostolskiej.

Franciszka więc przybywa do Rzymu w roku 1875. Powoli jednak opuszczają ją: Matka, która musi powrócić do Polski z powodu zdrowia, obie tercjarki z Lublina — również z powodu zdrowia. Przybyło kilka kandydatek z Polski, ale wszystkie wróciły do kraju, oprócz jednej. W maju, 1877 roku, przyjeżdżają trzy rodzone siostry i wstępują do Zgromadzenia i nowa nadzieja rośnie. Pod koniec roku zgromadzenie już liczy osiem osób, a podczas Pasterki odbyły się pierwsze obłóczyny w powstającym zgromadzeniu. Trzy siostry Lubowidzkie otrzymały habity i imiona trzech archaniołów: Michała, Gabriela i Rafaela. Celebransem był O. Leander.

Z początku Franciszka nazwała swe powstające Zgromadzenie Stowarzyszeniem Maryi w Nazarecie, ale z biegiem czasu Duch Święty wzniecił w jej duszy gorącą i tkliwą miłość do Przenajśw. Rodziny z Nazaretu i idąc za natchnieniem Boskim poświęciła swe Zgromadzenie czci tejże Najśw. Rodziny, jej służbie i chwale. Często słyszano, jak powtarzała: "O! Jak pragnę, dzieci moje, aby ten nasz mały Nazaret był wyłącznie poświęcony Kościołowi św., aby wszystkie modlitwy, ofiary, prace i cierpienia każdej z nas były jakby własnością Kościoła św. Jeżeli chcemy podobać się Boskiemu Sercu Pana Jezusa, módlmy się za Kościół św., Jego Oblubienicę i jedyny przedmiot Jego miłości na ziemi."

Dnia 5 października, 1878 została przyjęta pierwsza nie-Polka, Włoszka Liberata Lanciotti, która została Siostrą Luigią.

Po tych wydarzeniach roku 1878 następuje okres ruchliwego życia Matki Franciszki: podróżuje do Paryża, Lugdunu, do Krakowa, nazad do Rzymu. Potem zapada na serce, leży w łóżku przez pięć miesięcy. Znowu wstaje i dalej w świat: do Krakowa, do Wiednia, Asyża, Loreto.

Rok 1885 widzi ją również ruchliwą: z Rzymu jedzie do Krakowa, powraca znowu do Wiecznego Miasta. Otrzymuje w tym roku też zaproszenie od Księży w Ameryce, by przybyła z Siostrami do Ameryki i poświęciła się pracy wśród emigrantów. Dnia 13 czerwca razem z jedenastoma Siostrami udaje się do Watykanu, by u stóp Papieża Leona XIII otrzymać błogosławieństwo na swą podróż do Ameryki. Historia o tej audiencji podaje ciekawą notatkę: otóż Założycielka chciała ofiarować Papieżowi grosz świętopietrza miłości dziecięcej i podała go w srebrnej tabakierce, należącej ongiś do jej dziadka. Papież przyjął uprzejmie tabakierkę i zapytał z uśmiechem: "A czy tabaka w niej się znajduje?" Pobłogosławił Siostry znowu i pożegnał.

Pierwszą placówkę otworzyła w Chicago. Pozostała tam tylko krótko, bo znów widzimy ją w po-

dróży: do Paryża, Berlina, Wiednia i Loreto, aż wreszcie kończy swoją turę w Rzymie.

Dzieło powoli się rozwija. Powstają nowe placówki w Stanach Zjednoczonych. Powstaje dom w Paryżu. W Rzymie, 8 marca, 1893 wstępuje do jej klasztorku Kardynał Vaughan z Anglii, który prosi o założenie domu Sióstr Nazaretanek w Londynie, dla opiekowania się Polakami, tam mieszkającymi. Prośbę Franciszka uwzględniła, jadąc tam sama, dla zbadania warunków i omówienia bliżej domu dla Sióstr, które potem na tę misję zostały wysłane.

Trzeba naprawdę podziwiać tę Duszę uprzywilejowaną, która tak ściśle zjednoczoną była z Bogiem, a która tak gorąco oddawała się też i pracy. Trzeba też podziwiać i Opatrzność Bożą i Mądrość, która potrafi przekreślić wszystkie plany ludzkie i rachunki. Kiedy Franciszka przyszła na świat, lekarze orzekli, że długo nie pożyje. Franciszka jednak przeżyła nie tylko kilka lat, ale sześćdziesiąt. Mimo swych licznych cierpień i słabości, potrafiła zdziałać tak dużo dla chwały Bożej i dusz zbawienia.

Świątobliwa Polka zmarła dnia 21 listopada, 1902 roku, popołudniu o godzinie 3:00.

Sprawa jej beatyfikacji jest obecnie w toku. Módlmy się o wyniesienie na ołtarze jeszcze jednej szlachetnej duszy polskiej — dla chwały Bożej i dla zbudowania i przykładu wszystkich wiernych!





Szczegóły z historii franciszkańskiej . . .

Franciszkanie w Anglii
podczas prześladowania

Św. Jan Forest

Urodzony w Oksfordzie, 1471 roku, z rodziców pobożnych i bogatych, Jan Forest wstąpił do klasztoru Franciszkanów w Greenwich, mając lat 19. Franciszkanie osiedlili się tam w r. 1480 i otrzymali od Króla Edwarda IV małą kaplicę św. Krzyża. Później Henryk VII wystawił im nowy klasztor, obok pałacu królewskiego. W cichym tym ustroniu przyszły obrońca Wiary spędził pierwsze dziewięć lat służby Bożej, po czym wysłany został na studia teologiczne do Oksfordu, gdzie otrzymał stopień doktora.

Jego nadzwyczajna świątobliwość i głęboka wiedza zjednały mu w r. 1517 zaszczytny urząd spowiednika królowej Katarzyny aragońskiej. W tym też czasie zakonnicy obrali go na swego Prowincjała. Obydwa te obowiązki spełniał bardzo sumiennie i gorliwie przez lat 16, tj. do chwili swego uwięzienia.

Kiedy Papież Klemens VII przysłał Henrykowi VIII ostateczny dekret, nakazujący mu pod klątwą rozłączyć się z Anną Boleyn, a przywrócić na dwór królewski Katarzynę, ten uniósłszy się gniewem, kazał uwięzić Foresta. Według Króla, spowiednik winien był zabronić nieszczęśliwej penitentce odwoływać się do Stolicy Świętej i wymóc na niej, aby wstąpiła do klasztoru, według woli małżonka.

Siedząc w więzieniu, Jan Forest zaczął pisać dzieło pod tytułem: "De auctoritate Ecclesiae et Pontificis Maximi" — "O władzy Kościoła i Najwyższego Pasterza". Zaczyna się ono od słów św. Pawła: "Niechaj nikt sobie tej czci nie bierze, jedno który bywa wezwan od Boga, jako Aaron". Rozwijając je, powstaje śmiało na pychę i bezbożność króla, iż nie zastanowiwszy się nad tym zdaniem, odważa się przywłaszczać sobie tytuł Głowy Kościoła w Anglii i urząd, żadną miarą do niego nie należący. Skończywszy książkę, ukrył ją starannie, aby w chwili odpowiedniej dać ją do druku.

Po dwóch latach więzienia przyprowadzono Foresta przed radę i zażądano, aby się wyrzekł Papieża, na co odpowiedział, iż ufa Panu, że mu nie pozwoli tak ciężko pobłądzić. Wywiązała się z tego powodu żywa dysputa teologiczna między nim a Cranmerem, arcybiskupem Canterbury, głównym szerzycielem protestantyzmu w Anglii. Jan Forest z łatwością odparł wszystkie zarzuty nieprzyjaciół, którzy zawstydzeni, nie wiedząc, co mówić, wołali tylko: "Na stos z nim, na stos."

Skazano go na spalenie, ale nie oznaczono terminu wyroku. Tymczasem król polecił go kusić obietnicą zaszczytów i dostatków, lecz wszystkie te zabiegi były daremne. Jedyną pociechą Jana w więzie-

niu były listy królowej. Katarzyna aragońska od czasu do czasu pisywała do niego, prosząc o modlitwę, ubolewając nad jego cierpieniami i nad brakiem światłego kierunku. Kilkakrotnie jeszcze namawiany był do odstępstwa i nawet stojąc już pod szubienicą, musiał wysłuchać całogodzinnej przemowy heretyckiego biskupa, Lattimera. Na wszystkie te pokusy i zabiegi zdrajców zakonnik odpowiadał stanowczą odmową. Jednakże śmierć Foresta odwlekano i dopiero wiadomość o napisanym przezeń dziele przyspieszyła koniec sługi Bożego.

Wzięto go więc na tortury, opasano łańcuchem żelaznym i zawieszono między dwiema szubienicami nad g o r e j ą c y m stosem drzewa. Wśród najokropniejszych cierpień męczennik żył jeszcze dwie godziny. Gdy męki się przedłużały i wśród obecnych zaczęło się budzić uczucie litości, oprawcy przewrócili słupy, wtrącając Foresta w o g i e ń wraz z szubienicą.

Bł. Ryszard Resibe i Hugo Rihe

Prawdziwie po barbarzyńsku zamordowali oprawcy Ryszarda Resibe, gwardiana klasztoru w Canterbury, i Hugona Rihe, przełożonego w innym klasztorze. Okutych w ciężkie kajdany trzymali w lochu w postawie leżącej, a po długim więzieniu powiesili na szubienicy za pasek zakonny; wkrótce jednak pasek przecięli i obie ofiary żywe jeszcze spadły ze znacznej wysokości. Wtedy z d a r t o z nich habity, obcięto głowy, wyrwano serca i wrzucono w płomienie, ciała zaś, pokrajawszy na części, ugotowano w kotle. Potem rozwieszono te sztuki na czterech bramach miejskich, a głowy zatknięte na rożnach wystawili na moście. Zamordowano ich w r. 1537.

Bł. Tomasz Belchian

W roku 1537 otrzymał koronę męczeńską również Tomasz Belchian, młody jeszcze, bo dopiero 28 lat liczący zakonnik, ale już słynny kaznodzieja. Wydał on dzieła przeciw królowi i jego doradcom, pod tytułem: "Którzy się w miękkie szaty odziewają, w domach królewskich są", a to w celu wykazania ludności angielskiej, jak dalece zbłądzi, jeżeli przyjmie porządek, zaprowadzony przez Henryka VIII. Monarcha, czytając jego traktat, przyznał mu najzupełniejszą słuszność, jednakże nie tylko w niczym się nie odmienił, lecz skazał pisarza na kajdany i na śmierć głodową. Morzono go więc tak długo, aż sama skóra i kości na nim zostały.

Bł. Antoni Boockly

Pomiędzy męczennikami, którzy przypłacili życiem swój mężny opór wobec świętokradzkiego despotyzmu króla, wyróżnia się słynny teolog oksfordzki, wielki znawca języków starożytnych, O. Antoni Boockly. Powstawał on publicznie w londyńskim kościele św. Wawrzyńca, przeciw gorszącemu życiu Henryka VIII i zagarnionej przezeń władzy duchownej. Za swoją gorliwość dostał się wkrótce do więzienia, gdzie poddano go tak surowej torturze, iż wszystkie jego członki zostały poruszone z miejsca i odłączone od siebie. Nie będąc w stanie nawet ręki do ust podnieść, byłby umarł z głodu, gdyby nie opieka pewnej pobożnej niewiasty, która 25 dni z rzędu przynosiła mu cichaczem pożywienie i karmiła go jak małe dziecko. Wreszcie po kilku tygodniach dokonał żywota, powieszony przez wrogów na zakonnym pasku.

Konwertyta



W pierwszych latach pracy Kościoła na Ziemi Amerykańskiej znajdujemy wiele ciekawych, heroicznych, szlachetnych postaci. Wśród nich jest wielu konwertytów, którzy z wielkim poświęceniem pracowali nad budowaniem fundamentów Kościoła w Ameryce.

Jednym z takich konwertytów był O. Piotr Lemcke (1796-1882). Urodził się w Niemczech, z protestanckich rodziców w Mecklenburg-Schwerin. Pierwsze wychowanie religijne otrzymał od swego dziadka, który był luteraninem. Ale wszystką tę pracę psuł doktor wiejski, niewierzący człowiek, który stołował się u rodziny Lemcke. Jako czternastoletni chłopczyk Lemcke ucieka z domu. Na wyższe wykształcenie musi pracować i żebrać. Na szczęście spotyka się z dobrą rodziną katolicką, która nim się zaopiekuje. W 18 roku życia walczy w wojnie z Napoleonem, a po ukończeniu wojny wstępuje do seminarium protestanckiego w Rostock. Przez pewien czas oddaje się pijaństwu, gemblowaniu i hulatyce, mimo swych studiów teologicznych. Wkrótce razem z przyjacielem, którego nazwisko było Adler, a który był odpadłym katolikiem, zabiera się do poważnej pracy nad sobą. Obaj zajmują się systematycznym studiowaniem historii i religii. Adler na skutek tych studiów nawraca się i kończy resztę swego życia jako katolik. Lemcke zaś kończy swe studia i otrzymuje pierwsze przeznaczenie jako minister luterański.

Przypadkowo na pierwszym tym miejscu w zaśmieconym kącie strychu znajduje . . . statuę Matki Najświętszej i kopię oryginalnych pism Lutra. Zabiera się do czytania i kiedy dobiega końca dzieła . . . traci wiarę w luteranizm. Opuszcza plebanię, wiarę i idzie w świat, w r. 1823, jako 27-letni młodzieniec.

Po roku błąkania się po bezdrożach, zwraca się do swego dawniejszego przyjaciela, Adlera, i odtąd obraca się w kołach czysto katolickich. Do Kościoła zaś przyjmuje go Ks. Biskup Sailer, dnia 21 kwietnia, 1824 r. Dwa lata później, w 30 roku swego życia, Lemcke zostaje księdzem katolickim.

Przez sześć lat kapłan-konwertyta pracuje w Niemczech na różnych placówkach, które jednak nie zadawalają jego pragnienia misjonarskiego. W tym czasie Biskup Kenrick z Filadelfii w Stanach Zjednoczonych wysłał list do Niemiec, prosząc o niemieckich księży dla nowo-przybyłych. Lemcke opuszcza kraj i jedzie do Ameryki na pracę misjonarską. Pieszo idzie do Paryża na wiosnę roku 1834, stamtąd jedzie do Holandii (Havre), gdzie wsiada na okręt, który zawiezie go do Nowego Jorku.

Po przyjeździe do Pennsylwanii otrzymuje najpierw placówkę w mieście, jako asystent przy parafii. Po dwóch miesiącach otrzymuje pozwolenie udania się na pracę misyjną w zachodniej części Stanu. Spotyka się tam ze sławnym konwertytą-kapłanem Demetriuszem Gallitzin, który znany jest w historii amerykańskiej jako Apostoł Alleghanów (góry Pennsylwanii). Pracuje tam przez szereg lat. Sprowadza też z Niemiec Benedyktynów do Pennsylwanii, którzy z czasem osiedlili się w Latrobe, Pa. Z czasem Ks. Lemcke sam przyłącza się do nich. Pracowity swój żywot zakończył dnia 29 listopada, 1882 w 87 roku swego życia.



Ukryty Majestat

Potęgę Swoją skrył w łonie Dziewicy,
W żłóbku — promienie Swej odwiecznej chwały,
Na krzyżu, Bóstwo w krwawej ran krynicy,
W grobie — zwycięskich blizn odblask wspaniały.

Dziś, na ołtarzu w odrobinie chleba,
Kryje Najwyższy Majestat Wszechmocy,
Gdy w świątyń cienie Sam wstępuje z nieba,
By moc miłości, objawić w niemocy.

I Król Wszechświata, Stwórca Utajony,
W serc przewrotności skłania się padoły,
I Bóg, Światłością Łask, Opromieniony,
Leczy dusz rany, uświęca mozoły.

Ach! Powiedz, powiedz, Mistrzu Uwielbiony,
Czym jest to nędzne serce pokutnika,
Że w nim Majestat kryjesz Nieskończony,
Gdy było dotąd narzędziem grzesznika?

Czy przeniknąłeś w nim żalu bezmiary?
Czy łez wezbranych pokutne wylewy?
Czy rzewnej skruchy całopalne czary?
Czy — nadłamane dźwigasz z błota krzewy?

A może, Mistrzu, w tle żałosnej skruchy,
Ujrzałeś wdzięcznej miłości rozkwity,
I kiedy z piersi jęk uleciał głuchy,
Grzech zasłoniły przebaczeń zenity! . . .

Ks. Biskup Dr. Władysław Bandurski

Z Watykanu  do Polski

Przemówienie Biskupa J. Króla z Rzymu do narodu polskiego, z okazji kanonizacji Papieża Piusa X . . .

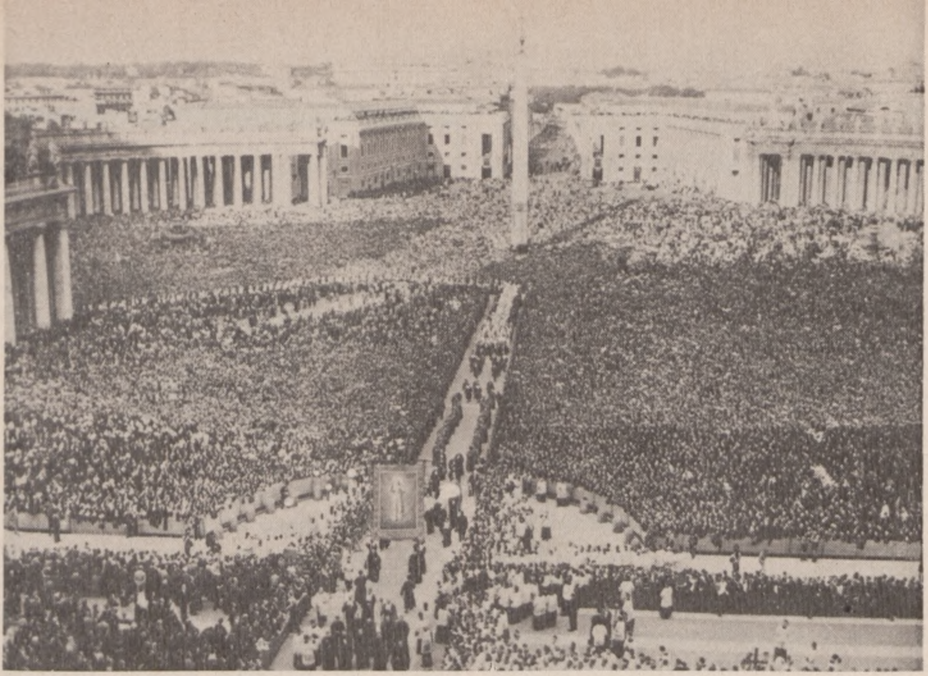
Z okazji swego pobytu na uroczystościach kanonizacyjnych w Rzymie Bis. Jan J. Król, sufragan diecezji Clevelandzkiej, przemówił w dniu Zielonych Świąt przez radiostację Watykańską do rodaków w kraju. Biskup Król urodził się w roku 1910. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1937. Wyższe studia teologiczne odbył na uniwersytecie Gregorianum w Rzymie. We wrześniu roku ubiegłego otrzymał sakrę biskupią z rąk arcybiskupa Cicognani, delegata apostolskiego w Stanach Zjedn. Poniżej podajemy pełny tekst pięknego przemówienia Biskupa Króla:

"Pod wrażeniem niezapomnianych uroczystości kanonizacyjnych wielkiego Papieża Piusa X pragnę skierować do was, kochani Rodacy, te słowa zachęty i pokrzepienia w tych tak trudnych czasach. Czuję się związanym z wami naszą wiarą świętą i tradycją narodową.

"Przeżywaliśmy tutaj w Wiecznym Mieście wielkie chwile, chwile prawdziwego pokoju, jakiego świat dać nie może. Niezrównany widok przed bazyliką św. Piotra, naprowadzał mimowoli słowa Pisma św.: 'Widziałem rzeszę wielką, której nikt nie mógł policzyć ze wszystkich narodów i pokoleń ludów i języków,' stojących przed widzialnym majestatem Kościoła Chrystusowego w oczekiwaniu na nieomylne orzeczenie o świętości Piusa X. Stało się to już faktem dokonanym. Ojciec św. Pius XII, w poczuciu swej najwyższej na ziemi władzy duchowej, powagą Jezusa Chrystusa, świętych Apostołów Piotra i Pawła i własną, wypowiedział z Katedry Piotrowej słowa, które już objęły świat cały, wywołując radość w sercach milionów. Przemówił znowu nieśmiertelny w swej duchowej władzy apostoł Piotr przez usta Piusa XII i odtąd w całym Kościele katolickim świętemu Piusowi X przysługiwać będzie cześć należna świętym.

Charakter Świętego

Wielu pamięta postać świętego Papieża. Wiadomo, że wywodził się z licznej i biednej rodziny proletariackiej, znał z bliska niedostatek i biedę, przebijał się przez wielkie i liczne przeszkody, zanim otrzymał upragnione święcenia kapłańskie.



Uroczysta kanonizacji Piusa X. Na placu św. Piotra zgromadzone tłumy, przez które kroczy procesja z Papieżem Piusem XII, który zaliczył Piusa X w poczet Świętych.

Dla swych wybitnych zalet duchowych otrzymuje godność biskupa, patriarchy i purpurę kardynalską, a wreszcie zasiada na Stolicy Piotrowej, by przewodzić milionom rzesz ludzkich, bez oręża, bez przemocy, a jedynie nadprzyrodzoną mocą swego Bożego namaszczenia, mocą swego ducha zapatrzonego w świętość Chrystusową i rozbrajającego pełną prostoty pokorą. W Bożej demokracji Kościoła Chrystusowego tak bywa, że nie urodzenie, ani majętność, nawet nie pełna pychy wiedza doczesna, ale wartości duchowe i prawdziwa świętość torują drogę do najwyższych godności. Ludzie pragną świętości i chcą ją widzieć na świecznikach, jak świece zapalone w ciemnościach i zwątpieniach. Pius X przeszedł przez te wszystkie stopnie godności pokorny duchem, a jednak niezłomny w obronie prawd Bożych, ubogi w dosłownym tego słowa znaczeniu, a jednak bogaty w udzielaniu pomocy nadprzyrodzonej, doczesnej, prawdziwy ojciec ubogich, czuły ojciec opuszczonej dziatwy, wielki ojciec duchowy wszystkich ludzi. Czy może się zmierzyć z jego wielkością jakakolwiek wielkość świata?

"Nazwany został w wieszczym widzeniu 'ignis ardens' — ogniem pałającym i był tym ogniem miłości Bożej przejęty całkowicie. Ogień ten uczynił zeń świętego, a jednocześnie tym samym ogniem odnawiał wszystko w Chrystusie. Jeżeli ktoś był w wiecznym mieście i w bazylice św. Piotra, ze wzruszeniem patrzył na umieszczony w posadzce bazyliki mały krzyżyk brązowy z napisem Piusa X. Tam w podziemiach tej największej świątyni świata spoczywały jego szczątki. Ale już wkrótce potrzeba serc ludzkich, szukających świętości i czczących świętość, każe te szczątki przenieść do samej świątyni w oczekiwaniu wyroku powagi nauczającej co do jego heroiczności cnót i wynoszącym go ostatecznie na ołtarze Pańskie. Zakrywała te święte szczątki płyta marmurowa

z napisem Piusa X. A na dole mniejsza płyta z wymownym napisem, że był cichym i pokornego serca na wzór Boskiego Mistrza, że był ubogim ale jednocześnie ojcem ubogich. I to miejsce przyciągało liczne rzesze, szukające jego pośrednictwa i dróg świętości. Miał też i pomnik jak inni Papieże. Statua marmurowa przedstawiała go z wymownym gestem Ojca dusz ludzkich. Pod nią w brązie wspomnienia jego najważniejszych czynów: Komunia św. dzieci, gorliwość o dobór biskupów, owianych duchem Bożym, troska o sztukę religijną, o śpiew kościelny, o podniesienie studiów biblijnych, o ujednolicenie prawa kościelnego i wzruszający obrazek, jak tuli do siebie opuszczone sieroty po strasznym trzęsieniu ziemi w Kalabrii i na Sycylii. Było tych dzieł Jego pontyfikatu znacznie więcej. Te były najwymowniejsze. Ciągle jeszcze Kościół święty odczuwa w swym życiu błogosławione skutki tego odnawiającego się ognia gorejącego.

Pius X i Polska

"A jednocześnie był on ojcem i dla ludności polskiej, rozerwanej kordonami zaborców. Były to czasy praw wyjątkowych w zaborze pruskim, Pius X pisze serdeczny i ojcowski list z pokrzepieniem i otuchą do Arcybiskupa Floriana Stablewskiego. Kocha, jak cały naród polski, Matkę Najświętszą i dlatego posyła jako dar osobisty szczerozłote i kosztowne korony dla cudownego obrazu Jasnogórskiego. Znamy te korony i zawsze przypominać one będą na Jasnej Górze świętą postać Piusa X.

"Zakłada w Rzymie Polski Instytut Kościelny dla dalszego kształcenia księży polskich. Zakład ten istnieje do dziś i chlubnie spełnia swe zadanie, a kielich podarowany przez świętego swego Opiekuna przechowuje ze czcią jak relikwie. Osobiście święci na stolicę biskupią w Krakowie ks. Adama Sapiechę, późniejszego metropolitę i kardynała. To wszystko świadczy, jak silnymi węzłami złączony był z naszym narodem.

Pokrzepienie dla Narodu

"Przypomnienie tej wielkiej postaci niech będzie pokrzepieniem dla dusz i serc waszych i jednocześnie zachętą do wierności Stolicy Piotrowej, która jedynie może zapewnić nam prawdę Chrystusową mimo oszczerczych i niecnych napaści jej wrogów, którzy przecież są jednocześnie wrogami Imienia Bożego.

"Złość ludzka chce odgrodzić was od Stolicy Piotrowej murem nienawiści. Nienawiść nie może przynieść prawdziwego pokoju. Wiemy dobrze, że mur nienawiści jest sztucznym i fałszywym dziełem i nie ma on dla naszych polskich i katolickich serc i dusz żadnego znaczenia. Mimo przemocy, a może nawet dla tej przemocy, zwracacie oczy i serca do tych nieprzemijających wartości moralnych, których nie da się zważyć i zmierzyć najbardziej zachwalanym materializmem. Wierzymy niezłomnie, że naród polski zawsze był i będzie wierny Bogu i Jego świętemu Kościołowi, zbudowanemu na opoce Piotrowej. Kościół ten ma zapewnienie, że bramy piekielne nie zwyciężą go, nie zwyciężą też i dusz polskich ściśle z Kościołem z złączonych. To Kościół świętych mający środki nadprzyrodzone do świętości wiodące.

"Niech wam w tym trwaniu pomaga Najświętsza Niepokalana Maryja, Królowa Polski. Niech wam błogosławi Wszechmogący Bóg, Ojciec i Syn i Duch święty."



W Rękach Bezpieki



W ostatnim czasie prasa polska i obcojęzyczna pisała w krótkich urywkach na temat tortur stostowanych przez reżim Bieruta w więzieniach Bezpieki szczecińskiej.

Jako jeden z tych, którzy ocaleli po okrutnych torturach i mękach w więzieniu Bezpieki, pozwolę sobie odsłonić te straszliwe metody i bestialstwa komunistyczne, które sam osobiście doświadczałem.

Dziś, gdy łaskawy los doprowadził mnie do ziemi Waszyngtona i gdy jako wolny — wśród wolnych, korzystam z gościnności i dobrodziejstw USA, czuję się w obowiązku, by tak Polonii tutejszej, jak również i Amerykanom r z u c i ć światło na niebezpieczeństwo i grozę sowieckiego imperializmu.

Spędziłem 21 miesięcy w więzieniach U.B., przez ten okres poznałem straszliwe i wprost nie do uwierzenia metody i eksperymenty stosowane przez reżim Bieruta. Jeszcze dziś stają mi przed oczyma widma tych kolegów, którzy w obronie wolności — na ołtarzu Ojczyzny złożyli swe młode życie. Słyszę wciąż ich płacz i jęki mordowanych, oraz spazmatyczne szlochanie tych niewiast, które co noc były gwałcone przez podłych i brutalnych o p r a w c ó w komunistycznych. Stoją mi przed oczyma cienie tych kolegów, którzy dzielili ze mną wspólnie te straszliwe i wprost piekielne katusze życia więziennego i nadal je znoszą — podczas, gdy ja korzystam z gościnności Nowej Ziemi.

Dziś, gdy komuniści pozwalają sobie na więzienie biskupów i księży polskich, gdy nie oszczędzono nawet czcigodnego Kardynała Wyszyńskiego, wiem, że może łatwiej będzie uwierzyć każdemu w moje oskarżenia pod adresem reżimu komunistycznego.

Cel i powody aresztowań oraz procesów pokazowych

Wszystkie aresztowania i późniejsze procesy zmierzają do całkowitego zduszenia w Polsce wolnej myśli i do splugawienia oraz pohańbienia bohaterskiej walki i postawy Narodu Polskiego w walce z okupantem i w obronie bastionu wolności oraz do splugawienia i podważenia autorytetu przywódców bohaterskiego narodu, przez poniewieranie i oczernianie ich w przeprowadzanych procesach pokazowych, wreszcie aby podważyć zaufanie społeczeństwa do tych nieugiętych bojowników o wolność i wydrzeć z duszy Narodu Polskiego wiarę w inne, radośniejsze i lepsze jutro Polski.

Przed paru laty, po ucieczce z Polski kolegi mojego Władysława Zaremby, członka naczelnego komitetu wykonawczego Polskiego Stronnictwa Ludowego, który spędził kilkanaście miesięcy w laboratoriach Bezpieki i zapoznał się z nieludzkimi metodami barbarzyństwa komunistycznego, na łamach pism polonijnych p. Zaremba uderzył na alarm i opisywał swoje własne przeżycia w lochach Bezpieki na Koszykowej w Warszawie. Od tego czasu upłynęło sporo czasu i wiele osób zdążyło zapomnieć, jak strasznym jest niebezpieczeństwo przeklętego komunizmu. Dlatego czuję się w obowiązku, aby jako ten, który przeszedł straszliwą gehennę tortur w laboratoriach więzień komunistycznych, mówić do was, Rodacy, o metodach tych badań.

Jedna noga na drugim świecie

Tortury stosowane według moskiewskiej recepty potworniejsze okazują się w skutkach niż tortury Gestapo hitlerowskiego, w które świat długo nie chciał wierzyć. Długa i ciernista moja droga z więzienia do więzienia pozwoliła mi na zetknięcie się z ludźmi wszelkiego autoramentu i różnego stopnia intelektualnego. Przeszedłem przez takie więzienia U.B. jak Krosno, Szczecin, Stargard i obóz koncentracyjny Milecin. Widziałem tortury, jakie znosili ci koledzy niedoli — widziałem ich walkę z sobą i widziałem ich w chwili załamania, gdy nie zdołali przetrzymać cierpień zadawanych im w czasie przesłuchów i stawali się samooskarżycielami, wydając tym samym wyrok na siebie. Wielu z nich zazdrościło mi mej upartej i silnej woli — oni jeszcze dziś znoszą katusze przeklętego U.B., wielu z nich odeszło w zaświaty, ja wyrwałem się ku Zachodowi, by do sumień całego świata mówić i wołać o pomoc dla tych setek tysięcy jęczących w lochach więzień Bieruta — tego Nerona XX wieku.

Kto się dostanie w szpony Bezpieki, tego polskiego NKWD, tego uwolnić może jedynie śmierć, obłąkanie lub czasami ucieczka. Kiedy po pierwszej nieudanej ucieczce zagranicę, zostałem przychwycony w Passewalk, Niemcy Wschodnie i odstawiony do Boock, a później przez Szczecin (więzienie U.B. na Małopolskiej) i Stargard — grupa operacyjna zawędrowała do Milecina — obóz koncentracyjny, to w czasie tych kilkunastu miesięcy prześladowań i tortur widziałem, jak z ludzi intelektualistów i zdrowo myślących preparowało się obłąkańców, wariatów i cienie swej przeszłości. Wielu z nich w przeciągu kilku dni w następstwie męczarni i tortur posiwiało lub skarłowaciało i wyłysiało. Ludzie ci zarazem moi koledzy niedoli nie zdołali znieść ciągłego bicia, wiecznych przesłuchów tak dniami jak i nocami w szczególności i popadali w

stan częściowego lub całkowitego obłąkania, z którego śmierć jedynie wyleczyć ich mogła. Duża ilość z nich popełniała samobójstwa i w ten sposób skracała sobie straszliwe dni męki i rozpaczy.

Aby usprawiedliwić tych ludzi do pewnego stopnia, pozwolę sobie jedynie w skrócie nakreślić metody piekielnych t o r t u r stosowanych przez Bezpiekę Bieruta, w konsekwencji których ofiary tortur traciły zmysły i stawały się powolnymi narzędziami samooskarżenia.

Cztery fazy straszliwych tortur Bezpieki Bieruta

Już w pierwszym okresie, zanim więzień zacznie składać zeznania, poddawany jest tak zwanemu procesowi zmiękczania. Otóż więźnia wrzuca się do maleńkiej celi, gdzie w brudzie, wilgoci, zimnie, ciemności, smrodzie trzyma się więźnia całymi dniami i nocami, by w tym samym czasie zmusić ofiarę do przyznania się i samooskarżenia. Gdy te metody nie skutkują, ofiarę prześladowań U.B. wrzuca się do podobnej celi, gdzie na odmianę panuje gorąco i zaduch oraz nie ma czym ugasić pragnienia.

Nigdy nie zapomnę tych strasznych chwil i przeżyć oraz katuszy, o których wspomniałem tylko pobieżnie, gdyż zastosowano je w stosunku do mnie, właśnie dnia 19 marca, 1949 roku, i których piątą rocznicę obchodziłem właśnie w tych dniach. Jedynie dzięki silnej woli i samozaparciu oraz ciągłym modlitwom przetrzymałem je i zahartowałem się na później, by wreszcie znaleźć okazję i przedrzeć się przez żelazną kurtynę ku Zachodowi.

Gdy i te metody w pierwszej fazie więźnia nie zmiękczą, poddaje się go wówczas drugiej fazie tortur fizycznych, jak bicie, kopanie, odbija się mu nerki, płuca i kopie się go w najbardziej uczulone miej-

WIARA I ŻYCIE

Życzenia Umierającego Dziecka

Działo się to w Polsce. Pewien kapłan został wezwany do ciężko chorego dziecka. Była to sierota, oddana w młodym wieku do służby. Po przyjęciu z głęboką pobożnością Sakramentów św. na zapytanie kapłana, czego by jeszcze życzyła sobie przed śmiercią, odrzekła:

— Jeszcze dużo cierpieć, a potem umrzeć.

— Skądże takie pragnienie?

— Chcę jeszcze dużo cierpieć, aby przeprosić Boga za moje grzechy. Ale zaraz potem chcę umrzeć, bo boję się, że żyjąc dłużej wpadnę w grzech i mogę utracić Boga na zawsze.

Cukierki dla Jezusa

Misjonarz w Togo spotyka na ulicy chłopca.

— Karolku, zjadłeś już cukierki, które ci dałem wczoraj?

— Nie!

— A cóżeś z nimi zrobił?

— Przypominasz sobie, Ojcze, jak nam opowiadałeś o Jezusie, jak się narodził w biednej szopie. Ja sobie pomyślałem, że On taki biedny, więc zamiast zjeść cukierki, zaniosłem do kościoła i położyłem na ołtarzu, tam, gdzie On mieszka.

Wzorowa Parafia

Parafia św. Józefa w Conway, w Stanie Arkansas liczy zaledwie 200 katolików na 7,000 mieszkańców miasta. Odznacza się wyjątkową gorliwością. W r. 1934 9 młodych dziewcząt wstąpiło do klasztoru, a 3 młodzieńców do seminarium duchownego. Wierni, choć są ubogimi farmerami, w ostatnich latach zbudowali piękny kościół, plebanię, szkołę katolicką i klasztor dla zakonnic.

sca. Następnie wtrąca się więźnia do ciemnej celi o wymiarach nie pozwalających na żaden swobodny ruch, gdzie woda kroplami spadając z sufitu na głowę więźnia czyni człowieka po prostu obłąkanym.

Przez cały ten okres pierwszych i drugich tortur odbywają się bez przerwy przesłuchy — najczęściej jednak nocą. Po takich torturach więzień staje oko w oko ze śmiercią, więc jeśli oprawcy nie uzyskują zamierzonych rezultatów, wówczas na krótki okres czasu ofiarę tortur przenosi się do znośniejszych warunków i zwiększa się racje żywnościowe, by tym samym przygotować więźnia do nowych przesłuchów, połączonych z większymi i osobliwszymi torturami.

Lecz i ten krótki okres "odpoczynku" ofiara prześladowań według regulaminu więziennego nie może zmarnować, toteż poddaje się więźnia tak zwanej greckiej gimnastyce: jak żabki, kacze chody oraz jazda pięćsetką, to znaczy pięćset bez przerwy przysiadów. A dla "przyjemności" urządza się więźniom tak zwane "bale murzyńskie", gdzie podłość i wyzucie moralne tych wandali komunistycznych biorą wówczas górę.

Pamiętam, było to dnia 28 marca, 1949 roku — późna godzina nocna i całe więzienie wyjątkowo spokojne, żadnych przesłuchów, ni bicia. Na celi mojej Nr 64 wszyscy spaliśmy, jedynie co kilkadziesiąt minut, na komendę, to jest za stuknięciem w bok każdy przewracał się na drugi bok, krótkie rozmiary celi pozwalały nam spać jedynie na boku i na podłodze, łóżek w ogóle na celi nie było. Spaliśmy bez pościeli i przykrycia, jedynie w bieliźnie. Takie warunki panowały w całym więzieniu, a nawet kobiety ciężarne do ostatniej chwili rozwiązania spały również na gołej podłodze. W pewnej chwili na celę wpadli tak zwany popularnie "czarny" i jego zastępca, kierownik więzienia Malinowski, przezwany "kajtek". Na rozkaz "czarnego" wypędzono nas na korytarz i kazano nam ściągnąć bieliznę. Gdy cała czternastka "Adamów" była gotowa, przyprowadzono wówczas kobiety i kazano im się również rozebrać; oporne siłą rozebrano. Trzem spośród mężczyzn kazano udawać muzykantów i grać na flaszkach oraz śpiewać, a reszta "Adamów" musiała tańczyć z kobietami "Ewami". Przy tej sposobności każdemu z tańczących nie szczędzono razów i bicia. Ten taniec popularnie nazywano "balem murzynów" i zastosowywano go przeważnie w przerwie przed trzecią i czwartą fazę tortur.

Zanim jednak przejdę do opisu trzeciej i czwartej fazy, wspomnę o jednym z moich kolegów Józefie Sawce z Krosna, który to właśnie w dniu 28 marca dokończył żywota w więzieniu i nawet po śmierci jeszcze znęcano się nad jego zwłokami.

A było to tak: stolarzowi, niejakiemu Bilińskiemu z Ustki, kazano zrobić trumnę. Ponieważ ten nigdy stolarzem nie był, nie dziw, że zrobił trumnę, a raczej pakę na zwłoki Sawki za krótką. I gdy ten głowił się nad rozwiązaniem powiększenia trumny, wówczas "czarny" bez żadnych skrupułów w świecie odrąbał Sawce po kostki obie nogi. W taki to bestialski sposób rozstrzygnięto kwestię umieszczenia zwłok więźnia w trumnie.

Takich i tym podobnych przykładów było dziesiątki, w krótkim rzucie nie sposób jest odtworzyć tych bestialstw i okrucieństw komunistycznych, ale niech tylko kilka przykładów świadczy o zbocze-

niu moralnym i podłości sług Bieruta i Moskwy.

Trzecia i czwarta faza tortur Bezpieki

Z kolei następuje trzecia faza tortur, gdzie po "wypoczynku" zastosuje się bicie i maltretowanie bardziej wymyślne i brutalne. Wbija się więźniowi szpilki za paznokcie i wkłada się mu palce między drzwi, bije się go w głowę i specjalnie uczulone miejsca, oraz mokrymi ręcznikami daje się więźniowi tak zwane "okłady", to jest bicie po gołym ciele.

Następnie wtrąca się więźnia do tak zwanej "psiej budy", gdzie jest stale ciemno i niemożliwie brudno oraz trzeba przebywać w pozycji kucznej, gdyż rozmiary celi nie pozwalają na zastosowanie innej pozy. Do tej maleńkiej celi dosyć hermetycznie przymkniętej, jedynie z maleńkim otworem u sufitu wpuszcza się wodę i to tak wysoko, że więzień odnosi wrażenie, iż przyjdzie mu utonąć. Z takiej kąpieli w "psiej budzie" jest się co parę godzin wyciąganym na przesłuchy, gdzie otrzymuje się tak zwane "zastrzyki", które wymierza się więźniowi według tak zwanych paragrafów, jak: paragraf 111 — bicie mokrym ręcznikiem, paragraf 222 — bicie kijem sękatym i paragraf 333, bicie rurką żelazną o wymiarach pół cala. Bicie jest stosowane po całym ciele i sam byłem świadkiem kalectwa kilkunastu moich kolegów, którym poodbijano nerki, wybito zęby, lub nawet poprzetrącano żebra.

Jeśli to wszystko nie pomaga i tortury nie zmusiły więźnia do samooskarżenia się, wóczas oprawcy komunistyczni zastosowują czwartą i najgorszą fazę udręczeń fizycznych i tortur, trwającą krótko i doraźnie. W przeciągu dwu dni, bez najmniejszej przerwy przesłuchiwuje się i torturuje więźnia. Z tym, że oprawcy zmieniają się co parę godzin, ale przesłuchy, katowanie i torturowanie trwają nieprzerwanie. I w tym to czasie, jedni oddają ducha Bogu, inni — którzy w bezustannym toku pytań i udręczeń tracą nieraz zmysły, przyznają się do współpracy z Podziemiem i Zachodem i powracają na cele do swych kolegów na wpół żywi i nieprzytomni, skatowani, wyczerpani bezsennością, pragnieniem i cierpieniami przechodzącymi poza kres ludzkiej wytrzymałości.

Tylko nieliczni i naprawdę szczęśliwi zdołają przetrzymać te tortury, by nie załamując się, trwać uparcie przy twierdzeniu o swej niewinności. Tacy szczęśliwcy otrzymują wówczas "łagodny" wymiar kary, to jest 9 miesięcy w 1949 r., dziś podobno najmniej pięć lat więzienia. I jeśli wychodzą na wolność, jak ja po odsiedzeniu swego wyroku, wówczas jako kale-

****

CZYNIĘ TO DLA CHRYSTUSA

Podczas oblężenia Paryża w roku 1870 jeden z Braci Zgromadzenia Braci Szkolnych pielęgnował z największym poświęceniem żołnierza chorego na ospę. Widząc to jeden odezwał się:

— Nie podjąłbym się tego za 10,000 franków.

— Ja zaś, — odrzekł Brat, — nie podjąłbym się tego nawet za sto tysięcy franków. Ale czynię to dla Chrystusa.

****

cy wracają do swych rodzin, a inni, jeszcze zdrowi i nie załamani psychicznie zdobywają się na śmiałość i poprzez zasieki z drutów kolczastych i pola minowe, nocą i ukradkiem wydostają się za żelazną kurtynę. Do takich nielicznych, którym udało się przerwać żelazną kurtynę i przedostać na Zachód, mogę zaliczyć i siebie.

Mówię o tym jako naoczny świadek i ofiara tortur NKWD-UB

Pragnę, aby słowa moje dotarły do każdego, aby dać Wam, Czytelnicy, obraz życia za żelazną kurtyną, gdzie agenci komunistyczni skierowali dziś swe ataki przeciwko Kościołowi i najlepszym synom Narodu Polskiego. Sowiety zamieniły Polskę w olbrzymi obóz koncentracyjny i uczyniły z Polski kraj nędzy i ubóstwa, stosując najbardziej okrutny system rządów i administracji kolonialnej. Trzysta tysięcy Polaków, a w tej liczbie tysiące księży, kilkunastu biskupów na czele z Kardynałem Wyszyńskim znajduje się dziś w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Zbrodnie dokonywane na Narodzie Polskim wymagają, by państwa cieszące się wolnością, a w tej liczbie i Ameryka, nie tylko protestowały przeciwko nim, ale by uczyniły wszystko, co jest możliwe w celu uwolnienia Polski i krajów za żelazną kurtyną spod komunistyczno-sowieckiego jarzma niewoli.

Wołam do sumień całego Wolnego Świata

Dlatego, jako chłop i syn Ziemi Polskiej, powodowany troską o los wszystkich ludzi dobrej woli a znajdujących się za żelazną kurtyną, pragnę zwrócić uwagę społeczeństwa amerykańskiego na tę niewolę i okrucieństwa czerwonych inkwizytorów Wschodu, w których jęczy nasz wielki Naród Polski. Wołam do wszystkich wolnych ludzi świata: nie pozwólcie mordować ducha i ciała żyjącego narodu, bowiem jutro te same złe i przeklęte siły komunizmu będą próbowały tego mordu wśród was.

SOS — ratujcie dusze ginących, a tym samym uratujecie siebie i swój wielki Naród Amerykański.

Józef Młot-Mróz



Syn wiejskiego kołodzieja

Na dalekim Kanadyjskim Zachodzie w Edmontonie Ojcowie Oblaci oprócz innych dzieł posiadają wspaniałe kolegium dla chłopców. Takie kanadyjskie Vaudricourt, tylko na większą skalę. Zwiedzałem je w lutym, 1950 roku. Pierwszą rzecz, którą mi pokazano, był naturalnej wielkości portret otoczony wiązkami żywych kwiatów będących w rażącym kontraście z zimą panującą za oknami. Z ram obrazu wychylała się miła, uśmiechnięta postać starszego człowieka w sukni zakonnej.

To było moje pierwsze spotkanie z Bratem Antonim Kowalczykiem. Potem mnie prowadzono na jego grób i opowiadano o cudach, które w całej Kanadzie dzieją się za jego świątobliwym wstawiennictwem.

W roku 1952 bawił w Kanadzie Ojciec Morabito z Rzymu, którego uderzyła powszechna cześć, jaką otaczana jest postać skromnego Brata Zakonnego. To dało początek zaledwie pięć lat po śmierci, procesowi beatyfikacyjnemu polskiego zakonnika, który — być może — w niedługiej przyszłości wyniesiony zostanie na ołtarze.

Antoni Kowalczyk urodził się 4 czerwca, 1866 roku w Dzierżanowie w powiecie krotoszyńskim, w Wielkopolsce. Był szóstym synem wiejskiego kołodzieja, który równocześnie uprawiał małe gospodarstwo. Z 12 dzieci tej bogobojnej rodziny tylko najmłodszy Piotr żyje do dnia dzisiejszego w Dzielicach, a syn jego poszedłszy w ślady stryja został bratem zakonnym w Zgromadzeniu Misjonarzy Oblatów.

Po ukończeniu szkoły powszechnej rodzice umieścili młodego Antosia u protestanckiego kowala w Krotoszynie. Wyuczywszy się kowalskiego rzemiosła, wybrał się Antoni, jak wielu jego kolegów, do Westfalii, nie w poszukiwaniu jakichś przygód, ale za kawałkiem chleba, którego brakowało w rodzinnej wiosce. Stamtąd regularnie część swego zarobku odsyłał rodzicom.

Po pewnym czasie osiadł w Hamburgu, ale środowisko fabrycznych kolegów nie odpowiadało Antoniemu. Zbyt często wśród nich jego wiara wystawiona była na próbę. "Któregoś dnia — jak o tym sam pisze — w czasie przechadzki opadły mnie gwałtowne pokusy przeciwko wierze. Ażeby odeprzeć pokusę, uklęknąłem na drodze i zawołałem: 'Boże, w i e r z ę mocno, że jesteś w niebie!' Pokusa opuściła mnie, ale wkrótce potem nawiedził mnie straszliwy ból oczu, tak iż obawiałem się, że utracę wzrok. Poszedłem do lekarza. Zbadawszy mnie dokładnie, zapytał, czy mam polisę ubezpieczeniową, bo jest przekonany, że utracę wzrok. Opuś-

ciłem lekarza i udałem się do kościoła, aby odprawić Drogę Krzyżową. Przy szóstej stacji westchnąłem do Boga: "Panie Boże, uzdrów mnie przez zasługi św. Weroniki". Boleści z miejsca ustąpiły; byłem zdrów. Ażeby okazać moją wdzięczność, przyrzekłem Bogu opuścić Hamburg, gdzie zbytnio byłem wystawiony na niebezpieczeństwa."

Z Hamburga udał się do Kolonii, a stamtąd do Muelheim nad Renem, gdzie zamieszkał u dobrej katolickiej rodziny, nazwiskiem Prummembaum, która odegrała decydujący wpływ w kształtowaniu się jego powołaniu zakonnego. O tym okresie swego życia Antoni pisze: "Pani Prummembaum zazwyczaj budziła mnie o 5-tej rano, tak że mogłem być na Mszy św. o godz. 5:30. Kiedy nie mogła iść ze mną, prosiła swego męża, by mi towarzyszył. Trzeba było się śpieszyć, bo do kościoła było 20 minut drogi, a ja pracę rozpoczynałem o godzinie 7-mej. W każdą niedzielę zwiedzaliśmy kościoły. Pani Prummembaum nie skąpiła mi życzliwych i mądrych uwag, by: nie wychodzić wieczorami, . . . nie czytać złych czasopism, . . . nie naśladować tych towarzyszów pracy, którzy prowadzą nieprzyzwoite rozmowy i zaniedbują swoje religijne obowiązki; nigdy nie wstydziła się pokazywać się w moim towarzystwie, co mnie zdziwiło niepomiernie, zważywszy wzajemną niechęć, jaka powszechnie panowała między Niemcami i Polakami . . . Szanowałem ją jak własną matkę. Któregoś dnia zaproponowała mi pielgrzymkę do Matki Boskiej w Kevelaer, a kiedy nadmieniłem, że nie mam dosyć pieniędzy, zaofiarowała mi pokrycie wszystkich wydatków. Wyjechaliśmy wówczas na dwa dni. To było bardzo przyjemne — Msze św., śpiewy religijne, wieczorne procesje z pochodniami . . . Modliłem się gorąco do Najświętszej Panny."

"Któregoś dnia pani Prummembaum zaczęła rozmowę o życiu zakonnym i zapytała mnie, czy nie chciałbym ofiarować się całkowicie Bogu. Zwróciłem jej uwagę, że jestem już za stary (miałem wówczas 24 lata). Odpowiedziała, że to nie ma znaczenia, że Ojcowie Oblaci, u których kształcił się jeden z jej synów, potrzebują braci zakonnych do pomocy księżom misjonarzom w krajach misyjnych. Wyjaśniła mi, w jaki sposób mógłbym w doskonalszy sposób służyć Bogu jako zakonnik. Sama też pojechała do nowicjatu Ojców Oblatów w St. Gerlach w Holandii, aby załatwić wszystkie konieczne formalności."

W Polsce ojciec nie chciał udzielić swej zgody na wstąpienie syna do klasztoru. Obawiał się, że wątłe jego zdrowie nie pozwoli mu na wypełnienie trudów misjonarskiego życia. Antoni poszedł po poradę do spowiednika, a upewniwszy się, że więcej Boga słuchać trzeba, niż ludzi, choćby to byli nawet właśni rodzice, zdecydował się wbrew woli ojca postanowienie swoje wprowadzić w czyn . . . Na szczęście wobec stałości syna ojciec ustąpił i na nową drogę życia przesłał mu swoje pozwolenie i błogosławieństwo.

Niedługo potem Antoni pukał do drzwi nowicjatu. Przywitał go mistrz nowicjuszy, Ojciec Favier, poważnym pytaniem:

— Dlaczego chcesz zostać zakonnikiem? Czy jesteś bez pracy i pragniesz, byśmy ci przyszli z pomocą?

— Ja mam pracę, Ojcze, — odrzekł postulant — ale pragnę zostać zakonnikiem, aby miłować Boga w doskonalszy sposób. Przekonano mnie bowiem, że w klasztorze będę

mógł służyć Bogu tak, jak Mu się służyć powinno. Obawiam się, że o ile pozostanę w świecie, w godzinę śmierci Bóg będzie mógł mi postawić zarzut: "Umiłowałeś świat więcej, niż mnie!"

Obłóczyny Brata Antoniego odbyły się 1 października, 1891 roku. Przedtem jednak wystawiony był na okres ciężkich zmagań, w czasie których był bardzo bliski porzucenia myśli o życiu zakonnym. Zwyciężyła jednak w nim miłość Boga i Niepokalanej.

Następne lata po ukończeniu nowicjatu Brat Kowalczyk pracuje jako kowal i mechanik w kolegium św. Karola w Holandii. W roku 1896 Ojciec Generał wysyła go na misje wśród Indian do Kanady. W Misji Lac La Biche, poświęconej Matce Boskiej Zwycięskiej, Brat Antoni bierze w swoje ręce kierownictwo tartaku i młyna. Nie tam jednak chciała go mieć Opatrzność. Już 15 lipca tego samego roku, w momencie, kiedy Brat oliwi maszyny, znajdujące się w ruchu, zostaje pochwycony przez pas transmisyjny, a zębate koła trybów miażdżą mu straszliwie prawą rękę. Przewieziony do szpitala w Edmontonie, co w ówczesnych czasach zabrało 4 dni, musi poddać się amputacji ręki aż po łokieć prawie. Ale chory jest opanowany i spokojny. Wprowadza w podziw cały personel. Według naocznego świadka "Po nadejściu chirurga Brat Antoni, który siedział w pobliżu stołu operacyjnego, uczynił znak krzyża, odmówił kilka Zdrowasiek i podał swoją rękę lekarzowi, który dokonał operacji bez znieczulenia. Podczas całego zabiegu twarz Brata nie zdradzała najmniejszego bólu. Modlił się bez przerwy."

Brak prawej ręki nie stanowił jednak dla Brata Antoniego przeszkody w pracy i ofiarnym oddaniu się na usługi innych. Już we wrześniu widzimy go w Misji św. Pawła wśród tamtejszych Metysów, gdzie w dalszym ciągu pod jego zarządem dobrze prosperuje tartak i młyn, przeniesione tutaj z Lac La Biche. Co więcej, gorliwy Brat wolny swój czas poświęca na uprawianie ogrodu, z którego produkty rozdzielano częściowo biednym. Ponadto opiekował się hodowlą przeszło 100 świń, a w nocy jeszcze, bardzo często uprawiał swój zawód kowala, aby przyjść z pomocą potrzebującym.

W roku 1911 powstaje w Edmontonie małe seminarium Ojców Oblatów. Przełożeni upatrzyli Brata Kowalczyka i zlecili mu, by zajął się centralnym ogrzewaniem dużego domu wychowawczego. Ale — jak pisze jego biograf — w ciągu 36 lat pobytu w Edmontonie zapał i gorliwość kazała Bratu zająć się ponadto dużym ogrodem warzywnym, hodowlą kur, pomocą w kuchni, pracą w zakrystii, obsługą telefonu, pralnią, naprawą obuwia i tysiącem innych drobnych prac. Nic więc dziwnego, że 3 Braci nie może podołać obecnie pracy, którą wykonywał Brat Kowalczyk, chociaż był inwalidą i miał tylko używalność jednej ręki oraz częste ataki reumatyzmu, które sprawiały mu wiele bólu przy każdym ruchu.

Rozwój małego seminarium był oczkiem w głowie Brata Kowalczyka. Dzięki jego wyłącznym wysiłkom i zbiórkom pieniężnym można było postawić w 1916 r. trzy ołtarze w kaplicy szkolnej. Od roku 1940 znowu zbiera fundusze na grotę Matki Boskiej z Lourdes, którą w dniu 3 maja, w święto Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Korony Polskiej, święci Ks. Arcybiskup MacDonald.

Pracę swą i poświęcenie ofiaruje ten skromny Brat w tej intencji, by z "jego" szkoły wyszło jak najwięcej powołań kapłańskich. Z pracą łączy w tej samej intencji swoje modlitwy i częste umartwienia. Jest wiernym przyjacielem studentów, którzy do niego często przychodzą się radzić w swoich sprawach. Razu jednego zapytuje się starszego już chłopca, jakie ma zamiary na przyszłość. Otrzymawszy odpowiedź wymijającą, wskazuje z powagą figurę Matki Najświętszej i mówi:

— Musisz wrócić do Maryi, Ona cię potrzebuje!...

Winszował tym, którzy wytrwali w swym powołaniu, zachęcał i umacniał wątpiących i niezdecydowanych, zalecając im przede wszystkim modlitwę. Sam zawsze twierdził, że kto się dobrze modli, ten nie będzie złym uczniem.

— Wytrwaj! — to było jego hasło dla tych, którzy się wahali lub tęsknili za domem. Ileż to jedno słówko dobrego Brata Antoniego dodawało odwagi, jakże często przywracało uśmiech na usta.

Miał tak wysokie pojęcie o godności kapłaństwa, że ofiarował Bogu swoją zdrową rękę, byleby dopomóc młodym kapłanom w cnocie gorliwości kapłańskiej oraz tym, którzy się do kapłaństwa przygotowywali.

W lipcu 1947 roku Brat Kowalczyk wraz z innymi współbraćmi odprawiał swoje roczne rekolekcje w St. Albert. Wszystkie wolne chwile spędzał przed Najśw. Sakramentem. Któregoś dnia nie przyszedł rano do kaplicy. Znaleziono go w pokoju próbującego nałożyć sutannę. Nie mógł już mówić. Prawa część ciała była sparaliżowana. Zmarł w szpitalu 10 lipca, 1947 r. budując wszystkich pobożnością i poddaniem się Woli Bożej.

W Kanadzie wiele cudów dokonało się za wstawiennictwem świątobliwego Sługi Bożego. Zwracajmy się i my do niego z całym zaufaniem w naszych potrzebach, a doczekamy się, że ten prosty robotnik, który, jak tysiące Polaków, za pracą wyjechał z Kraju, stanie się świętym Patronem Polskich Emigrantów.

Ks. Konrad Stolarek, O.M.I.

HUMOR

Własne zęby

— Ma pani prześliczne zęby — mówi zawistna "przyjaciółka" — czy to pani własne?

— To też pytanie! Pewno, że własne! Sama sobie kupiłam i do tego za gotówkę.

Wzbroniona Kąpiel

— Czy pan wie, że kąpanie się w tym miejscu wzbronione?!

— Ja się nie kąpię!... Ja tonę.

Męcząca Jazda

— Głowa mnie boli, sąsiedzie.

— Od czego?

— Dwie godziny jechałem na koniu do miasta.

— Jak to? To wy, kumie, siedzieliście głową na siodle?

Też Porada

— Na ogół stań pańskiego zdrowia znacznie się poprawił. Co prawda puchną panu nogi, ale to mnie nie martwi.

— Przepraszam pana doktora, ale gdyby panu puchły nogi, to ja bym też się nie przejmował...

Niewyraźne sny

— Czemu kładziesz się spać w okularach?

— Bo ostatnio miewam bardzo niewyraźne sny.

WARTO PRZECZYTAĆ

By Mieć Gorące Serce

Na Misjach w Afryce pracuje dziś z poświęceniem, opiekując się trędowatymi Siostra Chantal. Kiedy była jeszcze 6-letnim dzieckiem, przystąpiła do pierwszej Komunii świętej. W dniu tak uroczystym była bardzo przejęta. W czasie obiadu, zanim ktoś mógł jej przeszkodzić, wzięła do ust bardzo gorącą zupę, parząc sobie język. Na pytanie zdumionej i przestraszonej matki odrzekła:

— Chciałam tylko, mamusiu, by moje serce było gorące dla Pana Jezusa.

Heroizm Dziecka

W sanatorium dla chorych na gruźlicę w Villepinte pod Paryżem leżała od dłuższego czasu Marietka, dziecko 14-letnie. Mimo swego młodocianego wieku, miała duszę zahartowaną przez cierpienie. Na równi z innymi towarzyszkami pragnęła uzdrowienia i często o tę łaskę się modliła. Nic dziwnego — była taka młoda!

Pewnego jednak dnia rzekła do pielęgnującej ją zakonnicy:

— Chciałabym być apostołką dla Boga przynajmniej swym cierpieniem, skoro nie mogę pracować i poświęcać się dla innych. Tak gorąco się modliłam o łaskę wyzdrowienia w Lourdes! Odtąd już nie będę się o to modlić. Zrzekłam się łaski uzdrowienia, by mój ojciec się nawrócił.

W kilka dni potem zastała zakonnica Marietkę, jak darła listy i pamiątki wszelkie, które były dla niej jasnym promieniem w dniach powolnego konania.

— Dlaczego to robisz? — pyta siostra.

— Połowa mej duszy już jest w niebie, chcę zniszczyć resztki przywiązania do wszystkiego, by tym całkowiciej należeć do Boga!

Przyczyna Smutku Umierającej

W sanatorium w Villepinte kończyła życie młodziutka Berta. Okazała wyjątkowo wiele męstwa i pogody w czasie choroby. Przed zgonem jednak posmutniała. Próbowano ją pocieszyć, dodać otuchy, bowiem mniemano, że umierająca boi się śmierci.

— Smutno mi jest — rzekła Berta — że wkrótce umrę i przestanę cierpieć. Żal mi tylko tego, że już nie będę mogła swym cierpieniem dawać Jezusowi dowodów swej miłości i zbawiać biedne dusze!

Prawdziwe Miłosierdzie

Znany z dziejów objawienia w Lourdes proboszcz świętego miejsca ks. Peyramale odznaczał się wyjątkowym miłosierdziem. Pewnego dnia, kiedy oddawał biedakowi ciepły sweter, który dopiero poprzedniego dnia nabył, rzekła mu służąca:

— Księże proboszczu, czy nie wystarczy temu biednemu, jeżeli dostanie sweter stary, nieco zniszczony, który dotąd ksiądz nosił?

A świątobliwy ksiądz na to:

— Czy nie widzisz, że ten biedak jest obficie zaopatrzony jedynie w łachmany? Po co mu jeszcze do tego "bogactwa" dodawać nowe łachmany?



Nie mój wóz -- nie moje konie

Przez okna białej izby niosła się biała wiosna, barwna jak ziemia podhalańska, bijąca w zebranych nawałą zapachów tarniny, macierzanki, czeremchy i nieśmiałych, młodych jaśminów. Błękitne cienie dalekich Czerwonych Wierchów żeniły się na krawędziach widnokręgu z jędrną, górską zielenią regli. Nabrzmiałe wiosennymi sokami słońce rozdawało pełnymi garściami radość życia.

A w izbie leżał ciężko chory, już w śmierć patrzący Sobek Gąsienica. Dopieroż zeszła się rodzina, a kumotry i kumoterki, swoki i somsiady, a świadkowie. Sobek mioł sie żegnać ze światem i pisać testament. Jesce ino na Jaśka Walcaka z Rogoźnika i na Sabałę cekali.

— Niek bee pokwalony . . .

— Na wieki, wieków . . . Witojciez. Siednijciez hawok, otrzepuje im miejsca fartuchem Sobcakowa, Jagusia niby.

— Pon Bóg zapłać . . . dyć i wy witojcie . . . Siednem se — godo Jasiek — zeby sie wyfuceć, bo tyz ta tele drogi, zanim sie człek do wos dowlece . . .

— Straśnie-ście dobrze zrobili, zeście prziśli . . .

— Przisełek, bo trza beło, nei na polu juz wiesna. — Obleciał Jasiek syćkich ocami. — Siejecie juz?

— Moiściewy . . . dyć sie sieje, bo tak sie patrzy . . . Ale kiela z tego bee, to Bóg-ze racy wiedzieć . . .

— Ono tako i jest. Syćko w Jego mocy — suscy Sabała — a z Jego Woli. Jako Poniezus ozrządzi, tak i musi być . . .

— Jak ci koze zyć, — dorzuco Jasiek, — to i zyjes . . . A jak cie zawoło, no to sie cłeku bier . . .

Spojrzał bystro na leżącego w łóżku Sobka Gąsienicę. Sobek odkazał:

— Dyć ja sie nie prociwiem . . . Apelacyje nima . . . choćka, choćkany zeby cłek syćkie rozumy na świecie pozbiroł . . .

— Hej, widzem ze z ciebie hłop i głowe mos nie na wsy . . . A pomyślołeź juz o dusy?

Sobek skinął głową.

— Byłek, — mówi wolno, opanowanym głosem, — u Noświętsej Panienki w Ludźmirzu . . . przedewcoraj . . .

— No to git. Diaboł nie bee mioł ku tobie dostępu . . .

Zapadło długie milczenie. Jasiek usiadł na krawędzi łóżka i gładził tkliwie stare, żylaste ręce Sobka. Do izby białej, pachnącej roześmianymi łąkami górskimi, weszła cich-

cem Młodość i stanęła między obu gazdami. Złotorożane przędziwo wspomnień omotało ich dusze i serca góralskie, zasypało ich drapieżne natury przedziwnym puchem. Pełne słodyczy, to znów gorzkie jak krzywda chłopska wspominki — kolebały się chybotliwie, chyżo . . . chyżo . . . przebiegając z duszy do duszy, z serca do serca . . .

— Jaśku . . .

— Sobku . . . — Ucałowali się.

* * *

Za młodu Sobkowi Gąsienicy dzieuchy przewrociełу we łbie do imentu. Dorodny beł, jedyny synek hrubego gazdy, polowac a muzyka znamienity. Pieśnicki pikne wymyśloł, toz to i dzieuchy go wse rade widziały i nie uchylały sie mu. Kie sie ku której prziblizeł, ba! jesce sie same ku niemu rwały . . . A co z tego nieroz i nie dwa wysło, nie trza wom o tym duzo godać . . . Kie ino przisеł do chaupy, jak sie juhasowanie na halach pokończyło — zaroz baby i gazdowie mówili: "Ooho! Sobek wrocieł z sałasu . . . Trza bee dziwek pilnować . . . On tu hnet cosi kasi wystrugo . . ."

A mój Sobek po odpustach chodzieł, po jarmarkach a weselach i w dzieuchach przebiroł jak w grulach, a zenić sie nie fcioł . . . "Jo se ino tak . . ." — godoł — "jo wolem ślebode . . ."

Kobiet nie cenił. "Baba jak baba . . . Z przodu cie pobośko . . . a z zadka ugryzie . . . Wse hłopa baba wywiedzie . . . — Jedna ci nasuści bzdurów, a drugo cie pote rozumu naucy . . . Hłop wse na babskim rozumie źle wyńdzie . . ."

Nie mógł go w tych sprawach nawet Sabała, serdecny towarzis, przemienić.

— Dyć, — pedo Sabała, — baba swój rozum mo . . . Ka djasi ni mogom, to babe poślom . . . Jo tak uwazujem, ze kany janioł i hłop nie uredzą, to jesce baba poredzi, zeby ino miała krzyne rozumu w głowie, a nie śmieci . . . Nima takiej bidy, coby sie jej baba obronić nie potrefiła . . . Kie ojcowie twoi fcieli cobyś zył to i ty musis fcieć, a nie labidzić, bo i tak Geiwontu nie przezijes . . .

Ale Sobek swoje. Tym bardziej, ze dzieuchy same mu lazły w rence.

Seł jednego dnia z Nowego Targu z jarmarku z Zośką Koślówną. Kupił dla oćca tęgie ciele. Nei wleźli w stary bór.

— Sobuś . . . — wzdycho Zośka.

— Dyć co?

— Eee, dyć las . . .

— Nei co ze las? . . .

— Tak sie bojem, zebyś mie nie ukrzywdził . . .

— Hej, wiera, nie widzis, ze trzymom w rence cieloka na powrozie?

— Hej, wicie go . . . mądrala . . . Przecie ciele mozno przywiązać do drzewa . . .

Tak se mój Sobek strugoł, aze

sie i dostrugoł. Nei co sie nie robi, moiściewy...

Zapoznoł kiedyś Jagusie Walcakówne z Rogoźnika. Hej, kroć milońscy... To beła ale dzieucha! Okrutnie sie mu widziała! Sirota beła, rodziciele pomerli. Ostali z bratem, Jaśkiem Walcakiem, na mizernym gazdostwie. Barż sie z bratem kochali.

Jagusia straśnie okrutnie zalubiła Sobka. Sobek zaś, jak Sobek. Z początku co sie tycy... a pote — wzion jak swoje... Jagusia, choć ta i wiedziała, jaki śniego beł zbój — sła ku niemu bez nijakiego wymiarkowania. Nieroz, kiej na sianie lezeli w sałasie — tuliła Sobka w młodych, kochających ramionach i tak se rachowała, ze sie Sobek z nią ozeni za to jej miłowanie. On ta nieroz i cosi godoł o tym, ale ino tak, śpasowoł... Ale! takiemu zeniacka w głowie, choć mu sie dzieucha barż widziała. A do tego Jagusia beła dziadula naprzeciw niego, a on — jedynok — synek barż hrubego gazdy Wojciecha Gąsienicy.

Sabała, który bardzo cenił ród Walcaków, choć-ta i som beł Gąsienica — i o honor rodu dboł — beł tkliwy i mientki na krzywde Jagusi. Nieroz tyz odkazywoł Sobkowi:

— Sobek, zeń sie...

— Głupiś, — godo Sobek. — Aze sie i braterstwo Sobka z Sabałą skońcyło.

— Mądry i głupi nie nadadzą sie do siebie — ozpowiedzioł pote Sabała. — Głupi bee zawse mondremu ciućkoł, ze je głupi, a mondry sie głupiego nie chyci, coby go naucył, bo sie śnim babrać nie bee fcioł...

Aze razu jednego co sie nie robi! Przichodzi do Sobka Jagusia, zbidniała, na gembuli wymizerowano i mówi zalekniona:

— Sobuś, — co bee z nami?...

— Dyć co mo być?

— Jakoze? Dyć nieroz godołeś, ze bees mnie broł...

Zasuścił Sobek wzgardliwie.

— Dyć jo juz niejednom broł...

Rozpacz zatargała Jagusią.

— A coz bee z tym?...

— Eee, dyć z cym?

— Z tym, co bee...

Ozeźlił sie Sobek.

— Co bee, to bee twoje... a mnie nic do tego. Nie mój wóz, nie moje konie... Jo sie o to nie staroł... Sama sie pchałaś...

— Jezusie, Maryjo! — Leci Jagusia w las, rence z osalenia łamiąca...

* * *

Ubrał sie od święta Jasiek Walcaków. Straszna krzywda siostry przywaliła mu serce, jakby skałą. Po drodze wstąpił do kościoła, z krótką, hłopską modlitwą.

— Syn was, Sobek, — mówi do starego Gąsienicy, — zgańbił moją siostre, a bez nią i syćkich Walcaków. Jo swój honor mom... Cóz ta beemy wiele godać... Albo sie Sobek ozeni z mojom siostrom, abo go na śmierżć zarombie, a wasom chaupe podpole, ze całe niebo bee cerwone... Mnie ta Wiśnic (ciężkie więzienie — przypisek autora) nie strasny, a i śmierć na siubienicy dlo rycerskiego hłopstwa na Podhalu nie nowina... Sami o tym wiecie, bo i Gąsienice zbójnikowali i niejeden śnich wisioł za ziobra na orawskim zamku... — Wybirojcie — jak fcecie...

W starego Gąsienicę jakby piorun z jasnego nieba strzelił. W pierwszej chwyli meśloł, ze sie Jaśkowi jak ryś tatrzański do gardła chybnie. Zapiekła, stara nienawiść między obu rodami wystrzeliła płomieniem, że zdawało się przez chwilę, iż się wezmą za bary ze sobą i na

strzępy wzajemnie podrą. Patrzyli sobie w oczy długo, długo...

Zwolna staremu odchodziła krew z oczu a serca.

— Honor — godos? My tyz swój honor momy...

— Jo wiem. Ale wy mocie i dutki i hrube gazdostwo... A jo mom ino honor... Wybirojcie... — Zabroł sie ku progu.

Przełamał sie w sobie stary. Coś mu potrzaskało w piersiach i wstyd za syna... — Wyciągnął renke do Sobka.

— Dej renke...

— Dajem...

* * *

Urzędnik sądowy odczytuje wolno, dostojnie, z lubością...

Zebrani w izbie zacichli.

— Actum in villa Czarny Dunajec, anno Domini 1853, die 29 aprilis.

— Ja, sławetny Sobestjan Gąsienica, sołtys, czując się być w chorości na zdrowiu, jednak na siłach swoich zdrowy, zaprosił w dom swój ludzi dla wyznania prawdy, przed którymi takowe rozporządzenie czyni ubogiej swojej fortuny, od Pana Boga do czasu sobie powierzonej. Najprzód, jeżeli-by mie Pan Bóg powołał z tego świata, proszę, aby ciało moje było przystojnie pochowane wedle krześcijańskiego porządku przy kościele czarnodunajeckim za uproszeniem ksiendza plebana. Zapobiegając tedy wszelakim kłótniom i prawnym sporom między dzieciokiem mym a krewnymi, kumotrami i somsiadami, gdy widzem czás sposobny, przy przysiężnym wójcie i w przytomności sądowego, nowotarskiego urzędu do rozmiaru grontów gromadzkich — takie czynię fortunki mojej rozporządzenie i ta niech bendzie ostatnia mojej woli dyspozycyjo:

— Oddaję majątek mój, należący do mnie, po ojcu moim własnym Wojciechu odziedzicony, które to posesorstwo z dziadów pradziadów naszych pochodzi — to jest oddaję całą moją zagrodę, leżącą na wyśnim końcu Czarnego Dunajca i ku tej zagrodzie polane całom — oddajem synkowi mymu jedynemu, znaczy sie Jaśkowi. Com go takim okrzcił imieniem mego nolepsego towarzysia Jaśka Walcaka,



ŁATWA PRAKTYKA MIŁOŚCI BOŻEJ

O. Adolf Dosz, T.J., wielki przyjaciel młodzieży, odwiedzając jedną drukarnię, nawiązał rozmowę z młodym zecerem. Usłyszał narzekania na monotonną, trudną pracę.

— Tak, ale i tutaj, — rzekł O. Dosz, — można zostać świętym, trzeba tylko chcieć.

— Owszem, — na to zecer, — ale nie widzę, w jaki sposób, bo nawet nie mam czasu się pomodlić, a rano muszę się spieszyć do pracy, bo mieszkam daleko.

— Ile ty czcionek składasz dziennie? Pewnie tysiące.

— Oczywiście.

— Składaj każdą z nich z miłości dla Boga i dla oddania Mu czci, a każdy dzień przyniesie ci tysiące aktów miłości Bożej, a w pracy żadnego nie poniesiesz uszczerbku.

Zecer pokiwał głową. Wydawało mu się to dziwne, ale przyrzekł O. Dosz choć przez jakiś czas praktykować jego zalecenia. Po paru tygodniach przychodzi sam do niego, a pierwsze słowa jego, zanim się przywitał były:

— Ojcze, idzie mi coraz lepiej!

— Ale co? — pyta zdziwiony takim powitaniem Ojciec.

— Recepta Ojca na praktykowanie miłości Bożej.

brata Jagusi, aby beła zgoda pomiendzy nami. Temuż synkowi dajem całą gotowiznę, to jest jedynoście tysiency florenów, a na krześcijańskie pieniądze dwa dwadzieścia tysionce złotych górskich polskich. Nei sesnoście krów, štyry cieloki, siedem koni i dwie kobyły źrebne, a na ostatek cały kierdel owiec, co je pon lustrator oblicył — beło ik do wcora 85. Dwie polany ku temu pod reglami w Zakopanem, wedle prawa za numerami opisanego w gromadzkim urzędzie w Czarnym Dunajcu — synkowi przekazujem.

— Matke zaś, mojom ukochanom Jagusie, synek mój powinien słuchać i usanowanie dawać aż do śmierci i zeby jej nicego nie brakowało, aby se godnie a w spokoju zyła, pokiel ją Poniezus do Swej kwały a ku mojej radości do nieba nie powoło...

— Upraszam tedy dla miłości Pana Boga i syćkich Świentych, ka ta ino som na tym nasym kochanym Podhalu — azeby to moje ozporządzenie w każdym sądzie miało walor i zeby je ludzie sanowali...

— Co sie działo przi ludziach wiarygodnych, którzy kładom krzyżyki.

— Ten wienc testament ostatniej woli mojej dla mocy, wagi i waloru — własnom renkom podpisujem —

—Sobestjan Gąsienica, testament czyniący.

* * *

We štyry dni potem umarł Sobek. Za trumną šli dostojnie, zgodzie, braterskim uściskiem złączeni — Capuletti-Gąsienicowie i Montecchi-Walcakowie.

* * *

Szła po ludziach pogwarka, ze Sobek cheba prosto do nieba poseł.

— Moze, moze... — myślał Sabała. — Ale, pokiela jo znom Poniezusa, to Sobek na kwilecke zawadził o cyściec...

* * *

Ale tego Sabała nikomu nie pedzioł.

Jan Walewski

HUMOR

Egzamin

Profesor: — Ten pacjent cierpi na skrót żyły w lewej nodze i dlatego kuleje. Cóżbyś pan zrobił w tym przypadku?

Student: — Kulałbym także, panie profesorze.

To już było...

Żona: — Właśnie czytam w gazecie, że są już u nas na składzie koszule bez guzików.

Mąż z westchnieniem: — To nic nowego... Przecież ja nie noszę innych.

W Sądzie

Sędzia: — I pani śmie twierdzić, że mąż chciał panią bić. Ależ on jest przecież kompletnym kaleką!

Oskarżycielka: — Panie sędzio, gdy zaczęła się między nami bijatyka, on jeszcze nie był kaleką...

Dla Uniknięcia Pomyłek!

Młodzieniec zakochał się w dziewczynie i napisał list z prośbą o spotkanie.

— Będę czekał przed dworcem kolejowym. Dla uniknięcia pomyłek donoszę, że będę miał granatowy płaszcz, zielony kapelusz z piórkiem czerwonym i cienką laskę białą w ręku. Znak szczególny. Różowy gwoździk. Twój Adam.

Nazajutrz otrzymał odpowiedź tej treści:

— Dla uniknięcia pomyłek donoszę, że będę miał płaszcz szary, a w ręku gruby, sękaty kij. Znak szczególny: trzy uderzenia w plecy tym kijem! Ojciec Eulalii.

Tylko Ja!

— Ojczulku! Dziś ja tylko jeden w całej klasie mogłem dać odpowiedź!

— A o cóż to pytał cię nauczyciel, mój syńciu?

— Kto znowu zbił szybę.



"Duszochwat"

Andrzej Bobola

Andrzej Bobola pochodził ze średniej rodziny szlacheckiej z Małopolski. Urodził się około 1591 r. Zwyczajem ówczesnym oddany został do szkoły Jezuickiej w Wilnie, z której jako dwudziestoletni młodzieniec przeszedł do tamtejszego nowicjatu. Wilno obok Smoleńska, Połocka, Bobrujska i Pińska posiadało na owe czasy najlepsze kolegium i akademię Jezuicką, było pulsującym ośrodkiem polskiej kultury w Księstwie Litewskim.

W archiwum Jezuitów w Wilnie uchowała się do 1939 r. notatka własnoręcznie napisana przez Bobolę: "Ja, Andrzej Bobola, Małopolanin, zostałem przypuszczony do odbycia pierwszej próby, dnia ostatniego lipca 1611 r., zdecydowany za pomocą Boga wypełnić wszystko, co mi przedłożono." O bujnej, nieposkromionej naturze, cholerycznym temperamencie, żywej wyobraźni, dużej wrażliwości... Cechy te dobre dla Kmicica, który w owym czasie uganiał się ze zdrajcą Bogusławem Radziwiłłem, nie pasowały ani do reguły surowego zakonu, ani do oblicza kandydata na wykonawcę nauki św. Ignacego Loyoli. Musiał więc Andrzej dokonać ogromnego wysiłku, aby poskromić je i urobić w kierunku właściwym.

Jedenaście lat studiów filozofii, języków i teologii, praktyka nauczycielska w stolicy Warmii Brunsberdze, następnie w Pułtusku i Nieświerzu, daje mu sposobność do odbycia niełatwej próby ujarzmienia własnych namiętności i wyzwalania tych wartości, które pozwoliły mu wypełnić później wspaniałą rolę wychowawcy i kapłana.

W czasie największego nasilenia zamieszek religijnych, którym towarzyszyły walki z Turkami, Tatarami, Szwedami i Rosjanami, oraz buntów kozackich, podsycanych przez Moskwę, zjawia się Andrzej w Pińsku, aby walczyć Krzyżem i Miłością tam, gdzie miecz nie powinien być ostatnim argumentem. Natrafił na najbardziej trudną okolicę, zamieszkałą w większości przez schizmatyków.

Tam Andrzej organizuje ekipę misjonarską, która objeżdża wraz z nim gminy województw poleskie-

go i wołyńskiego, uczy katechizmu, chrzci, spowiada, udziela Komunii świętej, łączy pary małżeńskie, szczególnie poświęca się zaniedbanej młodzieży. Wyniki jego pracy przerażają prawosławnych, a zjednują mu sympatię katolików. Nazywają go "duszochwatem", podziwiają jego mądrość i krasomówstwo.

W Rękach Bestialskich Najeźdźców

W roku 1657 Rakoczy, wsparty przez Chmielnickiego, zdobywa Brześć nad Bugiem, równocześnie watahy kozackie Antoniego Zielenieckiego i Popeńki zapuszczają swe zagony głęboko na Wołyń i Polesie, rabując z największym okrucieństwem i zaciętością dwory szlachty katolickiej, kościoły i klasztory.

W oczach księcia Czartoryskiego shańbili jego żonę, po czym zabili ją wraz z dziećmi, wreszcie zaś jego samego przecięli piłą. Przerażeni ludzie kryli się po lasach, inni — by się nie zdradzić — strzygli głowy według mody moskiewskiej, zostawiając jedynie kosmyk włosów tzw. "osełedec".

Pińsk został zdobyty w maju, 1657 roku przez 2,000 kozaków Jana Lichego. Najbliższy współpracownik Boboli, Jezuita ks. Szymon Maffon, został ujęty w kościele parafialnym w Horodcu, obdarty z odzienia przybity gwoździami do ławy; oprawcy okręcili mu głowę powrozami i tak je zaciskali, aż oczy ofierze na wierzch wychodziły, z piersi i pleców zdarli skórę, żywe ciało polewali ukropem, w końcu dobili.

Męczeński Zgon Patrona Ziem Wschodnich

W tym czasie Andrzej Bobola odbywał podróż na furmance z Peredyla do Janowa Poleskiego, z woźnicą Janem Domanowskim. Kozacy dopadli go na drodze, skatowali nahajami, związali ręce, umieścili między końmi i tak pędzili do Janowa, raniąc lancami. Tam bezzwłocznie zajęli się torturowaniem Andrzeja w szopie Grzegorza Hołowejczyka, służącej za rzeźnię i jatkę. Rzucono go na stół rzeźnicki, zdzierając nożami skórę z rąk, piersi i głowy, wykłuli mu prawe oko, przewrócili na drugą stronę, zdzierali skórę z pleców, zasypując rany plewami z orkiszu, odcięli mu nos i wargi, przez otwór wycięty w karku wydobyli język i odcięli u nasady, wreszcie powiesili go na suficie za nogi, głową na dół i naśmiewali się z ciała rzucającego się w konwulsjach.

"Patrzcie, jak Lach tańczy." Po dwugodzinnych katuszach, Bobola zakończył pielgrzymkę ziemską, składając u tronu Boga ofiarę z życia i krwi własnej w obronie Wiary i Ziemi, którą ukochał jak tylu innych rycerzy naszych Kresów. Stało się to dnia 16 maja, 1657 roku.

Ciało tego męczennika zostało pochowane w podziemiach kościoła Jezuitów w Pińsku wśród 60-ciu innych pomordowanych w podobny sposób Jezuitów. Pamięć o nim zanikła, aż dopiero Opatrzność Boża, która widocznie chciała go nam dać na wzór do naśladowania wskazała nań w dniu 16-go kwietnia, 1702 r. w Pińsku w widzeniu, jakie miał ks. Godlewski.

Zwłoki, które zachowały świeży wygląd, zostają wystawione na widok publiczny, stają się początkiem kultu zwiększającego się w miarę nowych łask, otrzymywanych za pośrednictwem Świętego.

Papież Benedykt XIV zalicza Andrzeja Bobolę w 1755 roku w poczet Męczenników za Wiarę; proces beatyfikacyjny zostaje zakoń-

czony dopiero w 1853 roku za Piusa IX, a po uzyskaniu Niepodległości Polski, Bobola zostaje uroczyście wniesiony w poczet świętych. W 1938 roku ciało jego zostaje sprowadzone z Rzymu do Warszawy.

Wszedł na ołtarze Wolnej Rzeczypospolitej w chwili, gdyśmy z powrotem stanęli zrębem własnego państwa w Europie i gdy w murach kolegiaty Pińskiej, tej samej z 1657 roku, rozbrzmiewały słowa hymnu "Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki, ochraniał tarczą Potęgi i Chwały".

B. Bahyrycz



Pieśń Serafina z Asyżu

Gasną różane blaski wonnej, cichej zorzy,
Asyż pieśnią swych dzwonów przed Bogiem się korzy...
A w tej modlitwie jego tyle skargi ducha,
Że ze wzruszeniem Serca Pan w niebiosach słucha...

Modlą się w łańcuch spięte góry Apeniny,
Uroczej, Spoletańskiej wieczna straż Doliny;
Modlą się krzewy winne i oliwne gaje,
Modlitewnym poszumem tchną czyste ruczaje...

Graniem dzwonów natura do pieśni porwana:
Kwiaty, zioła i trawki — wszystko wielbi Pana!
Tego życiem swym uczył maluczkich Braciszek:
Serce Umbrii, Asyżu — Serafin-Franciszek.

Jego dusza pożarem niebiańskim gorzała,
Wraz ze wszystkim stworzeniem hymn Bogu śpiewała,
A dziś echo tej pieśni poprzez wieki płynie
Po słonecznej, czarownej, umbryjskiej krainie.

"Bóg mój i moje wszystko!" — powtarzają dzwony —
Bóg mój i mój jest cały ten wszechświat stworzony!
Ach, bo królewsko-Boska jest miłości siła,
Że ubóstwo Franciszka tak ubogaciła!

Płyń, seraficzna pieśni, echem bez ustanku,
Czy to w mrokach wieczoru, czy w świetle poranku,
Niech głos Franciszka woła z mocą i radością
Do całej ziemi biednej, że Bóg jest miłością!

S. M. Leonarda Jaskowska, C.R.

W Asyżu, 14 sierpnia, 1948 roku.

Święty  Wojciech

Święty Wojciech pochodził z zamożnego rodu Sławików, książąt słowiańskich, którzy od wielu lat przyjęli chrześcijaństwo i władali udzielnie ogromnymi obszarami, obejmującymi dzisiejsze Czechy, część Moraw, Łużyc i Śląska. Rezydowali oni na zamku w Lubicy.

Książę lubicki Sławik miał kilku synów. Podobno jeden z nich Poraj miał osiedlić się w Polsce i stał się protoplastą sławnego rodu rycerskiego pieczętującego się Różą, która była herbem Sławikowiczów.

Drugi syn Wojciech (ma to znaczyć "pociecha wojska") urodził się w 956 roku i w dzieciństwie ciężko chorował. Zrozpaczona matka zaniosła maleństwo do kaplicy zamkowej i błagała Matkę Najświętszą o życie dziecka. Ślubowała, że gdy wyzdrowieje, zostanie księdzem.

Ze wszystkich synów rokował on największe nadzieje. Rodzice oddali go na naukę do słynnej szkoły katedralnej w Magdeburgu. Chłopcem opiekował się arcybiskup Adalbert, przyjaciel ojca. Przypadł mu chłopiec ogromnie do serca. Przy bierzmowaniu dał mu swoje imię, stąd u obcych narodów św. Wojciech znany jest pod imieniem Adalberta. I w tym otoczeniu formowały się poglądy chłopca na świat i ludzi, tutaj prawdopodobnie zetknął się z Bolesławem, synem Mieszka, późniejszym królem polskim.

Gdy towarzysze bawili się i używali radości i swobody, Wojciech wymykał się niespostrzeżenie do kościoła. Często szedł z arcybiskupem do kościoła św. Jana Chrzciciela na nocne modlitwy zakonników lub zapuszczał się do domostw najbiedniejszych, aby nieść pomoc.

Po kilku latach nauki został wyświęcony na księdza i powracał do rodzinnego zamku w Lubicy. W czasie drogi zatrzymał się w Pradze. Właśnie umarł biskup praski Dytmar, Niemiec z pochodzenia. Ludność Pragi zapragnęła mieć na tronie biskupim rodaka. Oczy wszystkich zwróciły się na młodego kapłana, Wojciecha, odznaczającego się świątobliwością i mądrością.

Bolesław Pobożny, książę czeski, nie chciał się sprzeciwiać woli ludu, przeprowadził zatwierdzenie tego wyboru przez cesarza Ottona. Bolesław Pobożny, a zwłaszcza brat jego Stracikwas, byli niechętnie usposobieni do świątobliwego biskupa, nieustannie intrygowali przeciw niemu, uniemożliwiali sprawowanie rządów diecezją. Na domiar w kraju następowała coraz silniejsza reakcja pogaństwa.

Wojciech nosi się z myślą rezygnacji z tego stanowiska. Postanowił wraz z bratem swoim Rydymem udać się do Rzymu, aby uzyskać zgodę papieża. W czasie długiej drogi zatrzymał się w starym opactwie benedyktyńskim na Monte Cassino. OO. Benedyktyni nakłaniali go, aby zaniechał myśli o rezygnacji ze stanowiska biskupa praskiego. W dalszej drodze Wojciech zatrzymał się w monasterze Bazylianów. Opatem tych greckich mnichów był św. Nilus, sędziwy, nieomal stuletni starzec, mąż wielkiej pobożności i wielkiej nauki. Między młodym biskupem, a tym sędziwym opatem zawiązuje się nić serdecznej przyjaźni. Wojciech pragnie pozostać na zawsze w murach tego monasteru, prosi opata o zgodę na złożenie ślubów zakonnych. Lecz św. Nilus poznał już charakter i usposobienie Wojciecha, przekonywuje go, że nie asceza i oderwanie od spraw świata jest powołaniem Wojciecha — a walka o duszę ludzką, o zdobywanie ludzi dla Boga.

Wojciech wraz z bratem przybywają do wiecznego miasta i osiadają w cichym klasztorze.

Tymczasem zjawiają się w Rzymie posłowie z Czech i proszą papieża o powrót Wojciecha na biskupstwo praskie. Wojciech waha się długo, w końcu ulega żądaniom rodaków i woli Ojca świętego.

Wyrusza w podróż do ziemi rodzinnej. W Pradze tłumy witają go radośnie, choć on nie wjeżdża ze świetnym orszakiem

duchownych, a kroczy boso, z kijem pielgrzymim w ręku i pierwsze swoje kroki kieruje do katedry.

Intrygi i swawola możnych znów uniemożliwiły mu rządy diecezją. Opuszcza Pragę, rezygnuje z biskupstwa.

W roku 996 miała odbyć się koronacja młodego cesarza Ottona, który zaprzyjaźnił się z Wojciechem. Na te uroczystości przyjechał do Rzymu arcybiskup moguncki Willgis. Jemu podlegało biskupstwo praskie. Wpłynął on na młodego cesarza, aby on nakłonił Wojciecha do powrotu do Pragi.

I tym razem Wojciech zdecydował się powrócić, ale pod warunkiem, że jeżeli nie uda mu się skierować ludu czeskiego na drogę chrześcijaństwa — pójdzie jako misjonarz ze słowem Bożym do ludów, które żyją w pogaństwie.

W drodze dotarła do niego tragiczna wieść. Oto stronnicy Przemyślidów, wymordowali jego braci wraz z rodzinami, a ziemie ich zagrabili.

Z całej rodziny ocalał Gaudenty, który był z Wojciechem, oraz Sobiebór i Poraj. Udało się im zbiec do Polski.

Wówczas Wojciech przybywa na dwór Bolesława Chrobrego. Nie ustępuje go myśl poświęcenia się pracy misjonarskiej. Wspólnie z Bolesławem układają plany. Myśl Wojciecha skierowana jest ku północy, ku krainie pogańskich Prusów.

Bolesław Chrobry, władca równie dzielny, jak mądry przywiązuje wielką wagę do przybycia na stałe do Polski biskupa Wojciecha. Będzie mu pomocny w wielkim dziele krzewienia wiary katolickiej wśród narodu oraz do utworzenia samodzielnego arcybiskupstwa polskiego, niezależnego od metropolii brandenburskiej. Bolesław Chrobry zdaje sobie sprawę z wielkiej doniosłości misji biskupa Wojciecha w barbarzyńskim i pogańskim kraju Prusów, graniczącym z jego włościami. Nie mogąc towarzyszyć Wojciechowi, przydziela mu zbrojną eskortę i wyposaża na drogę.

Skoro tylko spłynęły lody na Wiśle wsiadł wraz z bratem i klerykiem na skutę i popłynął do Gdańska. Ów gród nadmorski Bolesław Chrobry zdobył przed trzema laty, przebywała tam załoga wojów królewskich. Dowódca warowni udzielił pomocy Wojciechowi, jego bratu Gaudentemu i klerykowi Bogusza-Benedyktowi.

Przez jakiś czas biskup głosi ewangelię wśród ludności miejscowej, po czym odprawia zbrojną eskortę i zapuszcza się w nieznany kraj i w niezgłębione puszcze.

Po kilkunastu dniach spotykają pierwsze osiedla ludzkie wśród odwiecznych borów. Mieszkańcy tych osiedli podburzeni przez pogańskich ofiarników, przyjęli ich wrogo, lżyli, grozili a w końcu wypędzili.

Wojciech mógł wezwać zbrojną eskortę z nadgranicznej warowni i pod jej osłoną głosić słowo Boże. Nie chciał tego uczynić.

Poszli w głąb kraju. W dniu 22 kwietnia zdrożeni zatrzymali się na nocleg na samotnej, wyniosłej polanie, wśród odwiecznych dębów. Nie wiedzieli, że było tutaj uroczysko, gdzie pogańscy kapłani odprawiali obiaty i składali ofiary bogom. Za wejście w to miejsce groziła krwawa zemsta.

O świcie Gaudenty odprawił Mszę świętą, a biskup Wojciech przyjął z jego rąk Komunię świętą. Misjonarze modlili się żarliwie. Budził się wiosenny dzień. Promienie słońca przebijały się przez gęste mgły.

Naraz otoczył ich tłum, zbrojny w maczugi, włócznie i oszczepy, przewodził mu o f i a r n i k pogański. Niezrozumiałe groźne słowa padały z tłumu. Ofiarnik dał znak. Tłum przypadł do misjonarzy, powiązał ich i poprowadził ku osiedlom. Świsnęły oszczepy. Biskup Wojciech padł martwy na ziemię. W jego ciele utkwiło siedem włóczni.

Legenda mówi, że tego samego dnia i o tej samej godzinie św. Nilus, przebywający w monasterze w Rzymie miał powiedzieć: “Dziś przybył niebu nowy męczennik”.

Wieść o zamordowaniu świątobliwego biskupa-misjonarza dotarła na dwór Bolesława Chrobrego i wywołała żal serdeczny. Jak podaje Gall-Anonim poganie zażądali okupu za wydanie ciała tyle złota, ile miało ono ważyć. Rychło zebrano wśród wojów złoto.

Poganie oddali ciało biskupa, wraz z nim powrócili Radym-Gaudenty i kleryk Bogusza-Benedykt. Doczesne szczątki biskupa zostały złożone najpierw w kościele w Trzemesznie, a następnie przewiezione procesjonalnie do katedry gnieźnieńskiej, gdzie spoczęły na wieki.

W dwa lata później biskup Wojciech został wyniesiony na ołtarze i ogłoszony świętym.

Fakt ten miał doniosłe znaczenie dla młodego państwa polskiego. Zbliżał się rok 1000. Powszechnie oczekiwano w ca-

łym świecie katolickim końca świata. Ludzie odprawiali pokuty i dokonywali pielgrzymki do miejsc świętych.

Cesarz Otton III wybrał się do Gniezna, aby uczcić relikwie swojego przyjaciela św. Wojciecha, a równocześnie spotkać się z królem Bolesławem Chrobrym.

Król Bolesław Chrobry zgotował wspaniałe przyjęcie cesarzowi. Wspominają o tym zgodnie polscy i niemieccy kronikarze. Bolesław ofiarował cesarzowi ramię św. Wojciecha, jako relikwię.

Najdonioślejszym faktem tego zjazdu było włożenie przez Ottona korony na głowę Bolesława Chrobrego, nadanie mu godności patrycjusza rzymskiego, zwolnienie od płacenia daniny z ziem położonych na północ od rzeki Warty i wręczenie Bolesławowi włóczni świętego Maurycego, jako symbolu władzy suwerennej.

W roku 1000 na synodzie w Gnieźnie, na którym był obecny cesarz Otton, zostało utworzone arcybiskupstwo gnieźnieńskie, zależne wprost od Stolicy Apostolskiej. Pierwszym arcybiskupem gnieznieńskim został Radym-Gaudenty, brat św. Wojciecha. Jednocześnie zostały utworzone trzy pierwsze biskupstwa w Kołobrzegu dla Pomorza, w Krakowie dla ziemi Wiślan i we Wrocławiu dla Śląska.



Stygmaty

Spragniony ciszy, obcowania z Panem,
By Mu się rzucić w objęcia miłości,
W miejscu ustronnym, Alwernią zwanym,
Chroni się w serca swego samotności.

Wzajemne więzy miłości, oddania
Między Jezusem a Bratem z Asyżu,
Pan tajemnice mu Swoje odsłania,
Jako Serafin jawiąc się na krzyżu.

I w tym momencie płomieniste groty
Ran Jezusowych Franciszka przeszyły . . .
By żył już tylko konaniem tęsknoty

Za swoim Bogiem, któremu był miły.
Daj i mnie, Jezu, ten dar przebogaty —
Miłości Twojej mistyczne stygmaty!

S. M. Leonarda Jaskowska, C.R.

Krzyż

Posiadłość, którą w wiosce francuskiej nabył Bourseau, była pod każdym względem doskonała. Ziemia była dobra, a dom mieszkalny, jak i budynki gospodarcze, należycie utrzymane. Poza tym, nowy nabytek był położony blisko miasteczka, co również było zaletą. Bourseau chciał tutaj spędzić swoją starość. Jednakże nowa posiadłość miała, według jego zdania, wielką wadę. Mianowicie na rozstajnych drogach tej posiadłości wznosił się krzyż, który mu był solą w oku.

Był to sobie zwykły krzyż, mocno już pokryty rdzą. W jednym miejscu był nawet skrzywiony, nie wiadomo zresztą od czego, gdyż nawet najstarsi ludzie we wsi nie pamiętali krzyża tego inaczej, jak w obecnym stanie. Nie przypominał sobie też nikt, kto właściwie krzyż ten postawił. W każdym razie krzyż był bardzo stary i pokryty grubą warstwą rdzy. Mimo to dobrze się jeszcze trzymał na swojej kamiennej podstawie i widoczny był z daleka.

Bourseau znany był od dawna jako największy niedowiarek i najgorszy bezbożnik. W całej okolicy przypominano sobie jego gorące zabiegi z czasów, gdy był członkiem rady gminnej. Starał się on wtedy usunąć z obrębu gminy wszystko, co w ogóle miało chociażby najmniejszy związek z Wiarą, co w czymkolwiek przypominało mu Boga.

A teraz tak się złożyło, że ten znany bezbożnik miał krzyż we własnej posiadłości. Sąsiedzi jego śmiali się złośliwie i snuli różne domysły na temat, co się stanie z krzyżem. Urągali też między sobą niedowiarkowi, ale czynili to skrycie, gdyż bali się znanego z niegodziwości bezbożnika.

W każdym razie sprawa krzyża poruszyła wszystkie umysły. Ludzie we wsi, którzy szli na roboty w pole, zatrzymywali się po drodze, aby porozmawiać o krzyżu. Kobiety zaś odchodziły od gospodarstwa, aby plotkować o tym ze sąsiadkami. Rozmowom nie było końca.

— Co też on teraz zrobi, ten straszny człowiek? Na pewno usunie krzyż! Lecz w jaki sposób to uczyni? Czy każe usunąć krzyż jednemu z robotników, czy też sam tego dokona? Nawet jeżeli się w nic nie wierzy, usunąć krzyż, to wielkie przestępstwo i na pewno sprowadzi nieszczęście — mówiły kumoszki między sobą. Te spośród nich, które były zabobonne, dodawały, że jest bardzo niedobrze usłyszeć w nocy krzyk puchacza, lub rozsypać sól ze solniczki, albo też zabić kota, gdyż to wszystko sprowadza nieszczęście. Lecz są to drobiazgi w porównaniu z tym, żeby usunąć krzyż.

A Bourseau sam, czy się wahał, czy nie wiedział, co począć?

Wszystko możliwe.

Minęły bowiem już trzy dni, jak wszedł w posiadanie nowej majętności, a krzyż znajdował się jeszcze na swoim miejscu.

Verju był jednym z odważniejszych ludzi we wsi, toteż go się wszyscy bali i ulegali mu. On też rzekł do Bourseau'a:

— Sądzę, że nasz proboszcz będzie z ciebie zadowolony.

— Bardzo możliwe, że tak jest, ale poczekaj jeszcze trochę — odburknął zapytany.

— Zresztą dobrze robisz, że nie usu-

wasz krzyża; na co sobie sprowadzać nieszczęście?

— Daj mi spokój — odparł ze złością Bourseau, który był rozgniewany o to, że go ludzie posądzają, że się boi. — W każdym razie bądź pewny — dodał — że w sobotę "go" już nie będzie.

Verju udał się natychmiast do sąsiadów i powiadomił ich o nowinie, która rozeszła się jak błyskawica po całej wsi.

W zapowiedzianą sobotę zebrało się prawie pięćdziesiąt osób na owej rozstajnej drodze przy krzyżu, aby się przyglądać poczynaniom Bourseau'a. Mężczyźni uśmiechali się szyderczo, a kobiety od czasu do czasu się żegnały. Między zebranymi znajdowała się również żona Bourseau'a, wysoka i chuda kobieta, na której twarzy malowała się chciwość.

Tymczasem Bourseau zabrał się do usuwania krzyża. Najpierw dziabką poruszył ziemię, otaczającą krzyż, a potem przyprowadził konia, którego zaprzągł grubym sznurem do krzyża. Następnie uderzył konia kilka razy batem po głowie i grzbiecie. Zwierzę ruszyło naprzód i w tej chwili krzyż upadł bezszelestnie na trawę. Wśród zgromadzonych ludzi panowała grobowa cisza. Teraz bezbożnik uchwycił krzyż i, ciągnąc go po ziemi zawlókł do stodoły, gdzie go wrzucił do kąta. Po dokonaniu tego ohydnego czynu z oznakami wielkiego zadowolenia powrócił z żoną do domu.

Muszę wam teraz opowiedzieć wypadki tak, jak po sobie nastąpiły w rzeczywistości! Nie jest to bowiem historia zmyślona, lecz prawdziwa; znam dokładnie wszystkie okoliczności!

Na dalszy bieg historii nie trzeba było długo czekać.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, złocąc swym czerwonym blaskiem horyzont. Nad polami i łąkami zapadał powoli zmierzch. W pobliskim stawie odezwał się rechot żab i chmary komarów unosiły się, brzęcząc nad wodą.

W domach zapalono światła. Mieszkańcy, zmęczeni sprzątaniem siana na łąkach, zabierali się do wieczerzy, przy której rozmawiano o wypadkach minionego dnia. Niedługo, po zmówieniu wieczornych pacierzy, udali się wszyscy na zasłużony spoczynek. Za chwilę nastała niczym niezamącona cisza — noc otuliła swoimi skrzydłami świat.

Kilka godzin później rozległ się nagle wśród ciszy nocnej przeraźliwy krzyk:

— Ratunku! Ratunku! . . .

PRASA NA ŚWIECIE

Według ostatnich statystyk istnieje na świecie 7,520 gazet. Największa ich liczba wychodzi w Ameryce, bo na 225 milionów mieszkańców posiada Ameryka 2,265 dzienników. Drugie miejsce zajmuje Azja, bo na 1,298 milionów mieszkańców wydawanych jest tam ich 2,257. Na 203 miliony ludów Afryki jest 208 gazet.

Nakład światowy dzienników wynosi 217,174,940 egzemplarzy. W tym wypadku czołowe miejsce zajmuje Europa, która dla swych 400 milionów mieszkańców bije 92,228,400 egzemplarzy.

Na 7,520 wychodzących dzienników więcej niż ćwierć ich jest redagowana w języku angielskim.

Istnieje tylko 7 agencyj światowych. Trzy amerykańskie: Associated Press, United Press i International News Service; jedna agencja brytyjska: Reuter; jedna francuska: France-Presse i jedna rosyjska: Tass.

Główną przeszkodą w rozwoju prasy, to analfabetyzm, który np. w Afryce waha się między 80 a 90 proc., między 70 a 80 proc. w Azji i przekracza nieco więcej niż 50 proc. w Ameryce środkowej i południowej.

Krzyk ten był tak przejmujący i ścinający krew w żyłach, że zbudził od razu wszystkich mieszkańców, którzy poczęli trwożnie nadsłuchiwać. Rozległy się niesamowite jęki, zbliżone do wycia i dalsze wołania o pomoc. Jednakże nieprzezwyciężony strach opanował ludzi we wsi i nikt nie śmiał się nawet ruszyć. Jedynie "odważny" Verju wstał, lecz tylko po to, aby się przekonać, czy drzwi domu są zamknięte na klucz i zapora założona — bał się bowiem nieznanego niebezpieczeństwa. Potem szybko wrócił do łóżka i nakrył głowę pierzyną, nie chcąc niczego więcej słyszeć. Żona zaś jego ze strachu szczękała zębami.

Jednakże za chwilę małżonkowie Verju usłyszeli na drodze bieganie i ktoś z całej siły zaczął walić pięścią do drzwi. Verju'owi ze strachu włosy zjeżyły się na głowie.

— Kto tam? — zawołał.

Żona jego zaczęła zawodzić.

— Stało się na pewno nieszczęście, miałam przeczucie...

— Chodźcie natychmiast na pomoc, Bourseau jest umierający!

Dowiedziawszy się nareszcie, o co chodzi, żona Verju'a uspokoiła się cośkolwiek i wyszeptała:

— To na pewno w związku z krzyżem.

Tymczasem Verju wyszedł i udał się do sąsiadów, aby poszli z nim — w gromadzie zawsze się jest odważniejszym. Było to zresztą zupełnie słuszne, gdyż sam niewiele poradzi. Bourseau bowiem wił się w takich kurczach i rzucał do tego stopnia, że pięciu ludzi z trudem tylko mogło go utrzymać. Na usta wystąpiła mu piana, kopał z całych sił i przeraźliwie krzyczał. W pokoju panował straszny nieład; odłamki mebli i innych przedmiotów walały się po ziemi, gdyż Bourseau ogarnięty szałem, porozbijał wszystko, co tylko mu wpadło pod rękę.

Zaczęło dnieć, a bezbożnikowi było coraz gorzej i wił się w okropnych boleściach. Tymczasem zeszli się wszyscy ludzie ze wsi.

— Wydaje mi się, że teraz skończy... — szepnął Verju.

Wtem weszła do izby jedna z kobiet ze wsi i rzekła:

— Ten bezbożnik jest opętany przez diabła...

Strach ogarnął wszystkich obecnych, jak gdyby słowo "diabeł", wyrzeczone przez ową kobietę, mogło wywołać jego obecność w mieszkaniu. Wszyscy robili znak Krzyża św. nabożnie.

Około godziny ósmej rano straszny kurcz chwycił jeszcze raz Bourseau'a. Potem bezbożnik opadł na posłanie i skonał. Ciało jego po śmierci było tak skręcone, że mimo wysiłków nie dało się je całkowicie wyprostować.

Ludzie we wsi i okolicy twierdzili, że Bourseau został uduszony przez szatana, któremu od dawna zaprzedał swoją duszę.

Lecz jako dowód potęgi Boskiej służyć może zadośćuczynienie, którego doznał usunięty przez bezbożnika krzyż.

Żona Bourseau'a zaczęła po jego tak strasznej śmierci ogromnie szlochać i zawodzić nad swoim nieszczęściem. Czyniła to jednakże tylko w obecności ludzi. Gdy była pewna, że nikogo nie ma w pobliżu, to była zupełnie spokojna. Śmiercią męża nie była bowiem wcale zmartwiona. Cały jej wysiłek skierowany był jedynie w tym kierunku, żeby postawić mężowi odpowiedni nagrobek, który by zrobił mocne wrażenie na ludziach. Była niesłychanie skąpa. Chciała mieć nagrobek, lecz nie zamierzała na to wydać pieniędzy... Czy to ze względu na powszechnie przyjęty zwyczaj, czy też licząc się z opinią ludzką, Bourseau'owa postanowiła postawić na grobie bezbożnika krzyż, który niedowiarek wywrócił i zawlókł do stodoły.

* * *

Obalony i zbezczeszczony krzyż znowu stanął. Stanął zwycięsko w całej swej potędze — właśnie nad grobem bezbożnika, — który mniemał, że go obalił na zawsze.

(Słowo Katolickie, Paryż)



CIEKAWOSTKA



Z historii Polaków w Ameryce



Znany jest udział wielu Polaków w walkach o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Kościuszko i Pułaski — oto dwa najbardziej znane przykłady. Ostatnio z okazji odbywających się zawsze w czerwcu Dni Morza, prasa polska przypominała postać Feliksa Mikłaszewicza. Polak ten oddał wielkie usługi sprawie wolności narodu amerykańskiego, walcząc na morzu z Anglikami. Warto zapoznać się z interesującymi szczegółami na ten temat.

Otóż w chwili wybuchu wojny z Anglią — kolonie nie posiadały floty wojennej, choć nie brak im było statków handlowych. Umożliwiło to, rzecz jasna, Anglikom swobodne przerzucanie wojsk ekspedycyjnych na amerykański teren wojenny, co z kolei stwarzało groźne sytuacje strategiczne. Dość przypomnieć, że była chwila, gdy Anglicy atakowali od północy z Kanady i od południa z Georgii, gdy Nowy Jork i Filadelfia były w ich ręku. Niezależnie więc od toczących się operacyj lądowych, Kongres podjął wysiłki, zmierzające do stworzenia floty wojennej: przerabiał okręty handlowe, budował nowe, uzbrajał je i wysyłał na morze, gdzie zaczęły się coraz dotkliwiej dawać we znaki Anglikom.

Ale nie młoda flota wojenna okazała się najgroźniejszym przeciwnikiem angielskiego panowania na morzu. Okazali się nim natomiast kaprzy, privateers, jak ich zwali Anglicy, partyzanci morscy jakbyśmy dziś powiedzieli. Każdy Amerykanin, który wybudował czy zakupił okręt, uzbroił go i zgłosił władzom, że chce wypłynąć na morze do walki z wrogiem, został uznawany za kapra i dostawał odpowiedni dokument. Obowiązywała go jedynie rejestracja zdobyczy w jednym z portów, raporty i wywiad morski, oraz złożenie poręki na wypłatę sumy 5,000, potem 20,000 dolarów, jeśliby przekroczył obowiązujące przepisy. Zdobycz przechodziła w zasadzie w całości w ręce kapra. Kaperstwo było więc procederem bardzo niebezpiecznym, ale i bardzo dochodowym. Rozwinęło się też szybko, zadając poważne ciosy flocie brytyjskiej, równocześnie zasilając wydatnie zaopatrzenie walczących kolonii amerykańskich w sprzęt wojenny i inne produkty.

Wśród odważnych i przedsiębiorczych kaprów znalazł się Polak, Feliks Mikłaszewicz. Skąd się wziął w Ameryce, w Bostonie, dokładnie nie wiadomo. Pochodził z drobnej szlachty i był związany z osławionym księciem Karolem Radziwiłłem "Panie Kochanku". Brał udział w konfederacji barskiej, a po jej upadku emigrował za Zachód, by w końcu dotrzeć — może wespół z Kazimierzem Pułaskim — aż na drugą półkulę.

Mikłaszewicz nie był człowiekiem bogatym. Pierwszy statek, który wystawił i zgłosił amerykańskiemu "Kongresowi Kontynentalnemu" był małym jednomasztowym żaglowcem, zaopatrzonym w

wiosła. Uzbrojony w dwa działka zabierał 12 osób załogi zaopatrzonej w broń palną. Nosił wcale odpowiednią nazwę Scotch Trick i pływał pod dowództwem kapitana Jozuego Winga, również z Bostonu.

W kilka miesięcy później (18. marca, 1783 r.) Mikłaszewicz zgłosił władzom nowy statek, większy już, dwumasztowiec, wystawiony zresztą podobnie jak Scotch Trick kosztem Mikłaszewicza i dwóch jego wspólników. Statek ten zabierał 15 osób dobrze uzbrojonej załogi i był wyposażony w 8 dział. Nazwał go Mikłaszewicz Prince Radziwiłł, niewątpliwie na cześć swego dawnego opiekuna, Karola Radziwiłła. Co jednak najciekawsze, wypłynął na nim osobiście Feliks Mikłaszewicz jako kapitan i komendant wspomnianego szkunera. Musiał więc dobrze znać się na sztuce żeglowania i kierowania okrętem. Zapewne od dłuższego czasu poświęcił się morskiej żegludze, podał bowiem wprost jako swój zawód marynarz (mariner).

I wypłynął dawny konfederat barski na morze, by — wedle słów wydanego mu dokumentu kaperskiego — rozpocząć dzieło zbrojnego napadania, pokonywania, zajmowania i zbierania okrętów, statków i towarów, należących do króla lub korony Wielkiej Brytanii lub jego poddanych... I znowu nie wiemy, jak długo i z jakim szczęściem wykonywał swe dzieło Prince Radziwiłł i jego polski kapitan. Dnia 24 marca, 1783 r. Kongres otrzymał wiadomość o rozejmie zawartym z Anglią, wobec czego 25 marca, tegoż roku Robert Morris zarządził odwołanie okrętów wojennych i kaperskich z akcji. Rozkaz nie prędko jednak dotarł do morskich partyzantów. Jeszcze przez kilka tygodni trwały walki morskie, w których brał udział, jak można przypuszczać także kapitan Mikłaszewicz. Przerzucił się on później do floty handlowej i wzbogaciwszy się, osiadł w Stanie Georgia.

Potem wszelki słuch o nim zaginął.



Interesujące

Dotychczas uważano, że na księżycu nie ma atmosfery. Obecnie astrofizyk dr. Shapley z obserwatorium uniwersytetu Harvard ogłosił, że przy pomocy analizy spektralnej wykrył tuż przy powierzchni księżyca cienką warstwę argonu. Argon jest gazem szlachetnym, prawie nie łączącym się z zimnymi pierwiastkami i o tyle ciężkim, że mimo nieznacznej siły przyciągania na księżycu nie ulotnił się w przestrzeń.

Gdyby spisać to wszystko, co przeciętnie gadatliwy człowiek powiedział w ciągu 60 lat swego życia, powstałoby 2,000 tomów, każdy o 250 stronach druku.

W Montrealu, w Kanadzie, w laboratorium tamtejszego uniwersytetu skonstruowano tak czuły termometr, że przy pomocy jego można teoretycznie mierzyć gorączkę much.

W szpitalu w Bostonie stosuje się bezbolesne zastrzyki. Specjalną strzykawkę trzyma się w ciągu 45 sekund tuż przy skórze i ulatniający się z niej gaz oziębia ją. Zastrzyk jest bezbolesny.

Oceany pokrywają 71 procent powierzchni ziemi.

Na jednej muszce pokojowej znajduje się do sześciu milionów sześćkroć sto tysięcy bakteryj.

W czasie pierwszej wojny światowej samolot potrzebował godzinę czasu, aby wspiąć się na wysokość 6 tysięcy stóp. Obecnie dla osiągnięcia wysokości 10 tysięcy stóp, potrzeba mniej niż dwóch minut.

W U.S.A. spala się dziennie 1,350, 000,000 papierosów; uszeregowane dałyby one pas długości 94,500 mil... Trzeba wypalić 3,700 papierosów, by zdobyć funt popiołu.

Wielkie Piekary

Do słynnych odpustowych miejsc na ziemi śląskiej należą Wielkie Piekary.

Niewiele wiemy o pochodzeniu Wielkich Piekar, ani o ich założycielu. Zapewne było to jedna z tych licznych osad, w której mieszkańcy zajmowali się wypiekaniem chleba dla pobliskiego grodu, w tym wypadku dla Bytomia.

Niewiele wiemy też o początkach obrazu Matki Boskiej Piekarskiej, tylu cudami słynącej.

Zdaniem naszych historyków sztuki pochodzi on z początku XVI stulecia. Jeżeli chodzi o właściwości ikonograficzne i kompozycyjne, jest on bliski wizerunkowi Matki Boskiej Częstochowskiej. Od obrazu Jasnogórskiego odróżnia się swobodą układu, słodyczą wyrazu i łagodnością. W technice malowania wyczuwa się wpływ współczesnej sztuki włoskiej.

O obrazie Matki Boskiej Piekarskiej słyszymy po raz pierwszy w roku 1659, kiedy tutejszy proboszcz Jakub Raczkowski umieścił go w bocznym ołtarzu drewnianego kościoła.

W tym właśnie czasie na teren Śląska zjechało ze wszystkich stron świata wielu ludzi zwabionych nadzieją zarobku w licznych kopalniach rudy. Było wśród nich wielu łotrzyków, włóczęgów, obieżyświatów, którzy przynieśli z sobą na ziemię śląską lekceważenie wiary, pijaństwo i rozpustę. Zarazili tym ludność miejscową. W roku 1676 pobliskie miasteczko Tarnowskie Góry nawiedziła morowa zaraza. Ludzie padali jak muchy. Mieszkańcy miasteczka nie mieli znikąd ratunku i oczy ich zwróciły się ku Matce Najświętszej w Piekarach. Wspaniała procesja, na której nie brakło innowierców i heretyków, również ciężko doświadczonych, udała się do Piekar. Matka Boska wysłuchała kornych próśb i modlitw. Morowe powietrze rychło minęło, a chorzy powrócili do zdrowia.

Wieść o tym rozeszła się szybko po ziemi śląskiej, wielkopolskiej oraz innych krajach. Odtąd zaczęły się wędrówki ludzi ze wszystkich stron do Piekar.

W cztery lata później ta sama zaraza wybuchła w Pradze, stolicy Czech. Mieszkańcy nieszczęsnego grodu zwrócili się do proboszcza piekarskiego z prośbą, by użyczył im cudownego obrazu. Sam cesarz Leopold poparł prośbę. Ówczesny biskup krakowski wyraził zgodę. Obraz został przewieziony do Pragi pod opieką dwóch księży. Po ulicach, na których szalała zaraza urządzono uroczystą procesję, w której niesiono obraz Matki Boskiej Piekarskiej. Od pierwszego dnia w mieście zaraza zaczęła wygasać. Przed obrazem odprawiano niezliczone nabożeństwa dziękczynne, składano bogate wota. Przed odesłaniem obrazu do Piekar, cesarz Leopold ofiarował 14 szafirów i 15 różyczek diamentowych wielkiej wartości, a cesarzowa diamentowy naszyjnik dla Dzieciątka.

Wdzięczni mieszkańcy odprowadzili obraz daleko. I odtąd liczne rzesze wiernych pielgrzymowały do Piekar. Właśnie nad Europą zawisło groźne niebezpieczeństwo ze strony Turków, którzy ruszyli na podbój świata. Wiele krajów nie zdołało się oprzec ich potędze. Sprzymierzone

z Turkami wojsko węgierskie czyniło zbrojne wypady aż do Beskidów Śląskich, ogniem i mieczem pustosząc wsie i miasta, między innymi Bielsk.

Zwabione wieściami o bogactwach kościoła piekarskiego oddziały tureckie mogły wpaść na ziemie śląskie, spustoszyć miasto i świątynię i sprofanować obraz. Postanowiono przewieźć obraz Matki Boskiej do Opola. Za potężnymi murami obronnymi opolskiego grodu znalazł bezpieczne schronienie.

Właśnie ogromna armia turecka pod dowództwem Kara Mustafy wtargnęła w głąb krajów austriackich i zagroziła Wiedniowi. Cesarz Leopold I wysłał posłów do króla polskiego Jana III Sobieskiego, sławnego pogromcy pohańców, błagając go o pomoc. Poselstwo zastało króla w Wilanowie, przy sadzeniu drzew. Hrabia Walstein prosił króla słowami: "Ratuj cesarstwo chrześcijańskie", a nuncjusz papieski Pallavicini: "Królu, ratuj chrześcijaństwo".

Król nie zwlekając ruszył z wojskiem, jakie miał pod bokiem. Po drodze wstąpił do klasztoru na Jasną Górę, a następnie do Piekar, gdzie modlił się gorąco. Sobieski nie zastał obrazu w Piekarach, gdyż oryginał znajdował się w zamku opolskim, a w ołtarzu była umieszczona tylko wierna kopia.

W kilka tygodni później nadeszła do Piekar radosna wieść o wiktorii wiedeńskiej, a w kościele rozległo się dziękczynne Te Deum.

Wkrótce po śmierci Jana Sobieskiego, kościół piekarski gościł Augusta II Sasa, późniejszego króla polskiego. W roku 1697 w drodze do Krakowa odnowił on przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej uroczyste przyrzeczenie dane na Chrzcie św. w Badenie, pod Wiedniem, odbył spowiedź przed księdzem Jerzym Kryspinem, biskupem sieradzkim, zatwierdził pacta conventa i otrzymał błogosławieństwo od biskupa.

Oryginał obrazu zostaje znowu przewieziony do Piekar, lecz wobec niespokojnych czasów, w roku 1702 powrócił do Opola na stałe. Pielgrzymki przybywały nieustannie do Piekar. Starożytna, drewniana świątyńka, wzniesiona w 1303 roku nie mogła pomieścić coraz większych rzesz pielgrzymów.

W roku 1846 ksiądz kanonik Jan Alojzy Ficek, proboszcz piekarski, rozpoczął budowę wielkiej świątyni, nie rozporządzając żadnymi funduszami, jedynie przy pomocy wiernych i pielgrzymów. Matka Boska pobłogosławiła zbożnemu dziełu. W ciągu kilku lat w Piekarach wyrosła okazała świątynia. Twórca jej, świątobliwy i niezmordowany w pracy proboszcz, położył duże zasługi dla ludu śląskiego.

W okresie najsilniejszego natężenia germanizacyjnego, ludowi śląskiemu groziło wynarodowienie. Wielkie Piekary stały się ośrodkiem ruchu wydawniczego. Tutaj drukowały się gazety, książki, kalendarze i broszury w języku polskim. Przybywający tutaj pielgrzymi śląscy nabywali wydawnictwa patriotyczne i zanosili do swoich domów.

Owe wydawnictwa przyczyniły się walnie do zachowania języka ojczystego wśród Ślązaków.

Klęska Niemiec wilhelmowskich w pierwszej wojnie światowej napełniła serca Ślązaków nadzieją powrotu do Macierzy. Kilka lat musieli na to czekać. Dopiero po powstaniach i plebiscycie, 22 czerwca, 1922 roku wojska polskie wkroczyły do Piekar. Dowódcę oddziałów polskich witał niewidomy osiemdziesięcioletni starzec Hajda, śląski Wernyhora, który

stracił zdrowie w ciężkiej pracy i walce o utrzymanie polskości.

Lata powrotu Śląska do Macierzy nie przyniosły szczęścia śląskiemu ludowi, sprawiły mu gorzki zawód. Na skutek machinacji rodzimych i niemieckich kapitalistów brakło pracy dla Ślązaków. W rodzinach górników i hutników śląskich panowała nędza. Biedaszyby pochłaniały coraz to więcej ofiar. Z pobliskich kordonów granicznych nieustannie nadchodziły wieści o wielkich zbrojeniach i przygotowaniach Niemiec hitlerowskich do napadu na Polskę.

Lud śląski tłumnie pielgrzymował do Wielkich Piekar i prosił Matkę Najświętszą o opiekę i przetrwanie tych ciężkich chwil. W czasie najazdu hitlerowskiego Ślązacy dzielnie bronili swojej ziemi. Okupant hitlerowski wywarł krwawą zemstę nad wszystkimi, którzy pracowali dla Polski, lecz nie zdołał złamać ducha polskiego. Ślązacy wierzyli, że klęska Niemiec hitlerowskich jest nieunikniona, czujnie strzegli swoich kopalń i hut.

I nie dopełniły się widać jeszcze Wyroki Boże. Przyszedł nowy okupant i dręczy lud śląski . . . Lecz ten wiernie trwa przy św. Wierze swych Ojców. I mimo prześladowań płyną nadal liczne tłumy pielgrzymów z całej Polski, aby oddać się w Opiekę Królowej Polski i Pokoju.

Matka Boska Więzienna

Taki tytuł nosił maleńki obrazeczek produkowany przez więźniów na "Pawiaku". Była to kwadratowa tekturka wymiarów 5 na 5, na niej kółko z żółtego papieru, na tym niebieska sylwetka, przypominająca Ostrobramską ze złotym kółeczkiem-aureolką nad głową.

Patronat Opieki nad Więźniami obdarzał tymi obrazkami osoby składające ofiary na dożywienie więźniów politycznych; innych wówczas na sławnym "Pawiaku" prawie nie było.

Obrazek w swym artystycznym prymitywie tak dziwnie chwytał za serce, że wkrótce z posiadanych 150 został mi jeden jedyny, który postanowiłam zatrzymać bezwzględnie dla siebie.

Wychodząc 2-go sierpnia 1944 r. na wyznaczone mi miejsce w Warszawie, (1-go niestety nie zdołałam dotrzeć) wzięłam stojący na szafce nocnej przy łóżku wyżej opisany obrazek i machinalnie włożyłam go do torby sanitarnej pomiędzy rolki bandaży. Obrazek ten był ze mną przez cały czas akcji na Woli i nigdy nie pomyślałam o jego istnieniu. Tak się złożyło, że poza jedną śmiertelnie poparzoną kobietą, która uciekła ze szpitala św. Łazarza (gdzie Ukraincy obrzucili personel i rannych granatami oraz podpalili) i umarła mi na rękach, mimo wielu ciężko rannych, nie miałam śmiertelnego wypadku.

Aż przy wycofywaniu się z naszych stanowisk przy ul. Gibalskiego przynieśli mi rannego. Był to młody, bardzo wysoki, jasnowłosy chłopak.

Koledzy, którzy go transportowali, powiedzieli mi tylko, że to "Longinus" (pseudonim) od "Parasola" (zgrupowanie). Chłopak miał olbrzymią ranę wielkości pięści na szyi, z porwanych tętnic tryskała fontanną krew — konał... Wiedziałam, że nie tylko ja, ale najlepszy chirurg byłby tu bezradny. Istotnie agonia trwała kilka sekund zaledwie. Zrobiło mi się strasznie. Ten zmarły jasnowłosy chłopak stał się nagle kimś ogromnie bliskim. Klęcząc we wnęce

bramy, trzymałam jego głowę na kolanach, wpatrując się w chłopięcy zarys twarzy.

— Trzeba pochować, to jedno, co możemy dla niego zrobić — trąciła mnie w ramię koleżanka Danusia.

— Poczekamy aż chłopcy wrócą z akcji.

— Tu zaczyna być gorąco, nie wiadomo, czy będą mieli czas. A nam też musicie pomóc przejść do szpitala, po to tu zresztą jesteście, — odezwał się jeden z rannych. — Nie damy rady wykopać grobu.

— To znajdziemy kogoś, kto pomoże, wśród cywilów, — odpowiedział inny z chłopców, ranny w rękę i zeszedł do piwnicy, a po chwili wrócił, prowadząc jakiegoś tramwajarza.

— Mam dwie łopaty; szkopy z Dworca Zachodniego tłuką jak diabli, trzeba to zrobić szybko. Kto mi pomoże? — rozglądał się nowoprzybyły.

Bez słowa ujęłam drugą łopatę i poszliśmy na pobliską działkę, zasadzoną wówczas kartoflami. Przed wojną był to z całą pewnością kwietnik, ale w czasie okupacji wygłodniała ludność Warszawy sadziła jarzyny gdzie mogła. Zdawało mi się, że wybraliśmy względnie zaciszne miejsce, mimo to co chwila z szatańskim świstem pociski rozrywały się nad nami.

Wykopaliśmy w końcu dół głęboki około 60 centymetrów i wróciliśmy do bramy spoceni i drżący ze zdenerwowania i zmęczenia. Danka zdjęła wiszący w bramie obrazek św. Stanisława Kostki jako godło na grób, a jeden z chłopców umieścił na kawałku deski pośmiertny napis: "Śp. Longinus", lat około 18-tu, Zgrupowanie "Parasol". Tramwajarz poszedł do piwnicy, która mu wówczas służyła za mieszkanie i wrócił, niosąc pilśniowy koc i prześcieradło.

— Dobrze by było i do rąk dać mu jakiś obrazek, zasłużył biedak na chrześcijański pogrzeb, chociaż w niepoświęconej ziemi.

Rozejrzeliśmy się bezradnie. Aż nagle przypomniałam sobie o mojej Matce Boskiej Więziennej. Wyjęłam wizerunek z torby i włożyłam zmarłemu w dłonie, zaciskając kciuki na obrazku. Do dziś jeszcze pamiętam zimny dotyk rąk tego trupa.

Poszliśmy we czworo: tramwajarz, Danusia, ranny kapral i ja. Nieśliśmy ciało owinięte w prześcieradło i koc, przysypaliśmy ziemią, a Danka zerwała wiąź opodal rosnących nagietek i ozdobiła nimi grób.

Wracaliśmy milcząc. Już w bramie domu odezwał się tramwajarz:

— No, kochane żołnierzyki, praca pracą, wojna wojną, a zjeść i wypić się należy. Chodźcie ze mną, żona moja coś tam pitrasi w piwnicy.

Zeszliśmy większą grupą.

— Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą, — usiłował rozproszyć nastrój nasz przygodny opiekun. — Już go siostrzyczka nie podniesie, a na wzmocnienie radzę jeden "daleko-bieżny" — i nalewał wódkę do kieliszka.

Po chwili wahania, bo nie piję, przechyliłam kieliszek do ust, zakrztusiłam się, oczy zaszły mi łzami, sięgnęłam do kieszeni spodni po chusteczkę i pierwszą rzeczą, jaką stamtąd wyciągnęłam, był mój obrazek.

Nie wiem dlaczego, ale twarz tramwajarza, który nawet kopiąc pod pociskami grób, zachował imponujący spokój, teraz stała się biała jak kreda.

— Czy pani miała dwa takie obrazki? — zapytał po chwili.

— Jeden, jedyny . . .

Człowiek ujął wizerunek w drżące ręce. Na odwrotnej stronie widniały odciski palców zmarłego w formie okrągłych plam krwi.

— Przecież ja wyraźnie widziałem, jak pani wciskała mu do rąk ten obrazek . . .

— I ja widziałam, jak został z nim . . . Co prawda wszyscy byliśmy zdenerwo-

wani, a cudów "na codzień" nie ma, a przynajmniej nie dla wszystkich.

— Może... To trudno powiedzieć, ale ta Matka Boska powinna być zawsze z panią...

* * *

I była ze mną, w szarej niemieckiej kurtce na piersiach, przez dni i noce Powstania Warszawskiego, schowana w podeszwach butów przed złymi ślepiami hitlerowskich "postenek" — podczas brutalnych obozowych rewizji, a teraz patronuje kącikowi, który jest w tej chwili moim "domem" w angielskim "campie".

Stanisława Rogalska, Sodalis Marianus



Ciekawe

W ubiegłym roku Amerykanie zarobili 278 miliardów dolarów i wyprodukowali towarów o wartości 329 miliardów dolarów.

Stratford-on-Avon, miejsce urodzenia nieśmiertelnego pisarza angielskiego, Williama Shakespeare'a, odwiedza corocznie około 250,000 osób.

Ze wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych, najwięcej dzieci miał Jan Tyler. Był ojcem czternaściorga dzieci.

Parki narodowe w Stanach Zjednoczonych (w liczbie 180) zostały w ubiegłym roku odwiedzone przez blisko 47 milionów ludzi.

W Nowym Jorku nowa biblioteka dla ociemniałych posiada 36,000 książek w alfabecie Braille'a, 25,000 "mówiących książek" i 12,000 utworów muzycznych, pisanych wypukłymi nutami.

Rozgryzienie kawałka żylastego mięsa wymaga ze strony szczęk nacisku 130 funtów. Szczęki mężczyzny wywierają nacisk do 240 funtów, a kobiety do 180 funtów.

Jakieś 150 lat temu, ani jedno z miast Stanów Zjednoczonych nie osiągnęło jeszcze liczby 100 tysięcy mieszkańców. W czasie wojny cywilnej tylko 8 miast osiągnęło, względnie przekroczyło 100,000, z czego Filadelfia miała 500,000 i New York ponad 1 milion.

Największym na świecie producentem złota jest Unia Południowo-Afrykańska, która produkuje złota za 400 milionów dolarów. Kanada — 150 milionów dolarów, za nimi dopiero znajdują się Stany Zjednoczone z produkcją o wartości 70 milionów dolarów rocznie.

Ogółem utożsamiono dotychczas 625,000 różnych owadów. Uczeni twierdzą, że tyle jeszcze pozostało do odkrycia.

W roku 1900 na 25 Amerykanów przypadał jeden, liczący powyżej 65 lat. Obecnie przypada jeden na 12.

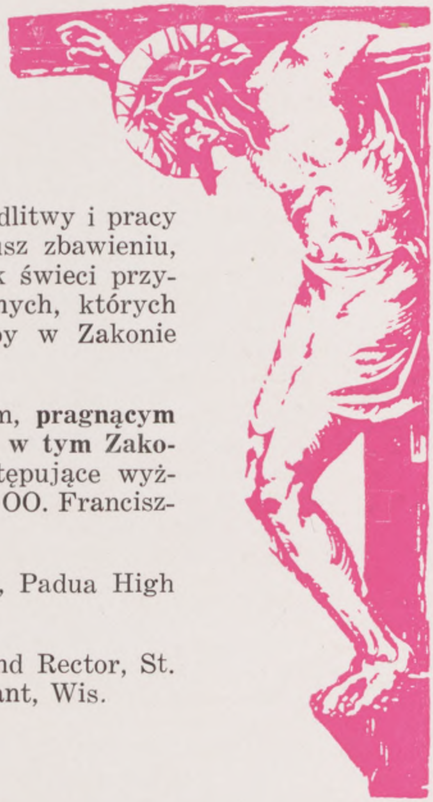
Największą flotylę rybacką posiada Japonia, około 300,000 jednostek. Dalej idą Stany Zjednoczone (łącznie z Alaską) z około 90,000, a potem Hiszpania z 38,000 i Włochy z 33,000.

W r. 1951 Amerykanie przepili 9,150 milionów dolarów, czyli 60 dolarów na mieszkańca.

Kosztowna wojna

Jedną z najzaciętszych wojen przed rokiem 1914 była rozegrana od roku 1864 do 1870 międz- Paragwajem i Argentyną, Brazylią i Urugwajem (kraje Południowej Ameryki). Przed wybuchem wojny Paragwaj liczył 1,337,439 obywateli. Kiedy działania wojenne ustały, Paragwaj liczył 28,746 mężczyzn, 106,254 niewiast i 86,979 dzieci.

Ukrzyżowanego kochał św. Franciszek



I stał się wzorem modlitwy i pracy na chwałę Bożą, ku dusz zbawieniu, dla wszystkich. Szczególniej jednak świeci przykładem dla synów swoich duchownych, których Pan Bóg powołał do Swojej służby w Zakonie Franciszkańskim.

Chłopcom i młodzieńcom polskim, **pragnącym poświęcić się stanowi kapłańskiemu w tym Zakonie Franciszkańskim** polecamy następujące wyższe uczelnie katolickie pod zarządem OO. Franciszkanów:

Na wschodzie: Reverend Rector, Padua High School, Watkins Glen, New York.

W środkowych Stanach: Reverend Rector, St. Bonaventure M. S. & H. S., Sturtevant, Wis.

A może nie czują się godnymi lub zdolnymi spełnienia obowiązków stanu kapłańskiego, lecz zato pragnęliby, jak święty Józef, być domownikami Bożymi, pracą rąk swoich. Tenci jest **głos powołania do stanu braciszka zakonnego.**



Jeśliś we wieku 16 do 35 lat, a czujesz w sobie takie powołanie do życia w Zakonie Franciszkańskim, jako braciszek, **po bliższe szczegóły** napisz na adres: Very Reverend Provincial, Franciscan Fathers, Pulaski, Wisconsin.

Bóg mój i wszystko!

Bóg Wam Zapłać

WZAMIAN za ofiary składane nam odwdzięczamy się szlachetnym Dobrodziejom naszym i Prenumeratorom "Miesięcznika Franciszkańskiego" w sposób następujący:

W KAŻDĄ niedzielę i we wszystkie święta obowiązujące za wszystkich naszych Dobrodziejów żywych i umarłych odprawia się w każdym klasztorze naszym i domu misyjnym Msza święta przy udziale całego Zgromadzenia Zakonnego.

CO WTOREK odprawia się Msza święta wobec wystawionego Przenajświętszego Sakramentu za Ofiarodawców na "Nieustającą Nowennę" do Świętego Antoniego, na Chleb Świętego Antoniego, jakoteż na Bursy. Po Mszy świętej Kapłan na przemian z Zakonnikami odśpiewuje cudowne responsorium do Św. Antoniego: "Si quaeris miracula" (Jeśli szukasz cudów), po którym dodaje 3 Ojcze nasz, 3 Zdrowaś Marya i 3 Chwała Ojcu za Dobrodziejów naszych.

OBECNIE prowincja nasza obejmuje 16 klasztorów lub domów misyjnych, gdzie to nabożeństwo jakoteż inne tu wyliczone nabożeństwa dziękczynne są za naszych dobrodziejów ofiarowane.

W KAŻDY Pierwszy Piątek miesiąca, oprócz Mszy świętej wobec wystawionego Najświętszego Sakramentu odbywa się nabożeństwo do Najsłodszego Serca Jezusowego za naszych Dobrodziejów żywych i umarłych.

PIĘĆ razy do roku Ojcowie i Klerycy odprawiają Wigilie za zmarłych Dobrodziejów, a Bracia zakonni odmawiają w tym samym czasie sto pacierzy, a następnie odprawia się Msza św. żałobna z katafalkiem w tejże intencji.

W INTENCJI Dobrodziejów ślą do Tronu Bożego Zakonnicy wiele prywatnych modlitw, ofiarując swe prace, modlitwy, cierpienia i Komunie święte.

DOBRODZIEJE nasi biorą udział w zasługach Ojców i Braci pracujących na misjach, w szkołach i tak dalej.

OFIARNOŚĆ Dobrodziejów ułatwia nam szerzenie chwały Bożej i pracę w zdobywaniu dusz ludzkich dla Boga. Z tego też powodu spora część zasług Zakonu spływa na nich.

PRZEZ ofiary na Bursy i Chleb Świętego Antoniego Dobrodzieje nasi ułatwiają nam wychowanie nowych zastępów pracowników we winnicy Pańskiej, a więc i w przyszłości odnosić będą oni błogie skutki swej ofiarności i hojne błogosławieństwo Boże spływać na nich będzie.